

JACK REACHER

**NOWOŚĆ
2024**

**LEE
CHILD**

ANDREW CHILD

SEKRET



ALBATROS

JAK NAJLEPIEJ ZMOTYWOWAĆ REACHERA DO ROZWIĄZANIA SPRAWY? UTRUDNIAJĄC MU PROWADZENIE ŚLEDZTWA!

Rok 1992. Jeden po drugim giną naukowcy, którzy przed ponad dwudziestu laty uczestniczyli w tajnym Projekcie 192 Departamentu Obrony. Amerykańskie służby nie mogą wpaść na trop zabójcy ani ochronić przed nim kolejnych potencjalnych ofiar.

Sekretarz obrony powołuje więc specjalny zespół śledczy. W jego skład wchodzi agentka FBI z problemami osobistymi, pijaczyna z CIA, człowiek z Departamentu Skarbu, o którym nikt tam nie słyszał... i Jack Reacher, właśnie zdegradowany z majora do stopnia kapitana.

Czy ich mocodawcom zależy na znalezieniu zabójcy, czy potrzebują kogoś, na kogo zrzucą winę za fiasko dochodzenia w sprawie, której być może wcale nie chcą rozwiązać? Bo coś w Projekcie 192 śmierdzi, i to na kilometr.

Jeśli szukają kozłów ofiarnych, to popełnili poważny błąd, licząc, że Reacher da się postawić w tej roli. Czy się to komuś podoba, czy nie, odkryje sekret sprzed ponad dwóch dekad, nawet jeśli dotyczy on osób z najwyższych kręgów władzy.

**LEE
CHILD
ANDREW CHILD**

SEKRET

Z angielskiego przetłóżył
Jan Kraśko

ALBATROS
Wydanie elektroniczne

LEE CHILD

Brytyjski pisarz, od 1998 r. mieszkający w Nowym Jorku. W 2009 r. wybrany na prezesa stowarzyszenia Mystery Writers of America, a w 2020 r. zasiadał w kapitule Nagrody Bookera. W Wielkiej Brytanii studiował prawo, potem pracował w teatrze i telewizji Granada. Zwolniony po 18 latach w wyniku restrukturyzacji, zainwestował w karierę literacką. W 1997 r. ukazała się jego pierwsza powieść – **Poziom śmierci**. Zdobyła Anthony Award za najlepszy debiut kryminalny i zapoczątkowała serię thrillerów ze wspólnym bohaterem, byłym żandarmem wojskowym Jackiem Reacherem, która stała się najpopularniejszą serią sensacyjną na świecie. Dwie jego książki zostały sfilmowane, a na podstawie jednej z nich, **Poziomu śmierci**, nakręcono pierwszy sezon serialu **Reacher**, dostępny na platformie Amazon Prime Video. Scenariusz drugiego sezonu jest oparty na **Elicie zabójców**.

ANDREW CHILD

Brytyjski pisarz, brat Lee Childa, również mieszkający w USA, w rezerwacie dzikiej przyrody w Wyoming. Ma za sobą karierę aktorską, którą porzucił dla pisania. Sławę przyniosły mu powieści sensacyjne, przede wszystkim seria o działającym pod przykrywką agencji Paulu McGracie. Andrew Child naprawdę nazywa się Andrew Grant.

jackreacher.com

Tego autora

Jack Reacher

POZIOM ŚMIERCI
UPROWADZONY
WRÓG BEZ TWARZY
PODEJRZANY
ECHO W PŁOMIENIACH
W TAJNEJ SŁUŻBIE
SIŁA PERSWAZJI
NIEPRZYJACIEL
JEDNYM STRZAŁEM
BEZ LITOŚCI
ELITA ZABÓJCÓW
NIC DO STRACENIA
JUTRO MOŻESZ ZNIKNAĆ
61 GODZIN
CZASAMI WARTO UMRZEĆ
OSTATNIA SPRAWA
POSZUKIWANY
NIGDY NIE WRACAJ
SPRAWA OSOBISTA
ZMUŚ MNIE
STO MILIONÓW DOLARÓW
ADRES NIEZNANY
NOCNA RUNDA

CZAS PRZESZŁY
ZGODNIE Z PLANEM
STRAŻNIK
LEPIEJ JUŻ UMRZEĆ
BEZ PLANU B
SEKRET

Tytuł oryginału:
THE SECRET

Copyright © Lee Child and Andrew Child 2023
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2024

Polish translation copyright © Jan Kraśko 2024

Redakcja: Marzena Wasilewska

Projekt graficzny okładki oryginalnej Richard Ogle/TW

Zdjęcia na okładce: Reynolds/Bloomberg via Getty Images (Pentagon);
Saqib Majeed/SOPA Images/LightRocket via Getty Images (niebo)

Opracowanie graficzne okładki polskiej: Plus 2 Witold Kuśmierczyk

ISBN 978-83-8361-186-0

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hlonda 2A/25, 02-972 Warszawa

wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros |

Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

woblink.com

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij **TUTAJ**

Spis treści

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

JACK REACHER

Imię i nazwisko: Jack Reacher

Narodowość: amerykańska

Urodzony: 29 października 1960 roku w Berlinie

Charakterystyczne dane: 195 cm, 99–110 kg, 127 cm w klatce piersiowej

Kolor włosów: ciemny blond

Kolor oczu: niebieski

Ubranie: kurtka 3XLT, długość nogawki mierzona od kroku 95 cm

Wykształcenie: szkoły na terenie amerykańskich baz wojskowych w Europie i na Dalekim Wschodzie, Akademia Wojskowa West Point

Przebieg służby: 13 lat w Żandarmerii Armii USA, w 1990 roku zdegradowany ze stopnia majora do kapitana, zwolniony do cywila w randze majora w roku 1997

Odznaczenia służbowe: Srebrna Gwiazda, Medal za Wzorową Służbę, Medal Żołnierza, Legia Zasługi, Brązowa Gwiazda, Purpurowe Serce

Ostatni adres: nieznany

Czego nie ma: prawa jazdy, dokumentu ze zdjęciem, osób na utrzymaniu

Larry'emu z podziękowaniami

1

Keith Bridgeman zamknął oczy. Był sam. Poranny obchód już się skończył. Lunch podano i zjedzono, naczynia uprzątnięto. Ucichły kroki odwiedzających, którzy dreptali po korytarzu w poszukiwaniu krewnych i przyjaciół. Salowa zamiotła podłogę, przetrła ją mopem i wyniosła śmieci. I w końcu na oddział spłynęło trochę spokoju.

Bridgeman leżał w szpitalu od miesiąca. Wystarczająco długo, żeby przywyknąć do obowiązującego tu rytmu i porządku. Wiedział, że nadeszła pora na popołudniową ciszę. Na przerwę, podczas której nie będą go dźgali, poszturchiwali, kazali mu wstawać, chodzić i rozciągać się. Nikt nie będzie zawracał mu głowy przez trzy godziny. Co najmniej. Mógł teraz czytać. Oglądać telewizję. Słuchać muzyki. Gapić się przez okno na skrawek jeziora widoczny między dwoma pobliskimi drapaczami chmur.

Albo się zdrzemnąć.

Miał sześćdziesiąt dwa lata. I był w kiepskim stanie. Nie ulegało wątpliwości, że w kiepskim. Mógł zastanawiać się nad przyczyną – praca, której poświęcił życie, stres, który musiał znosić, papierosy, które wypalił, alkohol, który wypił – lecz nie mógł zaprzeczyć, że skutek jest oczywisty. Zawał serca tak rozległy, że nie dawano mu szans na przeżycie.

Walka z tak wielkimi przeciwnościami losu jest męcząca. Wybrał więc drzemkę.

Ostatnio zawsze wybierał drzemkę.

• • •

Obudził się po godzinie. Nie był już sam. W pokoju ktoś był. Dwie kobiety. Obie pod trzydziestkę. Obie szczupłe. Tego samego wzrostu. Jedna stała po lewej stronie łóżka, bliżej drzwi. Druga naprzeciwko niej, po prawej, przy oknie. Stały w kompletnym bezruchu. I patrzyły na niego w milczeniu. Miały ściągnięte do tyłu włosy, krótkie, gładkie i ciemne. Twarze pozbawione wyrazu jak manekiny. W ostrym sztucznym świetle ich skóra błyszczała, jakby była z plastiku.

Miały na sobie szpitalne uniformy i białe fartuchy właściwej długości. Z kieszeniami, naszywkami i plakietkami. Uniformy miały właściwy odcień niebieskiego. Ale kobiety nie były lekarkami. Bridgeman dawał za to głowę. Podpowiadał mu to szósty zmysł. Który mówił, że nie powinno ich tu być. Że wróżą kłopoty. Przyjrzał się najpierw jednej, potem drugiej. Miały puste ręce. Na ich ubraniach nie zauważył żadnych podejrzanych wybrzuszeń. Ani śladu pistoletu czy noża. Ani śladu narzędzi medycznych, których mogłyby użyć jako broni. Ale to go nie uspokoiło. Był w niebezpieczeństwie. Wiedział o tym. Czuł to, jak gazela czuje, że dwie lwice chcą wciągnąć ją w zasadzkę.

Zerknął na lewą nogę. Przycisk alarmowy leżał tam, gdzie zostawiła go pielęgniarka, na prześcieradle między udem i poręczą łóżka. Wyciągnął rękę. Płynnym ruchem. Zwinnym. Szybkim. Ale kobieta była szybsza. Chwyciła przycisk i upuściła go, tak że zadyndał na przewodzie tuż nad podłogą, poza zasięgiem jego rąk.

Serce Bridgemana zadrżało w piersi i zatrzepotało. Usłyszał elektroniczne popiskiwanie. Dochodziło z urządzenia stojącego u wezłowania łóżka. Na środku górnej połowy ekranu wyświetlały się cyfry,

a całą szerokość dolnej przecinały dwie wystrzępione linie. Pierwsza pokazywała jego puls. Który to gwałtownie rósł, to opadał. Szczyty i dołki na wykresie były coraz ciaśniejsze, jakby się wzajemnie ścigały. Cyfry pokazywały tętno. Które rosło. Szybko. Popiskiwanie stało się głośniejsze. Częstsze. A potem przeszło w pisk. Ciągły. Natarczywy. Niemożliwy do zignorowania. Liczba przestała rosnąć. Zaczęła migotać, a po chwili opadać. I opadała, aż dotarła do zera. Linie się wyprostowały. Najpierw po lewej stronie ekranu, potem całe i w końcu stały się idealnie równoległe. Ekran znieruchomiał. Zamarł. Słysząc było jedynie rozpaczliwe elektroniczne wycie.

Wskazujące na to, że doszło do całkowitego ustania akcji serca.

Ale trwało to tylko chwilę.

Kiedy włączył się alarm, druga kobieta chwyciła Bridgema za prawy nadgarstek. Zerwała niebieski klips z palca wskazującego i włożyła go na swój. Ekran mrugnął raz i drugi, po czym wycie ustało. Tętno zaczęło rosnąć. Linie stawały się od lewej do prawej coraz grubsze. Żaden z parametrów nie pasował idealnie do tych Bridgema. Kobieta była młodsza. Bardziej wysportowana. Zdrowsza. Spokojniejsza. Lecz te wartości nie różniły się aż tak bardzo. Nie były za wysokie. Ani za niskie. Dlatego nie wywołały kolejnego alarmu.

Bridgeman chwycił się obiema rękami za pierś. Na czoło i głowę wystąpiły mu krople potu. Miał lepką skórę. Z trudem oddychał.

Kobieta z klipsem na palcu usiadła na krześle przy oknie. Druga odczekała chwilę, a potem spojrzała na niego i powiedziała:

– Przepraszamy. Nie chciałyśmy pana przestraszyć. Nie zrobimy panu krzywdy. Chcemy tylko porozmawiać.

Bridgeman milczał.

– Mamy dwa pytania – ciągnęła kobieta. – To wszystko. Odpowie pan szczerze i już nigdy nas pan nie zobaczy. Obiecuję.

Wciąż milczał. Zerknął w stronę drzwi.

Kobieta zauważyła to i pokręciła głową.

– Jeśli myśli pan, że ktoś przybędzie z odsieczą, to ma pan pecha. Te klipsy często zsuwają się z palców. I co robią wtedy pacjenci? Nakładają je z powrotem. Pielęgniarka dyżurna, która usłyszała alarm, pomyślała na pewno, że tak było i teraz. No więc? Pierwsze pytanie, zgoda?

Bridgemanowi zaschło w ustach. Z trudem zwilżył wargi i wziął głęboki oddech. Ale nie po to, żeby odpowiedzieć. Po to, żeby wezwać pomoc w tradycyjny sposób.

Kobieta przejrzała jego zamiary, przytknęła palec do ust, wyjęła coś z kieszeni – zdjęcie – i mu pokazała. Przedstawiało rękę w rękawicze trzymającą egzemplarz „Tribune” na tle okna. Bridgeman odczytał datę. Wtorek, siódmy kwietnia 1992 roku. To była dzisiejsza gazeta. A potem za szybą okna zobaczył dwie postacie. Kobietę i dziecko. Małą dziewczynkę. Mimo że stały plecami do aparatu, nie miał wątpliwości, kto to jest. Ani gdzie zrobiono zdjęcie. To były jego córka i wnuczka. W domu w Evanston, który kupił im po śmierci żony.

Kobieta wzięła go za rękę i sprawdziła puls. Był słaby i szybki.

– No już. Proszę się uspokoić. I pomyśleć o rodzinie. Nie chcemy zrobić im krzywdy. Ani im, ani panu. Po prostu musi pan zrozumieć, jak poważna jest sytuacja. Mamy tylko dwa pytania, ale oba są ważne. Im szybciej pan na nie odpowie, tym szybciej stąd wyjdziemy. Gotowy?

Bridgeman skinął głową i opadł na poduszkę.

– Pytanie pierwsze. Pojutrze ma pan się spotkać z pewną dziennikarką. Jakie informacje zamierza pan jej przekazać?

– Skąd pani wie, że...

– Nie traćmy czasu. Proszę odpowiedzieć.

– Dobrze. Posłuchajcie. Nie zamierzam nic jej przekazywać. Mamy tylko porozmawiać.

– Żaden wiarygodny dziennikarz nie uwierzy sygnaliście, który nie ma twardego dowodu. Gdzie ten dowód jest?

– Sygnaliście? Nie, to nie tak. Ona jest reporterką z jakiegoś małego brukowca w Akron w Ohio. Tam się urodziłem. Chce napisać o moim ataku serca. O tym, że wyzdrowiałem. Według lekarzy to prawdziwy cud. Miejscowi chcą o tym poczytać. Podobno jestem dla nich inspiracją.

– Atak serca? Z tym pan do niej idzie? Mając w ręku taką sensację?

– Jaką sensację?

Kobieta nachyliła się ku niemu.

– Keith, my wiemy, co pan zrobił. Co wszyscy zrobiliście. Dwadzieścia trzy lata temu. W grudniu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego.

– W grudniu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego? Skąd pani... Kim wy jesteście?

– Dojdziemy do tego. Teraz musi pan nam powiedzieć, jakie informacje chce pan przekazać reporterce.

– Nie chcę przekazywać żadnych informacji. Mam jej opowiedzieć o mojej rekonwalescencji, to wszystko. A o grudniu sześćdziesiątego dziewiątego nigdy nie będę rozmawiał. O tym, co tam robiliśmy. Co się tam stało. Z nikim. Przysiągłem, że nie będę, i dotrzymam słowa. Nawet moja żona nic nie wiedziała.

– Więc nie ukrył pan w tym pokoju żadnych dokumentów czy notatek?

– Oczywiście, że nie.

– W takim razie nie będzie pan miał nic przeciwko temu, jeśli się tu rozejrzemy?

Kobieta nie czekała na odpowiedź. Zaczęła od szafki nocnej. Otworzyła ją i poszperała wśród książek, czasopism i zapasowych piżam. Potem otworzyła skórzaną torbę stojącą przy drzwiach. Był w niej komplet ubrań. Nic więcej. Następnie sprawdziła łazienkę. Tam też nie znalazła nic godnego uwagi. Wyszła więc na środek pokoju i wzięła się pod boki.

– Pozostało tylko jedno miejsce. Łóżko.

Bridgeman nie poruszył się.

– Niech pan to zrobi dla córki. I wnuczki. No już. To potrwa tylko chwilę.

Poczuł, że znowu przyspiesza mu puls. Zamknął oczy. Wziął oddech. Spróbował się odprężyć. Potem odrzucił koc, spuścił nogi i wstał. Spojrzał na kobietę siedzącą na krześle.

– Mogę przynajmniej usiąść? Jestem starszy od was. Stoję jedną nogą w grobie.

Kobieta podniosła palec z klipsem.

– Przykro mi. Nie mogę wstać, za krótki kabel. Niech pan usiądzie na parapecie.

Bridgeman spojrział na okno. Zastanawiał się, czy jej posłuchać. Ale ponieważ miał dość wysłuchiwania rozkazów, tylko oparł się o parapet. I patrzył, jak koleżanka tej z klipsem przeszukuje łóżko. Tam też nic nie znalazła.

– Teraz mi wierzycie? – spytał.

Kobieta wyjęła z kieszeni kartkę papieru. Z listą nazwisk. Sześciu, napisanych rozchwianymi, kanciastymi literami. Było wśród nich i jego nazwisko. Znał pięć pozostałych. Varinder Singh. Geoffrey Brown. Michael Rymer. Charlie Adam. Neville Pritchard. A pod ostatnim zawijas z kropką na dole. Znak zapytania.

– Jednego brakuje – powiedziała kobieta. – Czyjego?

Serce Bridgemaana już nie kołatało. Miał wrażenie, że jest teraz pełne szlamu. I nie ma siły tłoczyć krwi do tętnic. Nie mógł odpowiedzieć na to pytanie. Odpowiadając, złamałby przyrzeczenie. Przysiągł, że nigdy nie zdradzi żadnego szczegółu. Wszyscy przysięgli, dwadzieścia trzy lata temu, gdy stało się oczywiste, co zrobili. A brakujące nazwisko należało do najbardziej narwanego z nich. Nikt nie powinien go nigdy poznać, tak byłoby lepiej dla wszystkich.

Kobieta podała mu kolejne zdjęcie. To też przedstawiało jego córkę i wnuczkę, tym razem na przejściu dla pieszych. Dokądś szły. Zrobiono je przez przednią szybę samochodu.

Bridgeman próbował oddychać, poświęcając temu wszystkie siły. Te kobiety chciały tylko jednego nazwiska. Czy stałoby się coś złego, gdyby je podał? Stałoby się, dobrze o tym wiedział.

– Pytanie dodatkowe – rzuciła kobieta. – Co będzie jutro? Albo pojutrze? Kierowca był pijany? Zawiodły hamulce?

– Buck – wyszeptał. – Tak brzmi to brakujące nazwisko. Owen Buck.
Pokręciła głową.

– Buck nie żyje. Zmarł na raka miesiąc temu. Zaraz po tym, jak zrobił tę listę. A więc nie, to nie on. Powiedział, że jest jeszcze ktoś ósmy. Nie znał jego nazwiska. Ale był pewien, że zna je któryś z was.

Bridgeman milczał. Próbował doszukać się w tej informacji jakiegoś sensu. Buck musiał przegrać walkę z sumieniem. Ciągle mamrotał, że zrobi coś głupiego. Co nie tłumaczyło jednak tego, że zdradził komuś istnienie jeszcze jednego nazwiska. Może postradał zmysły. Może lekarstwa, które brał na raka, wyżarły mu mózg.

– A jeśli coś odwróci uwagę kierowcy? – ciągnęła kobieta. – Albo zaśnie za kierownicą?

– Może i jest ktoś jeszcze. – Bridgeman zamknął oczy. – Może ktoś wie, kto to jest. Któryś z pozostałych. Ale nie ja. Według mnie nikogo takiego nie ma.

– Może z wnuczki coś by zostało i mógłby pan ją pochować – dodała kobieta. – A może nie.

Bridgemanowi brakowało tchu.

– Przestańcie. Proszę. Nic więcej nie wiem. Przysięgam. Podałem wam nazwisko Bucka. Nie wiedziałem, że nie żyje. Jestem chory. Leżę tu od miesiąca. Nikt mi nic nie powiedział. Gdybym znał inne nazwiska, podałbym je wam. Ale nie znam. Więc nie mogę.

– Może pan. Nie musi pan wypowiadać go na głos. Może pan zrobić to, co zrobił Owen Buck. Może pan je napisać. Buck podał sześć. Pan musi dodać tylko jedno. – Wyjęła długopis z kieszeni fartucha.

Patrzył przez chwilę na jej rękę. Potem wziął długopis i na górze listy dopisał *Owen Buck*.

– To jedyne, które znam – powiedział. – Przysięgam.

– Keith, czy kiedykolwiek widział pan trumnę dziecka? Bo jeśli nie, gwarantuję, że nie będzie pan przygotowany na jej widok, na to, jaka wyda się panu malutka. Zwłaszcza w porównaniu z trumną dorosłego człowieka, w której będzie leżała pana córka.

Zatrzęsły mu się kolana. Wyglądał tak, jakby miał zaraz upaść.

– No już. – Głos kobiety nieco złagodniał. – Jedno nazwisko. I dwa uratowane życia. Na co pan czeka?

Bridgeman poczuł, że ciało mu wiotczeje.

– Buckowi coś się pomyliło. Nie ma ósmego. Przynajmniej ja go nie znam. Byłem tam trzy lata. I nigdy nie słyszałem, żeby wciągnięto do zespołu kogoś nowego.

Kobieta patrzyła na niego dziesięć długich sekund, w końcu wzruszyła ramionami. Zabrała długopis i kartkę i schowała do kieszeni.

– W takim razie nic tu po nas. – Dotknęła jego czoła. – Zaraz. Źle się pan czuje. Otworzę okno. Świeże powietrze postawi pana na nogi. Nie chcę tak pana zostawiać.

– Nic z tego – rzucił. – W tym szpitalu okna się nie otwierają.

– To się otwiera.

Kobieta pochyliła się, nacisnęła klamkę i okno otworzyło się na zewnątrz szerokim łukiem. Potem włożyła rękę pod kołnierz uniformu i zdjęła z szyi drobny łańcuszek. Na jego końcu wisiał klucz do okiennego zamka.

– Proszę. – Odchyliła górną kieszeń jego pizamy i wrzuciła go do niej wraz z łańcuszkiem. – Prezent. Na pamiątkę naszego spotkania, bo już nigdy nas pan nie zobaczy. Tak jak obiecałam. Jeszcze jedno i wychodzimy. Pytał pan, kim jesteśmy. – Wyprostowała się. – Nazywam się Roberta Sanson.

Z krzesła wstała ta z klipsem na palcu.

– A ja Veronica Sanson. Jestem jej siostrą. Naszym ojcem był Morgan Sanson. Chcemy, żeby pan o tym wiedział, to ważne.

Morgan Sanson. Echo z przeszłości. Echo niechciane. Cztery sylaby, których miał nadzieję już nigdy nie usłyszeć. Ich znaczenie dotarło do niego po ułamku sekundy i odepchnął się od ściany. Próbował ominąć Robertę, lecz nie miał na to żadnych szans. Był zbyt słaby. Miał na to za mało miejsca. A siostry były zmotywowane. Roberta zrobiła krok w lewo i zastąpiła mu drogę. Chwyciła go za ramiona, pchnęła, a gdy znowu oparł się o parapet, sprawdziła, czy stoi dokładnie na wprost otwartego okna. Veronica pochyliła się i ujęła go za nogi tuż nad kostkami. Gdy wyprostowała się, jej siostra znów mocno pchnęła Bridgema. Zaczął

wierzgać nogami, szarpać się i wyginać. Popchnęły go jeszcze raz. A potem jeszcze dwa razy, na wszelki wypadek. Resztę zrobiła grawitacja.

2

Jack Reacher nigdy dotąd nie był w arsenale na Rock Island, ale był już drugim śledczym, którego wysłano tam w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Pierwszą kontrolę przeprowadzono po doniesieniu o kradzieży karabinów M16, które okazało się fałszywe. Ponieważ Reacher dołączył do jednostki jako ostatni, po degradacji z majora na kapitana, przydzielono mu sprawę mniej ciekawą. Nielegalne przerabianie i podrabianie sprzętu wojskowego.

Sierżant, który złożył zawiadomienie, czekał na niego przed głównym wejściem. Wiekowo dzieliło ich może dziesięć lat. Byli mniej więcej tego samego wzrostu – metr dziewięćdziesiąt z hakiem – ale podczas gdy Reacher był ciężki i zwalisty, starszy od niego sierżant, blady, chudy jak szczapa i wymizerowany, miał drobne, delikatne rysy twarzy i ważył jakieś osiemdziesiąt kilogramów. Ponad dwadzieścia siedem kilogramów mniej. Mundur trochę zwisał mu z ramion i Reacher zaniepokoił się lekko stanem jego zdrowia.

Po wymianie zwykłych uprzejmości poszli na strzelnicę E mieszczącą się na zachodnim krańcu bazy. Gdy weszli do środka, sierżant zamknął ciężkie stalowe drzwi i ruszył w stronę stołu przy tylnej ścianie, służącego do rozkładania broni. Kolbami do nich, ze skierowanymi w prawo uchwyty, równiutkim szeregiem leżało tam sześć emszesnastek. Nie były nowe – nie ulegało wątpliwości, że spędziły w terenie dużo czasu – ale

dobrze utrzymane. Niedawno czyszczone. Zadbane i nieuszkodzone. Reacher nie dostrzegł w nich niczego niepokojącego.

Podniósł drugą z lewej. Sprawdził, czy komora nabojoya jest pusta i nie ma defektów, wpiął magazynek i stanął na linii otwarcia ognia. Przełączył bezpiecznik na tryb ognia pojedynczego. Nabrał powietrza. Wstrzymał oddech. I między dwoma uderzeniami serca pociągnął za spust. W czerwonej gwiazdce na hełmie figury bojowej stojącej sto metrów dalej powstała dziura.

Opuścił karabin i zerknął na sierżanta. Twarz żołnierza niczego nie zdradzała. Ani zaskoczenia. Ani zawodu.

Reacher oddał jeszcze pięć strzałów. Szybko, jeden po drugim. Zadudniło echo. Na cementowej podłodze zagrzechotały łuski. Na piersi figury bojowej wykwitła zgrabna litera T. Podręcznikowe strzelanie. Karabinowi nic nie dolegało. Mimo to sierżant wciąż nie reagował.

– Ile było? – spytał Reacher, wskazując magazynek.

– Szesnaście.

– Wietnam?

– Trzy tury. Żadnych zacięć. Jeśli nie jest zepsuty...

Reacher przesunął skrzydełko bezpiecznika na najniższą pozycję. Na ogień ciągły; to był stary model emszesnastki, bez mechanizmu spustowego umożliwiającego strzelanie tylko seriami trzystrzałowymi. Wycelował w środek figury i zwiększył nacisk na spust. Zielone plastikowe popiersie powinno pójść w drzazgi. Pozostałych dziesięć kul powinno poszatkować je w niecałą sekundę. Ale nic takiego się nie stało. Bo spust nie drgnął. Reacher przeszedł na tryb ognia pojedynczego i wycelował w twarz figury. Pod wpływem uderzenia kuli koślawy zarys nosa rozpadł się na pół. Reacher znów przełączył broń na ogień ciągły. I znowu nic się nie stało. Sprawa była więc oczywista. Spust nie chciał zmienić położenia.

– Wszystkie takie są?

Sierżant kiwnął głową.

– Wszystkie. Cała skrzynka.

Reacher podszedł do stołu i odłożył broń. Wypiął magazynek, opróżnił komorę nabożową, wyjął trzpienie blokady, zdjął dolną komorę zamkową i obejrzał od środka. Potem pokazał ją sierżantowi.

– Przełącznik ognia ciągłego tu nie wejdzie. Gniazdo jest za małe. A w spuście są tylko dwa otwory. Powinny być trzy.

– Zgadza się – potwierdził żołnierz.

– To nie jest karabin wojskowy. Ktoś przerobił go na wersję cywilną. Teraz jest tylko samopowtarzalny.

– Nie widzę innego wytłumaczenia.

– Skąd się tu wzięły?

Sierżant wzruszył ramionami.

– Pomyłka administracyjna. Miały zostać zezłomowane, ale ktoś pomylił skrzynki i dwie trafiły tutaj.

Reacher spojrział na karabiny.

– Więc nie nadają się już do użytku?

Sierżant znów wzruszył ramionami.

– Tego bym nie powiedział. Według mnie ich stan kwalifikuje je do kategorii broni rezerwowej. Kiedy utworzyliśmy skrzynki, wszystko wyglądało normalnie. Ale potem zgłoszono usterkę. Wtedy rozłożyłem pierwszy karabin. I od razu zobaczyłem, w czym problem. Tak jak pan.

– Kto decyduje o tym, że broń ma zostać zezłomowana?

– Przeznaczony do tego zespół. Są specjalne procedury. Tymczasowe. Obowiązują dopiero od roku. Wprowadzono je po Pustynnej Burzy. Wojna to dla wojska dobra okazja do wymiany sprzętu. Zdemobilizowany wraca

do kraju i trafia tu do oceny. My odpowiadamy za broń palną. Sprawdzamy ją, testujemy i nadajemy jej kategorię. Zieloną: broń w pełni sprawna, którą należy zatrzymać. Bursztynową: broń częściowo sprawna, przeznaczona na sprzedaż albo dla cywilnych programów bezpiecznego użytkowania broni palnej, oczywiście z wyłączeniem automatycznej. I czerwoną: broń niesprawna, przeznaczona do kasacji.

– Dostaliście skrzynkę z czerwoną, choć powinniście dostać z zieloną?

– Właśnie.

Reacher zmarszczył czoło. Całkiem przekonujące wyjaśnienie. Nie było sprzętu, którego raz na jakiś czas wojsko nie wysłałoby pod zły adres. Pomyłkowo, bez złych zamiarów. Tak jak powiedział sierżant, na skutek pomyłki administracyjnej. Ale Reacher zastanawiał się, czy nie ma to szerszego kontekstu. I nie łączy się z raportem o kradzieży emszesnastek. Ktoś mógłby zakwalifikować sprawną broń jako nienadającą się do użycia, napęścić skrzynki byle jakim złomem odpowiedniej wagi, wysłać je do zgniataarki albo do pieca i sprzedać karabiny na czarnym rynku. Broń przestałaby oficjalnie istnieć, więc nikt by jej nie szukał. Sposób dobry i wykonalny. Luka, którą trzeba by zlikwidować. Ale tutaj doszło do czegoś innego. Czytał raport. Kontrola była niezapowiedziana. Przeprowadzona o świcie, z pełnego zaskoczenia. I dokładna. Otworzono wszystkie skrzynki w całej bazie. Wszystkie egzemplarze miały właściwy numer seryjny. Nie brakowało nawet scyzoryka.

Scyzoryka... kompletnego.

– Kiedy je tu dostarczono? – spytał.

Sierżant odwrócił wzrok i policzył.

– Piętnaście dni temu. I wiem, o co mnie pan zaraz spyta. Ale odpowiedź się panu nie spodoba.

– O co spytam?

– Skąd wiem, który oddział używał tej broni w Zatoce. Zanim ją tu przysłano.

– Niby po co mi ta wiedza?

– Żeby mógł pan sprawdzić, kto kradnie dolne komory zamkowe. Bo ktoś je kradnie, tak? I sprzedaje. Żeby gangsterzy mogli przerobić swoje aerpiętnastki na w pełni automatyczne. Zatoka to idealne miejsce na zamianę części. Oficjalnie nawet spinacz do papieru jest zarejestrowany. Ale w rzeczywistości? Każda jednostka ma inny system. Kilka się skomputeryzowało. Większość jednak wciąż używa papieru. A papiery się gubią. Drą się. Ulegają zalaniu. Cyfry się przestawiają. Ludzie piszą tak, że nie sposób ich odczytać. Krótko mówiąc, prędzej udałoby się panu sprzedać bikini na zjeździe mormonów, niż wysledzić tę skrzynkę.

– Uważa pan, że nie mam przyszłości jako sprzedawca kostiumów kąpielowych?

Sierżant zamrugął.

– Słucham?

– Nieważne. Nie interesuje mnie, kto miał te karabiny w Zatoce. Bo to nie tam skradziono części.

• • •

Roberta i Veronica Sanson usłyszały odgłos uderzenia. Pierwsze przeraźliwe krzyki zagłuszyły na chwilę warkotliwy szum ruchu ulicznego. A potem kardiomonitor stojący u wezłowania łóżka znowu zaczął wyć. Linie ponownie się wyprostowały. Tętno spadło do zera. Całkowity brak aktywności serca. Ale tym razem urządzenie się nie myliło. Przynajmniej co do Keitha Bridgema.

Na korytarzu Roberta skręciła w lewo i skierowała się do wind w głównym holu. Veronica skręciła w prawo i zeszła na dół schodami

pożarowymi. Siostra dotarła na parter przed nią. Przecięła recepcję i minawszy kawiarnię i sklep z balonami i kwiatami, głównym wejściem wyszła ze szpitala. Skręciła na zachód i przecznicę dalej weszła do budki telefonicznej. Włożyła lateksowe rękawiczki, zadzwoniła do American Airlines i poprosiła o informację na temat rozkładu lotów. Następnie zadzwoniła do United Airlines. I do TWA. Rozważyła dostępne opcje. Potem wrzuciła rękawiczki do kosza na śmieci i poszła na publiczny parking ulicę dalej.

• • •

Poszli do magazynu przylegającego do boku dużego, przysadzistego budynku stojącego prawie na środku bazy. Kiedy byli na strzelnicy, wzmógł się wiatr, dlatego sierżant z trudem otworzył metalowe drzwi, a kiedy Reacher wszedł do środka, długo z nimi walczył, cudem utrzymując się na nogach. W końcu je zamknął i przekręcił klucz w zamku. Magazyn miał kształt kwadratu o boku długości pięć i pół metra. Podłoga była betonowa. Sufit też. Podtrzymywały go metalowe dźwigary pokryte jakimś gruzełkowatym materiałem ognioodpornym. Z boku biegł rząd świetlówek w drucianych osłonach. Przy drzwiach wisiał telefon, a pod ścianami stały regały. Pomalowane na szaro, z wytrzymałej stali. Do każdego była przymocowana tabliczka z naniesionym szablonem napisem – *Do oceny, Zielone, Bursztynowe, Czerwone* – a do prawych słupków regałów podkładki z plikiem papierów. Nie było okien i w powietrzu unosił się ciężki zapach oliwy i rozpuszczalnika.

Na półkach stały skrzynki. Z bronią krótką na górze i długą na dole. Czerwonych było czternaście. Reacher zdjął jedną z najwyższej półki, postawił ją na podłodze i otworzył. Wyjął emszesnastkę. Była w dużo

gorszym stanie niż ta, z której przed chwilą strzelał. To na pewno. Rozebrał ją szybko, sprawdził dolną komorę zamkową i pokręcił głową.

– Oryginalna.

Sierżant otworzył następną skrzynkę i obejrzał jeden z karabinów. Też mocno porysowany i podrapany.

– Ta też – rzucił.

Każda skrzynka miała z boku numer. Reacher zdjął z haczyka podkładkę i przewrócił kartki. Z ostatniej wynikało, że karabiny ze skrzynki, którą otworzył, zostały wyrejestrowane przez kogoś o inicjałach UE. Te ze skrzynki sierżanta zatwierdził do kasacji DS. Na liście Reacher zobaczył jeszcze jedne inicjały: LH. Znalazł na półce skrzynkę z odpowiednim numerem, rozłożył jeden z karabinów, zdjął dolną komorę zamkową i pokazał ją sierżantowi.

– Bingo – powiedział żołnierz.

– Wyrejestrował go LH. Kto to jest?

– Sierżant Hall. Kieruje zespołem inspekcyjnym.

– To kobieta.

– Tak. Sierżant Lisa Hall. Skąd pan...

– UE i DS to mężczyźni?

– Tak. Ale skąd...

– W zespole inspekcyjnym są jeszcze inne kobiety?

– Nie, ale...

Reacher podniósł rękę.

– Piętnaście dni temu dostaliście przez pomyłkę czerwoną skrzynkę. Czternaście dni temu wpłynęło do nas doniesienie o kradzieży emszesnastek. Sprawdziliśmy to. Do żadnej kradzieży nie doszło.

– Tak, słyszałem o tym nalocie. Ale nie widzę związku.

– Doniesienie było anonimowe, ale dzwoniła kobieta. Czytałem raport.

– Wciąż nie rozumiem...

– Sierżant Hall zdała sobie sprawę, że brakuje czerwonej skrzynki, dzień po tym, jak karabiny tu trafiły. Obawiała się, że mogą postawić jej zarzuty, więc złożyła fałszywe doniesienie. Bardzo poważne. Kradzież broni. Wiedziała, że natychmiast przyjadą tu śledczy. Oczywiście przyjechali i otworzyli wszystkie skrzynki, łącznie z tymi, za które odpowiadała. Szukali emszesnastek. Kompletnych. I je znaleźli, więc zamknęli sprawę. Nie wykryli żadnego przestępstwa. A gdyby wyszło na jaw, że w karabinkach podmieniono dolne komory zamkowe, Lisę Hall oczyszczono by z zarzutu kradzieży. Liczyła na to, że śledczy wyciągną taki sam wniosek jak pan. Że broń przyjechała w takim stanie z Zatoki.

– Nie. Znam ją. Nie zrobiłaby czegoś takiego.

– Upewnijmy się. Gdzie dzisiaj jest?

– Nie wiem.

– To niech pan się dowie.

– Tak jest.

Sierżant podszedł do telefonu. Jego stopy wzbijały w powietrze obłoczki kurzu. Powoli wybrał numer, zamienił z kimś kilka słów, odłożył słuchawkę i zameldował:

– Hall nie ma dzisiaj służby, panie kapitanie

– Dobrze. A gdzie kwateruje?

• • •

Veronica Sanson czekała na siostrę na trzecim piętrze parkingu. Obok niebieskiego vana. Przed dwoma dniami, zaraz po przyjeździe do miasta, ukradły go z parkingu długoterminowego na lotnisku O'Hare. Roberta skinęła jej głową i otworzyła tylne drzwi samochodu. Przebrały się w kucki

między siedzeniami z tyłu, na zmianę pilnując, czy nikt nie nadchodzi. Zdjęły szpitalne uniformy i fartuchy. Włożyły dzinsy, adidas, bluzki i kurtki. Rzeczy proste i anonimowe. Potem objęły się na pożegnanie, z wąskiego bagażnika wyjęły płócienne torby, przetarły kabinę i drzwi, żeby usunąć odciski palców, po czym skierowały się do różnych wyjść. Roberta skręciła na zachód. Przebijała się przez tłumy turystów i kupujących, mijała wystawy sklepowe, kawiarnie i biura, w końcu dotarła do stacji metra Clark/Lake. Veronica poszła na południe, w kierunku stacji Roosevelta, gdzie spod ziemi wybiegała na powierzchnię pomarańczowa linia L.

• • •

Sierżant z arsenału na Rock Island podobał się Reacherowi. Był dość bystry. Otrzaskany. Rozgarnięty na tyle, by wiedzieć, w jakie kłopoty wpadnie, jeśli Hall zwierzy, że ją podejrzewają. Ale Reacher był człowiekiem ostrożnym. Już dawno temu przekonał się, że niebezpiecznie jest kogoś przeceniać. I że lojalność wobec kolegów z jednostki może być silniejsza niż respekt przed obcym. Zwłaszcza kiedy obcy jest żandarmem wojskowym. Dlatego upewnił się, czy sierżant wie, na jakie konsekwencje się narazi, jeśli ulegnie pokusie i zadzwoni do koleżanki. Nie pozostawił co do tego żadnych wątpliwości. Potem wypożyczył samochód z parku motorowego bazy i pojechał do Hall.

Sierżant Hall mieszkała w ostatnim z kilku domów rozrzuconych nad rzeką sześć i pół kilometra od głównej bramy arsenału. Jej dom był mały i schludnie utrzymany. Zaprojektowany tak, żeby był funkcjonalny. Bez wyszukanych ozdóbek, o które trzeba by dbać. Bez konieczności skomplikowanych prac porządkowych na podwórzu. Reacher zapukał do drzwi, ale nikt mu nie otworzył. Przez okna z przodu i z tyłu nic nie

zobaczył. Tylko komplet mebli dobranych tak, jakby ktoś chciał odtworzyć wnętrze z taniego katalogu. Bez żadnych osobistych akcentów. Bez zdjęć. Bibelotów. Bez drobiazgów, którymi ludzie narzucają wnętrzu swoją osobowość. Dobrze to rozumiał. Nie licząc czterech lat w West Point, spędził życie na ciągłej wędrówce między bazami. Pół roku tu. Pół roku tam. Różne kraje. Różne kontynenty. Nigdzie nie zostawał na tyle długo, żeby poczuć się jak w domu. Najpierw jako dzieciak, bo ojciec był oficerem piechoty morskiej. Potem jako dorosły i też oficer. Może Hall miała podobne doświadczenia. Może spodziewała się kolejnej zmiany przydziału i nie chciała marnować sił na urządzenie domu, który i tak miała wkrótce opuścić. Ale mogła też mieć inny powód, żeby w razie czego móc wyjechać w pośpiechu.

Wrócił do samochodu, żeby zaczekać. Mógł czekać długo, zupełnie go to nie martwiło. Był cierpliwy. Nigdzie mu się nie spieszyło. Natura stworzyła go do dwóch stanów istnienia. Do natychmiastowego, gwałtownego działania. I do stanu niemal katatonicznego. Kłopoty sprawiał mu jedynie stan pośredni. Wysiadywanie na bezsensownych zebraniach, naradach i odprawach, które pochłaniają tak dużo wojskowego życia.

3

Telefon zadzwonił o dziewiątej wieczorem czasu wschodnioamerykańskiego. Czyli o ósmej wieczorem czasu środkowoamerykańskiego, obowiązującego tam, gdzie wybrano numer. A więc zgodnie z grafiką.

Połączenie natychmiast odebrano.

– Jest kolejny – zameldował dzwoniący mężczyzna. – Keith Bridgeman. Rozległe tępe urazy ciała i głowy na skutek upadku ze szpitalnego okna. Z jedenastego piętra United Medical w Chicago. Leżał tam po zawale serca. Jeszcze nie doszedł do siebie, ale był na dobrej drodze. Gdy parę godzin wcześniej pielęgniarki robiły obchód, czuł się dobrze. Nikt go nie odwiedzał, nikt do niego nie dzwonił, żadnych kontaktów z kimś spoza szpitala. Policja stawia na samobójstwo albo na wypadek, pięćdziesiąt na pięćdziesiąt procent. Musiał sam otworzyć okno, bo w kieszeni wciąż miał klucz. Ale nie zostawił listu. To na razie tyle. Więcej o zero osiem, zero zero.

– Rozumiem. – Ten, który odebrał, zakończył połączenie.

• • •

Linia telefoniczna, z której korzystali, oficjalnie nie istniała. Należała do jednej z widmowych linii Pentagonu, jakich są tam setki. Może nawet

tysiące. Niczego nie rejestrują, ani połączeń przychodzących, ani wychodzących. Uczestników rozmowy telefonicznej, która odbyła się przed chwilą, nie można było w żaden sposób namierzyć. Ani powiązać jej z następną, przeprowadzoną na tej samej linii. Mimo to mężczyzna przeszedł do sekretariatu – stare nawyki nie umierają – podniósł słuchawkę innego telefonu i wybrał z pamięci numer. Numer, którego nigdzie nie zapisano. Nie figurował na żadnej liście i oficjalnie nie był w użyciu.

Telefon zadzwonił w gabinecie domu stojącego w Georgetown w Waszyngtonie, sześć i pół kilometra dalej. Odebrał go Charles Stamoran. Sekretarz obrony Stanów Zjednoczonych.

Mężczyzna z Pentagonu powtórzył mu odbyłą przed chwilą rozmowę. Słowo w słowo. Neutralnym tonem. Bez streszczeń. Bez skrótów. Dokładnie tak, jak życzył sobie tego Stamoran.

– Rozumiem – rzucił sekretarz, kiedy w słuchawce zapadła cisza. – Zaczekaj.

Położył słuchawkę na blacie biurka obitym wytartą skórą, podszedł do okna i wyjrzał zza zaciągniętych zasłon. Popatrzył na trawnik, staw i murek i wyobrażając sobie ukryte tam czujniki, pułapki i kamery, zastanawiał się nad tym, co właśnie usłyszał. Składano mu raporty na wszystkie możliwe tematy. Ciągłe. Ich czytanie należało do jego obowiązków. Jednym z tych, które się regularnie powtarzały, była lista zgonów znaczących osób. Zagranicznych przywódców. Najważniejszych osób związanych z wojskiem, przyjaciół i wrogów. Ludzi podejrzanych o terroryzm. Wszystkich tych, którzy mogliby zakłócić geopolityczne status quo. Ogólnie rzecz biorąc, same nudy. Ale jednym z bonusów tej pracy było to, że mógł dodać do tej listy kilka nazwisk ekstra. Nieoficjalnie. Nazwisk osób, którymi interesował się prywatnie. Jedną z nich był niejaki Owen Buck, który miesiąc temu zmarł na raka. W czym nie było nic

podejrzanego. Początkowo. Ale niedługo potem zmarła kolejna osoba z prywatnej listy sekretarza. Varinder Singh, którego poraził prąd podczas kąpieli. Bo do wanny wpadł magnetofon z wtyczką wetkniętą do gniazdka. Policja ustaliła, że było to samobójstwo albo wypadek, pięćdziesiąt na pięćdziesiąt procent. A teraz zmarł Keith Bridgeman. Też z jego listy. I też albo-albo. Nie, tego rodzaju zbieg okoliczności nie przeszedłby próby węchu Stamorana. Nigdy.

Wrócił do biurka i podniósł słuchawkę.

– Podam ci trzy nazwiska. Geoff Brown. Michael Rymer. Charlie Adam. Są już na mojej liście. Mają zostać objęci obserwacją. Dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. Od zaraz. Przydziel do tego najlepszych ludzi. Jeśli ktoś choćby spojrzy na któregoś z tych trzech w dziwny sposób, ma się znaleźć w celi. Natychmiast, zanim zdąży mrugnąć okiem. I ma przebywać w całkowitej izolacji, dopóki nie przyślę kogoś, żeby go przesłuchał.

– Obserwacja tajna? Bez nawiązywania kontaktu?

– Całkowicie tajna. Ci ludzie zjedli na tym zęby. Jeśli zorientują się, że mamy powody, by ich obserwować, znikną szybciej niż polityk, którego wyborcy wzywają do spełnienia złożonych obietnic.

– Rozumiem.

– Jest i czwarte nazwisko. Neville Pritchard. On też jest na liście. Ma się znaleźć w areszcie ochronnym. Najbezpieczniejszym, jaki mamy. Najbardziej odosobnionym. Natychmiast. Jeszcze dzisiaj. Bez żadnej zwłoki.

• • •

Stamoran odłożył słuchawkę na widełki i wrócił do okna. Trzech nie żyło. Trzech znajdzie się pod obserwacją. Jeden w odosobnieniu. Pozostało

jeszcze jedno nazwisko. Już ostatnie. Którego nie było na liście. On je oczywiście znał. Tak jak Pritchard. Ale nie znał go nikt inny. I musiało tak pozostać. Od tego zależała tajemnica, którą ukrywał od dwudziestu trzech lat.

Pomyślał o Pritchardzie. Spróbował przypomnieć sobie jego twarz. Po tylu latach nie było to łatwe. Ale dobrze pamiętał jego wybuchowy charakter. Pritchard nie będzie zadowolony, kiedy wywleką go z łóżka, skują i wywiozą Bóg wie gdzie. Oj, nie będzie. To niedobrze. Ale kiedy ktoś zmusza cię do gry w rosyjską ruletkę, nie masz czasu przejmować się czymiś uczuciami. Pozostaje ci tylko jeden ruch. Dopilnować, żeby wyjęto kulę z rewolweru.

• • •

Sierżant Hall przyjechała tuż po wpół do dziewiątej wieczorem, czystym małym amerykańskim sedanem. Zaparkowała dokładnie przed domem i weszła na ścieżkę prowadzącą do drzwi. Miała jakieś metr sześćdziesiąt pięć wzrostu i była w cywilnym ubraniu. W dzinsach, białych sportowych butach i bluzie Oriolesów. Blond włosy miała związane w kucyk i poruszała się z płynną pewnością siebie, jak sportsmenka. Nie spieszyła się. Nie rozglądała wokoło, żeby sprawdzić, czy ktoś jej nie obserwuje. Reacher był zadowolony. Bo znaczyło to, że sierżant z arsenału go posłuchał. Dał jej kilka minut, żeby się ogarnęła, i podszedł do drzwi.

Otworzyła niemal natychmiast. Widok olbrzyma w mundurze polowym zaskoczył ją, lecz nie zaniepokoił.

– W czym mogę pomóc, kapitanie?

Pokazał jej legitymację służbową i schował portfel do kieszeni.

– Ja w sprawie tej skradzionej broni. Poświęci mi pani chwilę?

Miała obojętną twarz.

– Nie brakuje ani jednej sztuki – powiedziała. – Żandarmi przeszukali całą bazę. Oficjalnie to potwierdzili.

– Broni nie brakuje. Brakuje czegoś innego.

Uciekła wzrokiem w bok. Podrapała się w policzek i założyła za ucho niesforny kosmyk włosów.

– Nie bardzo rozumiem...

– Chodzi o nasze papiery. Zaginęło kilka kartek. Ktoś zawalił. Muszę to naprostować, zanim dowódca się dowie. Wyjaśnić parę szczegółów. Skierowano mnie do pani.

– W sprawie papierów? – Mrugnęła raz i drugi. – Ach, tak. Dobrze, oczywiście. Co by pan... Zaraz. Nie ma pan ani teczki, ani podkładki...

– Nie są mi potrzebne. – Postukał się palcem w skroń. – Wszystko zapamiętam. Potem zadzwonię do bazy i przekażę to, komu trzeba. To on będzie wypełniał formularze. Inaczej charakter pisma by się nie zgadzał.

Hall milczała.

– To potrwa tylko chwilę – obiecał. – A goni nas czas.

– Dobrze. Więc co pan chce wiedzieć?

– Mógłbym wejść? Mam za sobą ciężki dzień. Chętnie napiłbym się wody.

Zawahala się. Otaksowała go wzrokiem. Był trzydzieści centymetrów od niej wyższy. I pewnie dwa razy cięższy. Ale był też żandarmem wojskowym, a żandarmi nie lubią, kiedy się im odmawia. Nic dobrego z tego nie wychodzi. Dlatego po chwili skinęła głową i gestem ręki zaprosiła go do środka. W korytarzu wisiały oprawione w ramkę obrazy. Po trzy na ścianie. Ryciny przedstawiające zwierzęta, ptaki i sceny ze świata przyrody. Wskazała drzwi po prawej stronie i poszła dalej, do kuchni.

Reacher skręcił w prawo i znalazł się w salonie. Żeby nie uderzyć głową w zwisającą z sufitu lampę, stanął nieco z boku i zaczekał na Hall.

Przyszła chwilę później z dwiema szklankami wody. Postawiła jedną na stoliku przy kanapie i przycupnęła na brzegu stojącego naprzeciwko fotela.

– No więc? – rzuciła. – O jakie szczegóły chodzi?

Reacher usiadł na środku kanapy i wypił łyk wody.

– O broń z Zatoki. Tę, która ma trafić do demobilu. Odpowiada pani za jej testowanie. To pani decyduje, którą zatrzymać, a którą przeznaczyć do zniszczenia?

– Mój zespół – odparła. – Nie tylko ja. Ale żadnej broni nie skradziono, ani jednej sztuki. Żandarmi przeszukali...

– Kto testuje którą skrzynkę? Kto o tym decyduje?

Zawahala się.

– Robimy to w sumie na chybił trafił. Nie ma żadnej metody.

– Kto decyduje? – powtórzył.

– Chyba ja. Jako odpowiedzialna za ewidencjonowanie.

– Myślę, że jednak ma pani metodę. I że ta metoda nie ma nic wspólnego z ewidencjonowaniem. Upewnia się pani, że karabiny, które do pani trafiają, są w dobrym stanie. I że są stare. Wyposażone w mechanizm spustowy umożliwiający prowadzenie ognia ciągłego.

– Po co miałabym to robić?

– Skąd bierze pani cywilne komory zamkowe?

– Cywilne? Coś się panu pomyliło. Nie mamy w arsenale cywilnej broni.

– Dolna komora zamkowa z przełącznikiem ognia ciągłego to cenna rzecz. Zmienia aeriętnastkę w automat, który może kupić każdy kretyń. Dlatego podmienia je pani, sprzedaje, a potem wysyła do pieca pozornie kompletne karabiny. Czysta sprawa, nie do wykrycia. I nikt by tego nie wykrył, gdyby nie usłyszała pani, że w bazie zaginęła skrzynka

z przerobionymi emszesnastkami. Na skutek pomyłki administracyjnej. A to mogło być poważnym problemem. Musiała się pani zabezpieczyć. Więc złożyła pani fałszywe doniesienie o kradzieży karabinów. Ale wiedziała pani, że niczego nie skradziono i personel Rock Island zostanie oczyszczony z wszelkich podejrzeń. Pani też. A gdyby sprawa z przerobionymi karabinami wyszła na jaw, podejrzania skierowano by pewnie na kogoś z zewnątrz, na ich pierwotnych właścicieli z Zatoki. Których nigdy by nie wytropiono, bo nasze systemy ewidencyjne to dno dna.

Hall zerwała się na równe nogi.

– Przerobione karabiny? Nie wiem, o czym...

– Siadaj. – Reacher powiedział to tak głośno, że omal się nie przewróciła.

Usiadła. Wcisnęła się w fotel, mała i sflaczała jak balon, z którego uszło powietrze.

– Jesteś w trudnym położeniu. Wiesz, co powinnaś teraz zrobić?

Pokręciła głową. Ledwo dostrzegalnym nerwowym ruchem.

– Powinnaś przestać kłamać. Tylko pogarszasz swoją sytuację. Musisz być szczerą. Powiesz wszystko bez wciskania mi kitu i zobaczę, czy będę mógł ci pomóc. Może uda mi się trochę ograniczyć szkody. Ale zrobię to tylko pod warunkiem, że przestaniesz mnie wkurzać.

Ukryła twarz w dłoniach i zwinęła się w jeszcze ciaśniejszy kłębek. Gdy opuściła rękę, po jej policzku spłynęła łza.

– Dobrze. – Pociągnęła nosem. – Do niczego się nie przyznaję. To nie ja. Ale dużo wiem. I powiem. Dowódca pana pochwali. Ale najpierw muszę do łazienki. Na chwilę. Żeby ochłonać.

– Dobrze. Ale idź na górę.

Hall wstała i pobiegła do drzwi.

Słyszał jej szybkie lekkie kroki na schodach. Słyszał, jak trzaska drzwiami do sypialni, a kilka sekund później, jak zamyka się w łazience. Trzask drugich drzwi dobiegł cichszy, bo były po drugiej stronie domu.

• • •

Hall wiedziała, że Reacher usłyszy trzask drzwi, i chciała tego. Inaczej nie wyglądałoby to przekonująco. Ale modliła się, żeby nie usłyszał kolejnego odgłosu. Cichego, nieuniknionego skrzypnięcia powoli otwieranego okna.

• • •

Susan Kasluga czekała, aż zagotuje się woda w czajniku, kiedy do kuchni wszedł Stamoran. Kuchnia była prostokątna, przestronna, z wyspą na środku i na błysk wypolerowanymi białymi blatami. Szafki też były białe, z gładkimi drzwiczkami bez żadnych zdobień. Na ścianach błyszcząły stalowe panele ochronne, a stojący na widoku sprzęt kuchenny był funkcjonalnie pogrupowany. Susan osobiście zaprojektowała każdy szczegół, a kiedy pewien dziennikarz napisał, że czuł się w jej kuchni jak w laboratorium, nie posiadała się z zachwytem.

– Masz chwilę? – spytał Stamoran. – Musimy porozmawiać.

Susan skrzyżowała ramiona na piersi.

– Oby tylko nie o mojej herbacie. – Powiedziała to surowym tonem, choć z cieniem uśmiechu w kącikach oczu.

Byli parą od dwudziestu lat i małżeństwem od siedemnastu bez jednego miesiąca. Nie należeli do typowych małżeństw. Ona była od niego dziesięć lat młodsza. Piętnaście centymetrów wyższa. Miała nieokiełznane jaskraworude włosy, które, jeśli nie związywała ich do pracy, sięgały talii i świetnie pasowały do zakietu albo – choć ostatnio coraz rzadziej – do

fartucha laboratoryjnego. Miała wystające kości policzkowe i jasnozielone oczy. Kiedy wchodziła do pokoju, wszyscy ją zauważali. Nic nie mogli na to poradzić. Nie mogli się nie gapić, chociaż przekroczyła już pięćdziesiątkę. Z wyglądu Stamoran był jej przeciwieństwem. Po sześćdziesiątce, niski i krępy, miał nijaką twarz i nijako ostrzyżone włosy, a raczej to, co z nich zostało. Gdy towarzyszył jej na bankiecie czy przyjęciu, następnego dnia trzeba było przejrzeć zdjęcia prasowe, żeby sprawdzić, czy w ogóle tam był. Pracowali w dwóch różnych światach. Mieli całkiem inne zainteresowania. Inne hobby. Inne gusty kulinarne. Lubili inne książki i inne filmy. Ale jeśli chodzi o umysł i przebiegłość, dobrali się wprost idealnie.

– Nie, to nie ma nic wspólnego z twoim... napojem.

On też się uśmiechnął, choć bez odrobiny ciepła. Należał do ludzi dokładnych. Nawet pedantycznych. Nie mógł znieść, że garść zalanych wrzątkiem cuchnących ziół nazywała herbatą – przecież nie było w tym ani miligrama herbaty. Nienawidził braku precyzji i uważał, że jako naukowiec Susan powinna być mądrzejsza. Była to jedna z kilku rzeczy, które bolały go nawet po dwudziestu latach związku.

– Mam wiadomości. Niedobre. Nie żyje trzech ludzi, którzy pracowali w Mason Chemical, kiedy tam byłaś. Wszyscy zmarli w tym miesiącu. – Zrobił pauzę. – Owen Buck. Varinder Singh. I Keith Bridgeman.

Czajnik zagwizdał, cichutko i nieśmiało, ale Kasługa nie czekała, aż zagwizdze głośniej. Podniosła go i napełniła kubek gorącą wodą. Wiedziała, że tego rodzaju „herbaty” nie należy zalewać wrzątkiem. I nie miała problemu z przechodzeniem od zawodowej dokładności do domowej spontaniczności i odwrotnie. Jednotorowa sztywność umysłowa męża doprowadzała ją do szału.

– Tak, te nazwiska coś mi mówią. Indie, sześćdziesiąty dziewiąty, prawda? Byli członkami jakiegoś specjalnego zespołu badawczego. Tajnego. Cały ten projekt był tajny. Musieli mieć już swoje lata. Co się stało? Umarli ze starości?

– Buck na raka. Pozostali... nie do końca wiadomo. Albo samobójstwo, albo wypadek, tak twierdzi policja.

– Obaj?

Stamoran kiwnął głową.

– Nie mogli zginąć w wypadku, nie jeden po drugim – stwierdziła Kasluga. – A więc samobójstwo? Naprawdę?

– Nie. Myślę, że ktoś ich zabił.

– „Zabił” jak „zamordował”?

Znów kiwnął głową.

– Dlaczego ktoś miałby zamordować dwóch emerytowanych naukowców? To bez sensu.

– Susan, jest coś, o czym powinnaś wiedzieć. O tym, co się wtedy stało. W sześćdziesiątym dziewiątym. Nie mówiłem ci tego wcześniej z powodów, które zaraz zrozumiesz. Ale teraz muszę, bo myślę, że grozi ci niebezpieczeństwo.

– Niebezpieczeństwo? Mnie? Jakie? Nie miałam nic wspólnego z tym, co tamci robili.

– Wiem.

– Na litość boską, to były lata sześćdziesiąte. Kobieta nie miała wtedy żadnych szans na prowadzenie prac badawczych. Nieważne, że byłam zdolniejsza od wszystkich mężczyzn, którzy starali się o posadę w Mason Chemical w ciągu poprzednich dziesięciu lat. Pewnie nawet dwudziestu. I że kiedy mnie w końcu zatrudniono, biłam na głowę każdego faceta, który

tam pracował. Te dupki i tak nie chciały mnie dopuścić do niczego choćby w miarę interesującego.

– Dlatego przyjęłaś pracę w Indiach. Wiem. To było mądre posunięcie.

– Nieprawda. Myślałam, że jeśli ucieknę z kwatery głównej, będę miała więcej swobody, ale nie. Wciąż siedziałam na ławce rezerwowych. Tylko że tam było milion stopni w cieniu, żadnych udogodnień i nie miałam nic do roboty. Przynajmniej dopóki nie wybuchła ta afera. Bo wtedy zaczęli szukać ładnej twarzyczki, którą mogliby postawić przed kamerami i trzymać ją tam, dopóki kurz nie opadnie. Ładnej i naiwnej. Z niechcianego darmozjada z dnia na dzień awansowałam na gwiazdę sezonu. Nagle nie mogli się mną nacieszyć. A kiedy już przestali mnie potrzebować, zapłaciłam za to wysoką cenę.

– Wykorzystali cię. Zrobili z ciebie piarowca. To oczywiste. Ale nie to mnie martwi.

– Więc w czym problem? Nawet jeśli rzeczywiście zamordowano dwóch naukowców, z którymi od ponad dwudziestu lat nie miałam kontaktu, to jeśli ktoś ma się oglądać przez ramię, to chyba pozostali członkowie zespołu, prawda? Może z nimi powinieneś porozmawiać. Może któryś z nich chowa jakąś urazę. Któryś z tych żyjących.

– Nie sądzę. To robota kogoś z zewnątrz. I poczyniłem już odpowiednie kroki. Zajmiemy się nimi... tymi żyjącymi.

– Naprawdę myślisz, że ktoś na nich poluje? Na wszystkich? Dlaczego? Co takiego zrobili?

Stamoran nie odpowiedział.

Kasługa spiorunowała go wzrokiem.

– I dlaczego ktoś tak się tym zdenerwował dopiero teraz, po tylu latach?

Jej mąż odczekał chwilę i odparł:

– W tym zespole było siedem osób. Na pierwszy rzut oka autentycznych naukowców. Ale byli nie tylko naukowcami. Dwóch pracowało dla wojska. Pięciu dla CIA. Ich cywilne papiery były tylko przykrywką.

Podniosła kubek, ale zaraz odstawiła go na blat.

– Żartujesz – rzuciła. – W moim miejscu pracy roilo się od żołnierzy i szpiegów? Od kiedy o tym wiesz?

– Nieważne.

– Właśnie że ważne. Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym wcześniej?

– Zasada ograniczonego dostępu. Nie byłaś wtajemniczona. Teraz jesteś.

Kasługa wzruszyła ramionami.

– To by wyjaśniało tę bondowską atmosferę. Nad czym pracowali?

Stamoran pokręcił głową.

– To też nie jest ważne. Teraz ważne są tylko dwie rzeczy. Po pierwsze, tak, myślę, że ktoś poluje na cały zespół. To, że dwóch zginęło w podejrzanych okolicznościach, jeden po drugim, jest za dużym zbiegiem okoliczności. Po drugie, tak naprawdę zespół nie składał się z siedmiu osób. Tylko z ośmiu. Z projektem był związany ktoś jeszcze. Pośrednio. Ale w znaczący sposób.

Sięgnęła po kubek, lecz cofnęła rękę i przycisnęła ją do uda.

– Z ośmiu? Jesteś pewny?

– Tak.

Wzięła głęboki oddech.

– Wiesz, kto był tym ósmym?

Stamoran kiwnął głową.

– Tak.

Kasluga pochyliła się, położyła ręce na blacie i oparła się na nich całym ciężarem ciała.

– Charles? – Zniżyła głos do szeptu. – Jeśli masz mi coś do powiedzenia, zrób to teraz.

– Dobrze. – Stamoran przerwał na chwilę. – Tą ósmą osobą... byłem ja.

4

Reacher nie tylko słyszał, jak Hall otwiera okno. Ale również widział.

Kiedy tylko trzasnęły pierwsze drzwi na górze, zerwał się z kanapy, po cichu przeszedł korytarzem i otworzył frontowe. Zostawił je otwarte, żeby nie narobić hałasu. Pobiegnął wzdłuż domu do lewego rogu. Ustawił się tak, że w oknie wypożyczonego samochodu widział odbicie całej bocznej ściany. I czekał. Po chwili ukazała się głowa Hall. Kobieta zerknęła w lewo, zerknęła w prawo i wyciągnęła się w stronę rynny biegnącej tuż obok okna. Chwyciła ją jedną ręką. Potem drugą. Wsunęła się tyłem z okna i usiadła na parapecie, twarzą do ściany. Podciągnęła prawą nogę i przykucnęła. Podciągnęła lewą. Napięła mięśnie, odepchnęła się, przerzuciła prawą nogę za rynnę i zaczęła schodzić na dół. Zmieniała ręce, dociskała na płask podeszwy butów do ściany, odchyłała się niemal prostopadle do niej, jakby spuszczała się po sztywnej żelaznej linie.

Reacher pozwolił jej pokonać pół drogi, wyszedł zza rogu i ruszył w jej stronę. Od razu go zauważyła i zmieniła kierunek. Próbowwała się wspiąć, żeby zanurkować przez okno do domu. Ale zanim zdążyła, Reacher wyprostował się na całą wysokość i złapał ją za pasek.

– Zejdiesz powoli, spokojnie i bezpiecznie? Czy wolisz spaść na głowę?

Zeszła sama. Postawiła nogi na ziemi i oparła się ciężko o ścianę.

Reacher stanął tuż przed nią.

– Można bezpiecznie powiedzieć, że fazę przyznania się do winy mamy za sobą, prawda?

– Dupek. I co teraz?

– Zależy od ciebie.

– Czego chcesz?

– Ukradłeś te komory zamkowe?

– To chyba oczywiste.

– Ile?

– Czterdzieści osiem sztuk.

– Słyszysz ten trzask?

Hall popatrzyła w lewo i w prawo.

– Nie. Bo co?

– To zamyka się okienko czasowe, w którym mogłaś sobie pomóc.

– Zaczekaj. Dobra, dziewięćdziesiąt sześć.

– Sprzedałaś je?

– Nie kradłam ich na pamiątkę.

– Komu je opchnęłaś?

Kobieta pokręciła głową i westchnęła.

– Tak szczerze. Wpakowałam się w duże kłopoty?

– Po mojemu? W bardzo duże.

– Da się coś zrobić, żeby zmienić tę prognozę? – Odepchnęła się od ściany i spojrzała mu w oczy. – Na bardziej słoneczną? Może coś za coś?

– Może.

• • •

– Zaraz. – Kasługa cofnęła się od kuchennego blatu. Podniosła prawą rękę otwartą dłońią do męża, jak policjantka zatrzymująca ruch na ulicy. – W sześćdziesiątym dziewiątym byłeś w tej fabryce? W Indiach? W tym samym czasie co ja? Wykluczone. Wiedziałabym. Zauważyłabym cię.

Stamoran pokręcił głową.

– Nie powiedziałem, że byłem w Indiach. Byłem tutaj, w Stanach. W Langley. Kierowałem programem, nad którym pracowało tamtych siedmiu. I pięcioma podobnymi programami w innych krajach.

Kasluga wzięła się pod boki.

– Kierowałeś tym programem? Więc to dzięki tobie zostawili mnie na lodzie?

– Nie. Dzięki mojemu numerowi dwa, lokalnemu kontrolerowi. To była jego decyzja. W krytycznej sytuacji miał natychmiast reagować. Samodzielnie, bez konsultacji ze mną. Poza tym to było na długo przed tym, jak się poznaliśmy. Wtedy nie wiedziałem nawet, że istniejesz.

– Kto to był? Ten numer dwa.

– Nieważne.

Wyszarpnęła nóż z drewnianego bloku stojącego na kuchennym blacie.

– Powiedz to jeszcze raz i oberwiesz. No, mów! Pritchard, tak? Neville Pritchard? To on był twoim pełnomocnikiem. To o nim mówimy.

Stamoran milczał.

Kasluga położyła nóż obok kubka.

– Pritchard ci podlegał. Wie, jak się nazywasz?

Jej mąż skinął głową.

– Tylko on? – drążyła.

– Tak. Struktura była skompartmentalizowana. Dla bezpieczeństwa.

– Więc Pritchard może cię sypnąć. Jeśli ten, kto zabija członków zespołu, wszystkich w końcu namierzy.

– Teoretycznie.

– Ciebie też może? O nie, Charles, to mi się nie podoba. Ani trochę. – Kasługa obeszła kuchenną wyspę i dotknęła ramienia męża.

– Nic mi nie grozi. Martwię się nie o siebie, tylko o ciebie.

– Dlaczego? Nie pracowałam w tym zespole. Byłam tylko piarowcem. Sam tak powiedziałeś. Zresztą to, czym się zajmowałam, nie było objęte tajemnicą. Nie ma powodu, żeby Pritchard wskazał mnie palcem. Ani żaden inny z żyjących naukowców z tego zespołu.

– Nie widzisz szerszego obrazu, Susie. Singh był stary, mieszkał sam. Bridgeman leżał w szpitalu, ledwo żywy po zawale serca. Łatwo można było ich dopaść. Ale mnie? Jestem chyba, zaraz po prezydencie, najlepiej strzeżonym człowiekiem na świecie.

– Więc co? Ten ktoś będzie chciał dopaść mnie, żeby dobrać się do ciebie?

– Na jego miejscu tak bym zrobił.

– To nie za fajnie, Charles, nie za fajnie. – Zabrała rękę z ramienia męża.

Wzruszył ramionami.

Kasługa wróciła na drugą stronę wyspy.

– Nie można czegoś zrobić? Złapać go, zanim dopadnie pozostałych? Zanim się o tobie dowie?

– Wszystko jest pod kontrolą.

– Pod kontrolą? To znaczy? Co dokładnie robisz?

– To nie... Powiem tylko, że ten człowiek nie pozostanie długo na wolności.

– Czy to nie ryzykowne zostawiać tak pozostałych, podczas gdy on na nich poluje? Nie można zamknąć ich gdzieś, gdzie byliby bezpieczni?

Stamoran milczał.

– Czyli nie? – rzuciła.

– Nie mogę wchodzić w szczegóły. Dobrze wiesz. Tak jak wiesz, że nie lubię ryzykować. Dlatego chcę, żebyś coś dla mnie zrobiła.

– Oczywiście. Co?

– Zostań tu. W domu.

– Kiedy?

– Jutro. I pojutrze. Nie idź do biura. W ogóle nie wychodź. Dopóki ten człowiek nie trafi za kraty.

– Żartujesz.

– Nie. Mówię bardzo poważnie.

– To najgłupsza prośba, jaką kiedykolwiek słyszałam z twoich ust. Jutro przez cały dzień mam spotkanie za spotkaniem. Pojutrze też. Nie licząc mnie, wśród szefów pięciuset największych firm w Stanach są tylko trzy kobiety. I czterystu dziewięćdziesięciu sześciu mężczyzn. Dobrze o tym wiesz. Więc jeśli się nie pokażę, co ci faceci o mnie pomyślą? Że jestem dziwna. Niesolidna. Słaba. Że nie nadaję się do tej pracy. Do południa rzucają się na mnie z nożami.

– A co by pomyśleli, gdyby śmiertelnie poraził cię prąd? Bo to właśnie przydarzyło się Singhowi. Albo gdybyś wypadła z okna na jedenastym piętrze szpitala? Tak jak Bridgeman. Susie, pomyśl tylko. Martwa nie pokierujesz żadną firmą.

– Cholera jasna! – Kasługa podniosła kubek i wrzuciła go do zlewu. Roztrzaskał się, zalewając stalowy panel strugami zielonobrazowej cieczy.
– Idę poćwiczyć. Porozmawiamy później.

• • •

Roberta i Veronica Sanson spotkały się w nowoorleańskim Hiltonie, zgodnie z planem. Przyleciały osobnymi samolotami, z różnych lotnisk. Podróżowały, korzystając z fałszywych papierów. Jedna dwadzieścia minut po drugiej, skorzystały z darmowego transferu do centrum miasta. Niespodzianką było jedynie to, że Roberta dotarła do hotelu jako pierwsza. Według rozkładu lotów miała dotrzeć kwadrans po siostrze, ale tego dnia bagażowi na Midway pracowali skandalicznie wolno. Co doprowadziło do mnóstwa opóźnień. Ale to była drobnostka. Uznawszy, że nie muszą wprowadzać do planu większych zmian, Roberta natychmiast przystąpiła do realizacji następnego zadania. Kupiła mrożoną herbatę w hotelowej kawiarni na parterze, poszła do kiczowatego ogródka za białym płotkiem, usiadła tam i obserwowała hotelowy parking.

• • •

Po przybyciu do hotelu Veronica skierowała się prosto na umówione miejsce. Swobodnym krokiem podeszła do parkingowego i rzuciła:

– Dobry wieczór. Jak tam?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Chyba dobrze, dzięki. Pani po samochód?

Pokręciła głową.

– Nie. Nie prowadzę. Właśnie przyjechałam, idę do recepcji. I mam zagwozdkę. Słyszałam, że to bardzo imprezowe miasto, a będę tu tylko jeden wieczór. Nie chcę tracić czasu na łażenie po nudnych knajpach. Dlatego tak się zastanawiam... Mieszkasz tu gdzieś?

– Od urodzenia.

– Na to liczyłam. Jak masz na imię?

– Riccardo.

– Miło mi cię poznać, Riccardo. Ja jestem Stephanie. Mam pytanie. Gdyby odwiedziła cię dobra przyjaciółka, która lubi się zabawić, ale nie chce tracić czasu, gdzie byś ją zabrał?

– Do Enrico's. Jedna przecznica od Bourbon Street. Dużo dobrej zabawy, ale takiej z klasą. Spokojnie i bez żadnego ryzyka.

– A gdyby przyjaciółka szukała czegoś... ryzykownego?

– Wtedy poleciłbym Vault – odparł z uśmiechem Riccardo. – Tam od kłopotów aż się roi.

Veronica też posłała mu uśmiech.

– Czyżbyś mówił z doświadczenia?

– Może. Ale dopiero co się poznaliśmy. Może powinienem powołać się na piątą poprawkę?

– A może lepiej spotkajmy się tu wieczorem i pokażesz mi, co i jak? Ja nie znam miasta, a ty masz bogate... hm, doświadczenie.

Riccardo uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Jasne, czemu nie? Kończę o jedenastej.

– Świetnie. Więc do zobaczenia. Około północy?

– Spoko, możesz na mnie liczyć.

• • •

Czując, jak parkingowy obmacuje wzrokiem jej tyłek, Veronica ruszyła w stronę wejścia do hotelu. Zawiązała włosy w ciasny węzeł z tyłu głowy, podeszła do lady i poprosiła o pokój. Tylko na jedną noc. Zapłaciła gotówką. Pokazała dokumenty na nazwisko Cailin Delaney. Podpisała formularze, które podsunęła jej recepcjonistka, wzięła resztę i klucz i wyszła przed hotel. Przejściem w płotku weszła do ogródka i przystanąła

obok wolnego stolika. Rozejrzała się jak ktoś, kto kogoś szuka. Pochyliła się i oparła o blat czubkami trzech palców. Nie spojrzała na Robertę. Wiedziała, że siostra ją obserwuje. Po chwili podkurczyła palec serdeczny, a kilka sekund później poruszyła ręką i dotknęła blatu wszystkimi czterema. Stała tak trochę. Potem wzruszyła ramionami, jakby osoba, na którą czekała, nie przyszła, wróciła do hotelu i poszła do pokoju 324.

• • •

Roberta obserwowała przyhotelowy parking. Widziała, jak przyjeżdżają i odjeżdżają czarny kabriolet, trzy sedany i jeep. Dopija resztę herbaty i wstała. Przy krawężniku zatrzymał się minivan. Otworzyły się drzwi od strony pasażera i wysiadła kobieta. Sprawiała wrażenie zesztywniałej, zmęczonej i poirytowanej. Około trzydziestki, w białych szortach, różowej bluzce i sandałach. Na bluzce miała dużą owalną plamę. Włosów nie czesała chyba od tygodnia. Przeciągnęła się, stęknęła, odwróciła i otworzyła tylne drzwi. Z samochodu natychmiast wysypała się gromadka dzieci, czwórka. Najstarsze miało około dwunastu lat. Najmłodsze sześć. Sami chłopcy, więc od razu zaczęli się ganiać, krzyczeć i popychać. Roberta widziała stada dzikich psów walczących o zdobyczną padlinę, które zachowywały się spokojniej. Matka pokręciła głową, wyciągnęła ręce i popędziła ich w stronę hotelu. Za vanem ukazał się mężczyzna. Prawdopodobnie ojciec chłopców. Otworzył tylną klapę i zaczął wyjmować z vana walizki w jaskrawych kolorach. Parkingowy pomógł mu ułożyć je na wózku, dał mu numerek i podbiegł do drzwi od strony kierowcy.

Tatusiowi nie spieszyło się do rodziny. Schował numerek do tylnej kieszeni obszernych szortów i jedną ręką pchnął wózek. Bez entuzjazmu. Wózek ledwo jechał. Toczył się tak wolno, że Roberta też musiała zwolnić. Lekko skręciła i wyjęła z torebki notes. Wciąż idąc, otworzyła go i udała, że

coś czyta. I nie wie, że jest na kursie kolizyjnym z mężczyzną. Wpadła prosto na niego, ocierając się przy tym kolanem o wewnętrzną stronę jego uda. Głośno krzyknęła i upuściła notes, tak że wylądował u stóp mężczyzny. Ten puścił wózek i zrobił krok w lewo. Chwilę trwało, zanim się ogarnął. Potem schylił się, podniósł notes i podał go jej.

– Bardzo dziękuję – powiedziała. – Jest pan bardzo miły. A ja bardzo niezdarna, przepraszam.

Tatuś uśmiechnął się szeroko i poprawił przód wygniecionej koszuli.

– Nie ma za co. To była najbardziej ekscytująca rzecz, jaka przydarzyła mi się od tygodnia.

Teraz tak mówisz, pomyślała Roberta. Zaczekaj, aż spróbujesz odzyskać swój wóz.

5

Na poboczu drogi biegnącej na południe od Annapolis w Marylandzie, między Back Creek i brzegiem Atlantyku, stały dwa samochody. Tuż obok siebie, zaraz za wierzchołkiem ostrego zakrętu, w ciemności. To niezbyt bezpieczne miejsce na parkowanie, ale kierowcy nie mieli wyboru. Droga była wąska i wysadzana drzewami, które już wypuściły liście, co ograniczało widok na spokojne stare domy rozrzucone po jej obu stronach. Obserwację mrugających tam słabych świateł dodatkowo utrudniały wybijające krzaki i chaszczki wypełniające większość odstępów między pniami.

W jednym samochodzie nie było nikogo. W drugim siedziało dwóch mężczyzn. Mieli stamtąd częściowy widok na jeden z domów. Zabrali ze sobą lornetki, aparat z teleobiektywem i dwa radionadajniki. Jeden z mężczyzn notował coś w dzienniku. Z latarką w ręce. Rozchylonymi palcami zasłaniał reflektor, tak że światło się rozmywało, a to, które zdołało się wymknąć, miało kolor przytłumionego różu. Zapisał godzinę. Miejsce obserwacji. Skreślił kilka uwag początkowych, których potrzebował do sporządzenia raportu. Właśnie skończył opisywać to, co widzi, kiedy z trzaskiem ożyło radio. Wywoływał ich jeden z agentów z drugiego samochodu. Prowadzili rozpoznanie na piechotę, też we dwóch, i byli teraz po drugiej stronie, za obserwowanym przez nich obiektem.

– Pritchard jest w domu – zameldował. – Zidentyfikowany i rozpoznany. Widziałem przez kuchenne okno, jak zbierał naczynia ze stołu.

– Jest sam? – spytał ten z długopisem. – Odbiór.

– Potwierdzam. Nikogo więcej tam nie ma. Poza tym zmył tylko jeden talerz i jeden kieliszek do wina.

– Wciąż tam jest?

– Nie. Poszedł na górę. Na parterze zgasło światło. Zapaliło się w łazience. Nie, zaczekaj... Właśnie zgasło. Zapaliło się w sypialni.

– Idzie spać?

– Chyba tak. Czeka... W sypialni też zgasło. Bierzemy go? Czy czekamy, aż zaśnie?

Mężczyzna z długopisem podrapał się za uchem. To nie była ich pierwsza akcja. Lubił, kiedy cel był półprzytomny i uległy. Przekonał się na własnej skórze, co może się stać, jeśli taki nie jest. Pritchard wypił co najmniej jeden kieliszek wina, co dobrze wróżyło. Przeciętny człowiek zasypia głęboko po czterdziestu pięciu, sześćdziesięciu minutach. Powinni więc poczekać półtorej godziny. Na wszelki wypadek. Żeby mieć pewność, że Pritchard rozmawia już z dobrymi duszkami. Potem otworzyć wytrychem drzwi i jak najciszej wejść do sypialni. W dziewięciu przypadkach na dziesięć kajdanki zatrzaskiwały się na rękach, zanim cel zdążył otworzyć oczy. Ale ta operacja była inna. Rozkazy przyszły z samej góry. Co znaczyło, że jej wynik znajdzie się pod mikroskopem. Jego poczynania też. Poza tym w rozkazach padło słowo „natychmiast”. Więc nawet gdyby wszystko poszło jak po maśle, opóźnienie mogłoby odebrać akcji trochę blasku. A gdyby coś nie wypaliło, obarczono by go winą za to, że zwlekał. Nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

Nacisnął przycisk nadawania na słuchawce i spytał:

– Ile jest tam tylnych wyjść?

– Siedem – zaskrzeczało w głośniku. – Tak jak myśleliśmy. Trzy okna na piętrze. Dwa na parterze i drzwi. I drzwi do garażu.

– Dobra, bądźcie w pogotowiu. Obserwujcie wszystkie na wypadek, gdyby chciał zwać. Za dziewięćdziesiąt sekund będziemy przed frontowymi drzwiami.

• • •

Charles Stamoran czytał właśnie jeden z dziennych raportów, gdy do gabinetu weszła żona. W zawiązanym z przodu białym szlafroku, z mokrymi po prysznicu włosami, na bosaka. Jej skóra błyszczała od pary i gorąca. Pachniała szamponami, odżywkami i emulsjami. Ta kombinacja zapachów trochę go przytłaczała, ale nigdy jej tego nie powiedział.

– No i? – rzucił.

Kasługa przecięła pokój, przysiadła na stojącym przed fotelem pufie, pochyliła się i dotknęła kolana męża.

– Przepraszam za tamto.

Stamoran milczał.

– Dwa dni – dodała.

Zmarszczył brwi. Nie znosił, kiedy żona urywała w połowie zdania i czekała, aż wyciągnie z niej tę drugą. Spróbował się powstrzymać, ale jak zwykle nie zdołał.

– Co dwa dni?

– Przywaruję na dwa dni, tak jak prosiłeś. Nie będę chodziła do pracy. Dam ci czas, żebyś mógł go złapać.

– Dlaczego akurat dwa? Po co ten harmonogram? Dlaczego nie zostaniesz w domu, dopóki go nie schwytamy?

Wzruszyła ramionami.

– To ty wymyśliłeś, że dwa. A ja znalazłam sposób, żeby obrócić tę dwudniową nieobecność na swoją korzyść. Dzień dłużej i to nie wypali.

– Dwa dni to tylko rozsądne minimum. A nie maksimum. Poza tym co może nie wypalić?

Kasluga nachyliła się ku niemu jeszcze bardziej i zniżyła głos, jakby bała się, że ktoś ich podsłucha.

– Pracuję nad czymś. Nad przejęciem. Dużym. Rewolucyjnym. Nie wychylałam się z tym, więc nawet jeśli coś pójdzie nie tak, nie stracę twarzy. Pomyślałam, że zaczekam, aż zamkniemy sprawę, a potem postawię wszystkich przed faktem dokonanym. Ale dzisiaj wykonałam kilka telefonów. Wygląda na to, że jesteśmy na dobrej drodze. Prawnicy pokonali ostatnią przeszkodę i przysięgają, że w ciągu czterdziestu ośmiu godzin papiery będą gotowe do podpisania. Dlatego szepnęłam co trzeba komu trzeba. Rozpuściłam kilka pogłosek. I są teraz przekonani, że umowa wisi na włosku. Te dupki dostają wzwołu na myśl, że zbankrutuję i publicznie się skompromituję. A kiedy okaże się, że odniosłam triumf, będzie to wyglądało tak, jakbym zniknęła celowo, żeby osobiście zainterweniować. Zostanę bohaterką. Ale jeżeli zniknę na dłużej, pomyślą, że nie miałam z tym nic wspólnego. A na to nie mogę sobie pozwolić.

Dwa dni, pomyślał Stamoran. Może to wystarczy i zdążą go aresztować. A może nie. Nie miał nad tym kontroli. Pozostałe cele były pod obserwacją. Zastawiono zasadzki. Wiedział, że w ciągu najbliższych dwóch dni człowiek, który likwidował naukowców z 1969 roku, może uderzyć ponownie. Ale nie musi. Nie miał pojęcia, jakim kieruje się kalendarzem. Ale nie martwił się tym zbytnio, ponieważ Susan była bezpieczna z jednego – niezmiernie ważnego – powodu. Bo nie chodziło tylko o aresztowanie

Pritcharda. Chodziło o to, żeby całkowicie wyłączyć go z gry. Zerknął na zegarek. Wysłana przez niego grupa powinna być już na miejscu.

Spojrzał na żonę i kiwnął głową.

– Dwa dni wystarczą.

• • •

Mężczyzna z długopisem siedzący w samochodzie pod Annapolis nazywał się Paul Birch. Teraz odłożył długopis, wyjął pistolet, spojrzał na partnera, Simona Stainroda, i skinął głową. Stainrod pociągnął za dźwignię otwierającą bagażnik i wysiedli.

Wyjął z bagażnika taran taktyczny – ciężki metalowy cylinder o średnicy dwudziestu dwóch i długości czterdziestu pięciu centymetrów, z dwoma przegubowymi uchwytami na środku – i idąc obok siebie, niecałe dwa metry jeden od drugiego, Birch krok przed partnerem, przeszli na drugą stronę drogi. Choć była tam furka, przedostali się przez wysoki na sześćdziesiąt centymetrów żywopłot i jeden po jednej stronie ścieżki, drugi po drugiej zmierzali w stronę domu, rozdeptując wilgotną ziemię i tratując krzaki.

Gdy weszli na werandę, Stainrod wziął zamach i uderzył taranem, mocno, na wysokości pasa, równoległe do ziemi. Nabierając rozpędu, taran przeciął powietrze i grzmotnął w okolice dziurki od klucza w solidnym zamku. Drewno poszło w drzazgi. Z zawiasów wyskoczyły śruby. Wybita ze ściany futryna wpadła do korytarza wraz z drzwiami jak skołowany bokser po nokautującym ciosie. Przewróciła się, wylądowała na płask, przesunęła się po podłodze i zatrzymała dopiero u stóp dużego zegara.

Stainrod rzucił taran, wyjął pistolet i przywarł plecami do ściany tuż za wejściem. Birch minął go w pędzie. Zostawiając błotniste ślady na zniszczonych drzwiach, przeciął korytarz i wbiegł na schody. Wiedział,

gdzie jest sypialnia. Wiedział, gdzie są wszystkie pozostałe pokoje. Wieczorem, przed wyjazdem z Pentagonu, dostał faksem rozkład całego domu i dokładnie go zapamiętał. Znalazł odpowiednie drzwi. Przyłożył latarkę do lufy pistoletu. Otworzył kopniakiem drzwi. Wpadł do środka. I wycelował w wezglowie łóżka.

• • •

Zapłaciły tylko za jedną noc i korzystały z pokoju zaledwie przez parę godzin, ale nawet to nie było w sumie konieczne. Nie lubiły marnować pieniędzy. Miesiąc wcześniej nawet by o tym nie pomyślały. Doszły jednak do wniosku, że w tych okolicznościach jest to ruch usprawiedliwiony. I pod kilkoma względami korzystny. Bo mogły rozmawiać bez świadków. Zamówić jedzenie do pokoju i zjeść bez ryzyka, że zapamięta je któryś z gości w restauracji. Poza tym już wkrótce – może nawet za kilka dni – będą bogate, więc aspekt finansowy nie stanowił aż tak dużego problemu.

To, jak bardzo będą bogate, miało się dopiero okazać. Ale kiedy detektyw Owena Bucka je wytropił, gdy potwierdziły jego tożsamość i Buck spróbował uspokoić swoje dogorywające sumienie, opowiadając im, co się stało w Indiach w 1969 roku, wyzbyły się ostatnich wątpliwości. Czekają na nie góra pieniędzy. Podpisana ich nazwiskiem. Uznały, że mają do nich pełne prawo. I zamierzały je wziąć. Byłby to najwłaściwszy sposób na naprawienie zła, które, jak przysięgał Buck, im wyrządzono.

• • •

Chwilę trwało, zanim Birch zarejestrował fakt, że w łóżku nikogo nie ma. Sprawdził wszystkie cztery kąty pokoju. Zajrzał do łazienki. Pod łóżko. Do szafy. I nikogo nie znalazł. Pobiegł na górę. Były tam jeszcze dwa pokoje i łazienka, ale w nich też nie znalazł ani Pritcharda, ani niczego, co

wskazywałoby, że ktoś z nim mieszka. Birch zbiegł więc na dół. Przystanął w korytarzu i zerknął na Stainroda. Ten pokręcił głową. Birch przeszukał salon. Jadalnię. Kuchnię. Małą pralnię. W końcu garaż.

Pritchard jakby zapadł się pod ziemię.

Birch wrócił na korytarz, wyjął radionadajnik i wywołał kolegów, którzy obserwowali tył domu.

– Widzieliście kogoś?

– Nie. – Odpowiedź była głośna i wyraźna.

– Na pewno?

– Na sto procent.

– Dobra. Niech jeden z was tu przyjdzie. Pomoże nam szukać. Pritchard gdzieś się schował. Musi tu mieć jakąś kryjówkę. Pod podłogą. Na strychu. W ścianie. Nie wiem gdzie, ale na pewno ma. I wciąż tam siedzi. Nie kładł się do łóżka. W szafie jest pełno ubrań i kilka walizek. Samochód stoi w garażu. I wiemy, że nie zwiął na piechotę. Musimy go znaleźć. Natychmiast.

• • •

Siostry zjadły, porozmawiały, obejrzały telewizję, wzięły prysznic i o wpół do dwunastej były gotowe do wyjścia. Co dawało im półgodzinne zabezpieczenie, na wypadek gdyby Riccardo skończył później pracę. Veronica wyszła pierwsza. Zbiegła schodami na dół, spokojnym krokiem przeszła przez opustoszały hol, skręciła na przystanek i po dziesięciominutowym oczekiwaniu wsiadła do darmowego autobusu jadącego na lotnisko. Tam poszła prosto do terminalu przylotów, do strefy odbioru pasażerów.

Roberta odczekała w pokoju pięć minut, a potem wyszła przed hotel. Uśmiechnęła się do nowego parkingowego i podała mu skradziony

numerek.

Po kwadransie parkingowy przyprowadził minivana. Dała mężczyźnie napiwek – nie taki, który na długo zapada w pamięć, ale i nie taki, o którym szybko się zapomina – usiadła za kierownicą i kierując się strzałkami, pojechała na lotnisko, pod halę przylotów. Kiedy tylko zaparkowała przy krawężniku na końcu strefy odbioru pasażerów, zza kolumny wyszła Veronica. Usiadła obok siostry. Kilka minut później jechały już w miejsce, którego adres zapamiętały przed przyjazdem do Chicago.

6

Telefon w Pentagonie zadzwonił o dziewiątej rano czasu wschodnioamerykańskiego. Czyli o ósmej rano czasu środkowoamerykańskiego, obowiązującego tam, gdzie wybrano numer. A więc zgodnie z grafiką.

Mężczyzna, który odebrał połączenie, słuchał przez chwilę w milczeniu, po czym nacisnął widełki, przełączył się na wewnętrzną linię i wybrał numer biura mieszczącego się piętro wyżej w pierścieniu bliższym środka budynku.

Stamoran natychmiast podniósł słuchawkę.

– Załatwione?

– Neville Pritchard nie został zatrzymany – wyrecytował dzwoniący. – Powtarzam, nie został zatrzymany. Był w domu, sam, ale zniknął, zanim nasi ludzie zdążyli zweryfikować jego tożsamość i wejść do środka. Nie wiadomo, jak uniknął zatrzymania. Nie wiadomo, gdzie teraz jest. Według billingów przed akcją nikt do niego nie dzwonił. Nie wykryto ani nie zaobserwowano żadnych innych sygnałów. Więc prawdopodobnie działa sam. Trwają intensywne próby jego namierzenia.

Stamoran położył słuchawkę na biurku, odchylił się na oparcie fotela, zamknął oczy i cicho zaklął. Powinien był wysłać snajperów, a nie niańki. A już na pewno nie takie, które zawalają w połowie prostego zadania.

Musieli się z czymś zdradzić. Tak, inne wytłumaczenie nie istniało. Pritchard był sam. Nikt się z nim nie kontaktował. Raport nie pozostawiał żadnych złudzeń.

Wziął długi, powolny oddech. Spróbował spojrzeć na sytuację racjonalnie. Wiadomość nie była dobra. Nie mieli Pritcharda. Ale nie była też straszna. Pritchard mógł wciąż być na wolności. Po prostu uciekł. I ktoś, kto polował na naukowców z 1969 roku, też go nie miał. Tajemnica była bezpieczna. Na razie.

Stamoran otworzył oczy i podniósł słuchawkę.

– Przekażcie członkom tego zespołu, że mają ostatnią szansę, żeby się zrehabilitować. I przydzielcie do tego zadania dwa dodatkowe zespoły. Naszych najlepszych ludzi. Pritchard ma być namierzony i zatrzymany. Na wczoraj. A jeśli go znajdziecie i znowu spróbuje uciec, ma zostać zatrzymany. Przy zastosowaniu wszelkich koniecznych środków.

• • •

Sierżant Hall była już na stanowisku. Gotowa na pracowity poranek. Z bazy sił powietrznych w Little Rock w Arkansas miała przyjechać ciężarówka. Czekają ją trochę papierkowej roboty i pracy fizycznej. Dobrze znała ten proces. W ciągu ostatniego roku zaliczyła go ponad siedemdziesiąt razy. Wiedziała, czego się spodziewać, dlatego kiedy nadjechała wojskowa ciężarówka M35, wysłużona i sterana, w wyblakłych pustynnych barwach ochronnych, sierżant stała już w wartowni przed główną bramą.

Kiedy ciężarówka wjechała na teren bazy i brama się zamknęła, Hall wsiadła do swojego humvee i pojechała przodem do magazynu, który Reacher odwiedził poprzedniego dnia. Nie z konieczności – po prostu wymagał tego regulamin. Sierżant siedzący za kierownicą ciężarówki robił

to już ponad pięćdziesiąt razy. Mógłby przejechać tę trasę z zamkniętymi oczami, ale tu, na terenie arsenału na Rock Island, musiał mieć eskortę. Co zupełnie mu nie przeszkadzało. Ani jemu, ani sierżant Hall. Ten układ odpowiadał obojgu.

Hall dojechała powoli do magazynu i zaparkowała daleko od stalowych drzwi. Wsiadła, podeszła do nich, przekręciła klucz w zamku i zaczęła, aż ciężarówka zatrzyma się ze zgrzytem hamulców. Z kabiny wysiadł kierowca. Nazywał się Chapellier, ale w głębi ducha nazywała go Gorylem, bo miał krótki tułów, długie ręce i chodził pochylony jak małpa. Podciągnął płócienną klapę na tyle ciężarówki i otworzył metalową klatkę przyśrubowaną do podłogi.

Zaczęli wyjmować przysłane z Zatoki skrzynki z bronią i ustawiać je na półkach podpisanych *Do oceny*. Pracowali miarowo i wydajnie i opróżniwszy ładownię, wypełnili ją skrzynkami z czerwonych półek. Bronią, którą zespół Hall przeznaczył do kasacji.

Kiedy do ładowni trafiła ostatnia skrzynka, uzupełnili i podpisali wszystkie dokumenty. Zamknęli magazyn oraz drucianą klatkę i Hall ponownie wsiadła do humvee. Miała mokre czoło i czuła, że kropla potu ścieka jej powoli po plecach. Poprawiła się w fotelu, spojrzała w lusterko i zobaczyła, że Chapellier wsiadł już do ciężarówki. Mogłaby kazać mu zawrócić na wąskiej drodze, lecz pojechała prosto przed siebie, żeby zatoczyć koło i dojechać do wartowni z drugiej strony. Zawsze tak robiła. Ktoś, kto by ich obserwował – bezpośrednio czy na ekranach monitorów sieci bezpieczeństwa – nie byłby ani trochę zaskoczony.

Ta trasa była nieco dłuższa od tej, którą przyjechali. Hall musiała przejechać przez coś w rodzaju tunelu, który powstał, gdy ze względu na brak miejsca nad drogą zbudowano ciąg sal ćwiczeń. Tunel miał ponad

czterdzieści pięć metrów długości. I roiło się w nim od kamer, które nieustannie śledziły każdy centymetr tego korytarza.

Śledziły wtedy, kiedy je zainstalowano. Ale dwie przesunięto. Robiono to bardzo powoli, stopniowo, w ciągu dziesięciu tygodni. Dwie zamontowane najbliżej środka tunelu, po obu stronach wnęki utworzonej przez schody pożarowe, stanowiące dobry punkt orientacyjny. Kamery przesunęła sierżant Hall osobiście, na tyle daleko, że w tunelu powstał siedmiometrowy martwy punkt. Wystarczająco długi, by wojskowa ciężarówka M35 zmieściła się w nim z trzynastocentymetrowym zapasem z tyłu i z przodu.

Hall zobaczyła wnękę, zjechała na prawą stronę, żeby Chapellier mógł zaparkować równoległe do niej, zatrzymała się i wysiadła. Obeszła samochód i zdjęła z paki skrzynkę. Plastikową. Oliwkowozieloną, lecz nie wojskową. Weszła w lukę między pojazdami, zaczekała, aż Chapellier otworzy drzwi, i podniosła skrzynkę, tak by mógł wciągnąć ją do kabiny. Sierżant położył ją na kolanach i podniósł pokrywę. Zajrzał do środka. Wyjął coś metalowego. Dolną komorę zamkową do emszesnastki. Sprawdził jej kształt i liczbę otworów. Uśmiechnął się. Wrzucił komorę do skrzynki i zamknął pokrywę. Postawił skrzynkę na podłodze, obok dźwigni zmiany biegów, i z miejsca na nogi przed fotelem pasażera podniósł identyczną. Hall oparła ją o stopień schodków i sprawdziła jej zawartość. Plik banknotów – jak zwykle je przeliczyła – i komory zamkowe. Cywilne.

Podniosła głowę.

– Chcecie więcej? – spytała. – Już?

Chapellier zmarszczył brwi.

– Bo co? Jest jakiś problem?

Wtedy usłyszał ten dźwięk. Dobiegał z tyłu, z lewej strony. Metaliczne zgrzytnięcie prymitywnych zawiasów, które po długiej służbie na pustyni

łaknęły smaru. Gwałtownie się odwrócił i zobaczył, że drzwi od strony pasażera są otwarte. Zobaczył też głowę. I tułów. Jakiegoś mężczyzny. Potężnego, o szerokich barach i gniewnym wyrazie twarzy. Mężczyzna miał w ręce pistolet.

– Problem? – Reacher wsunął się głębiej do kabiny. – Chyba możesz tak powiedzieć. Jeśli lubisz niedomówienia.

• • •

Wieczór nie przebiegł zgodnie z planem.

Zaczął się dobrze. Z lotniska w Nowym Orleanie bez żadnych incydentów dojechały do domu Geoffa Browna. Ale kiedy zwolniły, by poszukać dogodnego miejsca do obserwacji, zobaczyły samochód parkujący na poboczu ulicy. Forda crown victorię. Niebieskiego. W podstawowej wersji. Z dodatkową anteną na dachu. I drugą na klapie bagażnika. W środku siedziało dwóch mężczyzn. Wyglądających tak, jakby nie mieli zamiaru wysiąść. To nie był dobity samochód detektywa udający taksówkę. A siedzący na miejscu pasażera mężczyzna nie był człowiekiem, który wrócił do domu po jednym piwie za dużo i właśnie szukał portfela, żeby zapłacić za kurs. On i jego towarzysz na coś czekali, bez ruchu i całkowicie rozluźnieni, jakby wiedzieli, że mają przed sobą długą noc. Jakby do tego przywykli.

Roberta doszła do wniosku, że mogą sobie pozwolić na jeden przejazd. Musiały choć w przybliżeniu wiedzieć, z kim mają do czynienia, poza tym gdyby gwałtownie zawróciły, wzbudziłyby większe podejrzenia, niż jadąc dalej, w tym samym kierunku. Dom Browna stał piętnaście metrów od ulicy. Na działce ani nie zadbanej, ani nie zapuszczonej, jakby jej właściciel lubił kiedyś bawić się w ogrodnika, lecz ostatnio sobie odpuścił. Przyroda powoli zdobywała przewagę. To nie ulegało wątpliwości. Dom, długi

i niski, miał z przodu głęboką werandę. Był schludny i świeżo pomalowany na biało, co znaczyło, że Brown dba przynajmniej o jego konserwację.

– Okna – rzuciła Veronica.

Wszystkie rolety były opuszczone. Może ze względu na upał, który zacznie narastać po wschodzie słońca. A może Brown cenił sobie prywatność. Tak czy inaczej, nikt nie mógł zajrzeć do środka. Ani sąsiedzi. Ani ktoś, kto czaił się w krzakach. Albo siedział w parkującym na poboczu samochodzie.

Roberta kiwnęła głową.

– Damy radę.

• • •

Powoli, ze stałą prędkością, dojechały do najbliższego skrzyżowania i skręciły w lewo. Roberta pamiętała, że na działce w południowo-wschodniej części miasta są opuszczone zabudowania przemysłowe. Przeznaczone chyba do rozbiórki. Działka była otoczona płotem i stało tam kilka kontenerów biurowych. W pobliżu nie parkował ani jeden samochód. Nigdzie nie paliło się światło. Nic nie wskazywało na to, że teren jest strzeżony przez całą dobę. Było tam wiele zakamarków, w których mogły ukryć skradziony samochód i zaczekać do rana.

Spały na zmianę. Obudziwszy się drugi raz, Veronica trąciła siostrę i spytała:

– Ci faceci przed jego domem... Może to on? Może zna to nazwisko?

Roberta pokręciła głową.

– Buck powiedział, że zna je tylko jeden z naszej listy. To, że dom jest pod obserwacją, nic nie znaczy. Ktoś dodał dwa do dwóch. To wszystko. Byli agenci CIA padają jak muchy i ci z Langley musieli to zauważyć. Będą mieli na oku wszystkich tych, którzy jeszcze żyją.

– Chyba masz rację.

– No jasne. – Roberta usiadła za kierownicą i uruchomiła silnik. – Jedziemy. Umieram z głodu. Musimy zjeść śniadanie. I zrobić zakupy. Potem zadzwonisz.

• • •

Reacher usiadł na miejscu pasażera.

– Dobra. Możemy to rozegrać na dwa sposoby.

Sierżant Chapellier siedział przez chwilę z rękami na kierownicy. I nagle rzucił się w lewo. Chwycił Hall za przód kurtki, wciągnął ją do kabiny i nie przestawał ciągnąć, dopóki nie znalazła się na jego kolanach.

– Nie – warknął. – Tylko na jeden. Wysiadaj.

Hall rzucała się i szarpała. Przekręciła się na plecy, próbowała wydłubać mu oczy.

Chapellier przygniół jej ramiona jedną ręką, a drugą zacisnął na szyi. Spojrzał na Reachera.

– Wysiadaj. Ale już!

– Wysiadaj? Tylko tyle?

– Wysiadaj, bo skręcę jej kark!

Reacher zerknął na jego identyfikator.

– Nie jesteś największym myślicielem na świecie, prawda, Chapellier? Ona już cię wydała. Nie potrzebuję jej. Zabijesz ją i skażą cię za morderstwo. Nie będę musiał rozwikływać tego waszego przekrętu, oszczędzisz mi roboty.

Chapellier zacisnął palce. Próbując się uwolnić, Hall obiema rękami chwyciła go za nadgarstek. Wyteżyła wszystkie siły, żeby się wyszarpnąć, lecz nie miała o co się zaprzeć. Jej nogi zwisały na zewnątrz, w otwartych

drzwiach, więc coraz mocniej napierała szyją na rękę napastnika. W instynktownym odruchu wierzgała i wiła się jak szalona. Ale nie mogła się uwolnić, pogarszała więc tylko swoją sytuację.

Reacher wyciągnął rękę i włączył zapłon. Silnik zagrzechotał i zgasł. Reacher zczekał, aż umilknie głośnie echo, i powiedział:

– Najpierw ją puścisz. A potem powiesz, komu sprzedajesz te części. Albo wysiadzimy, złamię ci kilka kości i wtedy powiesz mi bez pytania.

Chapellier zastygł bez ruchu na trzy sekundy. Potem gwałtownie rzucił Hall na kolana, pchnął ją w plecy, a kiedy wypadła z kabiny, z wyciągniętymi rękami runął na Reachera, próbując wyrwać mu pistolet.

Ten odchylił się w lewo i podniósł łokieć tak, że sierżant nadział się na niego twarzą, z pełnym impetem. Reacher nawet na niego nie spojrzał. Otworzył drzwi, wysiadł i schował pistolet do kabury. Potem chwycił Chapelliera za prawą rękę i pociągnął w stronę drzwi. Ciągnął, aż sierżant zsunął się z fotela i odbiwszy się kilka razy od metalowych schodków, spadł na ziemię. Reacher przewrócił go na plecy, nastąpił na jego szyję i wykręcił mu rękę tak mocno, że omal nie złamał ramienia, łokcia i nadgarstka.

– To koniec drogi, Chapellier. Lepiej daj sobie spokój.

Sierżant cicho zaskamlał, wydmuchując nosem bąbel krwi.

– Wal się – rzucił spiętym, chrapliwym głosem.

Reacher nie zwolnił uchwytu.

– Powiedz mi coś. Wybraliście to miejsce, bo A: celuje w nie dużo kamer? Czy B: bo nikt nie widzi, co tu się dzieje?

– Kutas – wystękał cicho Chapellier.

– Musisz przemyśleć coś jeszcze. Te części są własnością Armii Stanów Zjednoczonych. Nie powinny wpaść w ręce cywila. Dlatego chcę wsadzić za kratki tego, kto je od ciebie kupuje. A do tego potrzebuję twojej pomocy.

Jeśli mi pomożesz, nie zrobię ci krzywdy. Nie będę miał prawa. Będę musiał dostarczyć cię, gdzie trzeba, w jednym kawałku. Albo prawie w jednym. Ale jeśli odmówisz, będę mógł zrobić z tobą, co zechcę. „Urazy odniesione na skutek stawiania oporu podczas aresztowania”. Moje słowo przeciwko twojemu. I nie licz na to, że sierżant Hall będzie zeznawała na twoją korzyść.

• • •

Veronica Sanson wyjęła notes z torebki, sprawdziła numer i poszperała w kieszeni. Była w skórzanych rękawiczkach, więc chwilę trwało, zanim znalazła monetę. W końcu jednak znalazła, wrzuciła ją do otworu i zakręciła tarczą. Telefon odebrano po dziesięciu sygnałach.

– Tak? – usłyszała męski głos, cichy i lekko zdyszany.

– Doktor Brown? Geoffrey Brown?

– Kto mówi?

– Agentka specjalna Holbeck z Federalnego Biura Śledczego. Mam dla pana wiadomości. Niestety, nie najlepsze. Muszę prosić pana o pomoc w bardzo pilnej sprawie.

Brown odpowiedział dopiero po chwili:

– Słucham.

– Przykro mi o tym mówić, ale nie żyje dwóch pana dawnych kolegów.

– Owen Buck, wiem. Zmarł na raka, tak? A ten drugi?

– Doktor Buck zmarł z przyczyn naturalnych, tak jak pan mówi, ale dzwonię w związku z dwoma innymi. Chodzi o Varindera Singha i Keitha Bridgema.

– Singh i Bridgeman? Oni też nie żyją? Co się stało?

– Doktor Singh zmarł porażony prądem. Doktor Bridgeman wypadł z okna. Prasa sugeruje, że obaj zginęli przypadkowo. Ale to nieprawda.

- Uważacie, że zostali zamordowani? Na pewno?
- Na sto procent. Inaczej byśmy się tym nie zajmowali.
- Więc kto ich zabił?
- Właśnie dlatego potrzebuję pana pomocy. Nasz rysownik sporządził szkic pamięciowy. Chciałabym, żeby pan go obejrzał i powiedział, czy zna pan tego człowieka.
- Niby skąd miałbym go znać?
- Zabija członków pana dawnego zespołu badawczego. To musi mieć jakiś związek. I nie przestanie, dopóki go nie złapiemy. Uważamy, że jest pan jego następnym celem. Dlatego tu przyjechałam. Proszę obejrzyć szkic. To zajmie tylko chwilę, a może uratować panu życie. Mogłabym do pana przyjechać i...
- Nie. Ale dobrze, spotkam się z panią. W publicznym miejscu. Proszę wybaczyć. Stare nawyki.
- Rozumiem – powiedziała z uśmiechem Veronica. – Oddelegowano mnie do tutejszego oddziału FBI. Chyba nie ma bezpieczniejszego miejsca, prawda? Podam panu adres. Mógłby pan przyjechać już teraz? Leżałoby to w najlepszym interesie nas wszystkich. Zwłaszcza w pana interesie.

7

Dojazd do siedziby lokalnego oddziału FBI zajął Brownowi pół godziny. A odkrycie, że agentka specjalna Holbeck nie istnieje – zaledwie trzydzieści sekund.

Wiedział, co powinien zrobić: uciekać. Torba z najpotrzebniejszymi rzeczami czekała w bagażniku samochodu. Stare nawyki. Mógłby ją wziąć i zniknąć. Przywarować, dopóki nie sprawdzi, kto na niego poluje. I dopóki nie wymyśli, jak go powstrzymać. Zrobiłby tak bez zastanowienia, kiedy był aktywnie działającym agentem. I zaraz po przejściu na emeryturę. Ale teraz miał problem. Pozbawiony kontaktu z ludźmi – taka praca – pierwszy raz w życiu poczuł się samotny. Nie miał w mieście żadnych znajomych. Nie należał do ludzi towarzyskich, więc było mało prawdopodobne, że kogoś pozna. Nie układało mu się z sąsiadami. I wiedział, że nikt nie zechce z nim zamieszkać. Więc adoptował kota. Herkulesa. Kolejne stworzenie, którego nikt nie chciał. I które było teraz w domu. Bez możliwości wydostania się na dwór. Bez jedzenia. Bez wody.

Powrót zajął mu dwadzieścia pięć minut. Powoli przejechał przed domem, który wyglądał tak samo jak przedtem. Opuszczone rolety. Zamknięte drzwi. Żadnych samochodów przy krawężniku. Ani obcych kręcących się po chodniku czy myszkujących na podwórzu. Trochę się uspokoił, ale dręczyło go coś jeszcze. Kilka razy miał wrażenie, że

w drodze do domu ktoś go śledził. Lecz nie był tego pewny. Więc skręcił w lewo. Potem w prawo. Później gwałtownie się zatrzymał. Nie wyminął go żaden samochód. Żaden nie zahamował za nim z piskiem opon. W lusterku wstecznym nie wypatrzył niczego podejrzanego. Pokręcił głową. Zardzewiały instynkt. I za dużo adrenaliny. Wyszedł z wprawy. To wszystko. Ukoiwszy niepokój, doszedł do wniosku, że może bezpiecznie zawrócić i zaparkować na podjeździe. Wpaść do środka. Złapać Herkulesa. I wybiec. Dwie minuty. Najwyżej.

Otworzył drzwi i znieruchomiał. Wyteżył słuch. Nic nie usłyszał. Nie poczuł żadnego obcego zapachu. Ale coś wyczuł. Podprogowe zakłócenie w niemych wibracjach, które wydawał dom. Ktoś tam był. Ktoś czekał. Na niego. Zardzewiały czy nie, instynkt kazał mu uciekać. Natychmiast. Więc zaczął się odwracać. Wtedy usłyszał przytłumione miauknięcie. Dochodziło z salonu. To był Herkules. Udręczony Herkules. Brown zrobił ostrożnie krok do przodu i przystanął w progu. Znów wyteżył słuch. I usłyszał kolejne miauknięcie. Jeszcze bardziej rozpaczliwe. Położył rękę na klamce. Wziął oddech. I wpadł do salonu.

Obok jego ulubionego fotela stała kobieta. Miała ściągnięte do tyłu ciemne włosy. Mocno przyciskała do piersi Herkulesa. Jeszcze jedna stała po drugiej stronie fotela. Były takiego samego wzrostu. Tej samej budowy ciała. Miały takie same włosy. I kamienne twarze, jak posągi. Milczały.

Brown zrobił krok do przodu.

– Niech pani puści mojego kota.

Ta, która trzymała Herkulesa, uśmiechnęła się lekko.

– Cieszymy się, że pan wrócił, doktorze. Pana kot chyba nas nie lubi. Proszę, niech pan spocznie. Położę go panu na kolanach.

Brown nie ruszył się z miejsca.

– Poznaję pani głos. To pani do mnie dzwoniła. Udawała pani agentkę FBI. Dlaczego?

– Przepraszam za ten podstęp. Nie chcieliśmy wprowadzać pana w błąd. Chcieliśmy tylko porozmawiać. Na osobności. A ponieważ pana dom obserwuje dwóch ludzi, nie mogliśmy tak po prostu zapukać do drzwi. Pomyśleliśmy, że jeśli pan gdzieś pojedzie, tamci pojedą za panem. I będziemy mogli spokojnie tu wejść.

Brown podszedł do okna i zerknął zza opuszczonej rolety.

– W tym niebieskim samochodzie? Co się tu dzieje, do diabła?

– Pamięta pan, co mówiłam przez telefon? Nie licząc tego, że nie jestem agentką FBI, to wszystko było prawdą. Zwłaszcza to, że grozi panu niebezpieczeństwo. Chcemy panu pomóc.

– Potrzebuję pomocy? Dlaczego? Kim jesteście?

– Dojdziemy do tego. Ale najpierw musimy o coś spytać. Proszę, niech pan usiądzie. Wszystko wyjaśnię.

Brown podszedł do fotela i usiadł.

Kobieta podała mu kota.

– Pana zespół badawczy. Indie, tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty dziewiąty rok. Było w nim osiem osób.

– Indie? Nigdy tam nie byłem.

– Nie traćmy czasu, doktorze. Grozi panu poważne niebezpieczeństwo, proszę mi wierzyć. Więc w zespole było osiem osób.

Brown pokręcił głową.

– Siedem.

– Osiem. – Kobieta sięgnęła do kieszeni i podała mu odręcznie spisana listę. – Siedem nazwisk już znamy. Musi pan podać to brakujące. Żebyśmy mogli ochronić tych, którzy jeszcze żyją.

Brown zerknął na listę. Nazwisko Owena Bucka było napisane innym charakterem pisma. To on musiał wydać pozostałych. Zawsze był najsłabszy. Ciągłe powtarzał, że trzeba się przyznać. Ale chyba bardzo się postarzał i szwankowała mu pamięć.

– Zespół liczył siedem osób. Byłem tam. Pani nie. Dlatego wiem, co mówię. A pani nie. Poza tym nie powinna pani pytać o sześćdziesiąty dziewiąty rok. Nikt nie powinien. Czas zamknąć ten rozdział. I najwyższy czas, żeby panie stąd wyszły.

– Mieszka pan w ładnej okolicy, doktorze. Choć jest tu dużo ruchliwych ulic. Mnóstwo spieszących się kierowców, zdekoncentrowanych, niepatrzących, gdzie jadą. Łatwo tu o wypadek, bo mogą kogoś potrącić. Człowieka albo jakieś zwierzątko. Na przykład kota.

– Nie będę tego słuchał – rzucił Brown. – Proszę wyjść. Natychmiast.

Przytulając kota jedną ręką, podparł się drugą, by wstać. Ale nie zdążył, bo druga kobieta błyskawicznie skoczyła za niego i pchnęła go w dół. Łokieć ześlizgnął mu się z podłokietnika i wystrzelił w lewo, omal nie strącając ze stolika fajki i kapciucha.

– Czy jeśli samochód potrąciłby kota, zwierzę zginęłoby na miejscu? – spytała ta pierwsza. – Może i tak. A może nie. Proszę sobie wyobrazić, że znajduje pan swojego kota zmiażdżonego i krwawiącego. Że podnosi go pan z ziemi. Pędzi do weterynarza...

– Nie...

– Czeka pan przed drzwiami sali operacyjnej. Modli się, żeby kot przeżył. Boi się, że urazy są zbyt ciężkie.

– Było nas tylko siedmiu, przysięgam. Każdy, kto twierdzi inaczej, jest w błędzie. Jeśli chcecie zadać komuś ból, żeby sprawdzić, czy nie kłamię, zadajcie go mnie. Wszystko mi jedno. Ale kota zostawcie w spokoju. Nic wam nie zrobił.

Kobieta zabrała mu listę i schowała ją do kieszeni.

– Dobrze. W takim razie nic tu po nas. Wierzę panu. I przepraszam. To bardzo ważne, dlatego musiałyśmy mieć pewność. Przykro nam, że pana zdenerwowałyśmy. – Zrobiła pauzę. – Jest pan bardzo blady. Zrobić panu kawy? Herbaty? Może podać coś mocniejszego?

– Żartuje pani? Włamujecie się do mojego domu, chcecie zabić mojego kota i myślicie, że wypiję coś, co mi podacie? Dajcie sobie spokój. Wiecie, gdzie są drzwi. Obejdzie się, nie potrzebuję pomocy.

Kobiety ruszyły do wyjścia, lecz nagle zatrzymały się i odwróciły.

– Gdzie są nasze maniery? – powiedziała ta pierwsza. – Zapomniałyśmy się przedstawić. Nazywam się Veronica Sanson. A to jest moja siostra, Roberta.

Brown milczał. Trochę mocniej przytulił kota.

– Naszym ojcem był Morgan Sanson – dodała kobieta. – To ważne. Dlatego chcemy, żeby pan o tym wiedział.

• • •

Nie musiała mu tego mówić. Wiedział, kim był Morgan Sanson. Wziął głęboki oddech i wsłuchiwał się w ich oddalające się kroki. Kobiety doszły do drzwi. Otworzyły je. I zamknęły. Wypuścił powietrze. Pogłaskał Herkulesa i sięgnął po fajkę. Nerwy miał w strzępach. Nabił fajkę. Strzepnął źdźbło tytoniu. Pstryknął zapalniczką i zaciągnął się głęboko, kiedy tytoń się rozżarzył. Połknął dym i chwilę przytrzymał go w płucach. Powoli wypuścił i zaciągnął się jeszcze raz. Potem po raz trzeci i czwarty. Głowa opadła mu na oparcie fotela. Oczy przewróciły się w oczodołach. Z ust pociekły strużki białej piany.

Veronica i Roberta wślizgnęły się do salonu. W ogóle nie wyszły z domu. I teraz patrzyły, jak Brown zgina się wpół w fotelu. Kot zeskoczył

na podłogę i uciekł za kanapę. Brown gwałtownie się szarpnął, chwycił się za brzuch. Potem za pierś. Zwymiotował długą strugą zielonkawej wodnistej cieczy. Wymiociny zalały mu przód koszuli i szerokim łukiem trysnęły na dywan. Targnęły nim silne konwulsje, całym ciałem. Raz. Drugi. I trzeci. Potem opadł bezwładnie na oparcie i znieruchomiał.

• • •

Dla całkowitej pewności Veronica i Roberta odczekały jeszcze pięć minut. Potem wyszły na korytarz. Telefon stał na niskim kwadratowym stoliku. Veronica włożyła rękawiczki i wyjęła coś z kieszeni. Mały magnetofon. Przewinęła taśmę, znalazła miejsce, którego szukała, i podniosła słuchawkę. Wybrała 911. Zaczekała, aż dyżurny odbierze telefon, przytknęła magnetofon do mikrofonu i nacisnęła PLAY.

„Potrzebuję pomocy”, rozległ się głos, słaby i trochę przytłumiony, lecz w pełni rozpoznawalny.

• • •

Reacher dał Chapellierowi parę minut na wytarcie zakrwawionego nosa i rozprostowanie obolałych kości. Potem sprawdził, czy sierżant Hall nie ucierpiała za bardzo, wypadając z szoferki. Później wsiadł do ciężarówki i kazał Chapellierowi jechać za humvee Hall do wartowni. Czekąło go trochę papierkowej roboty. Musiał załatwić pomoc medyczną. Zorganizować eskortę. Wypełnić formularze. Ale najpierw musiał zadzwonić. Nagle zaczął gonić go czas. Sprawa wymagała specjalnych przygotowań, a dobrze wiedział, jak działa ta machina. Jej tryby obracały się zbyt wolno. Dlatego musiał pójść na skróty, bo inaczej okazja prześlizgnęłaby się im między palcami. Meat Loaf powiedziałaby pewnie, że

„dwa z trzech to całkiem niezłe”, ale on się z nim nie zgadzał. Absolutnie nie.

• • •

Veronica i Roberta spodziewały się, że Brown będzie wymiotował. Szukając substancji, której mogłyby dodać do tytoniu, dokładnie sprawdziły, jakie są skutki uboczne jej działania. Tylko nie zdawały sobie sprawy, że będzie tego tak dużo. I nie przewidziały, że po przyjeździe do domu Brown schowa klucze do tylnej kieszeni spodni. Zakładały, że położy je na stoliku w korytarzu albo powiesi na haczyku. Dotarło to do nich dopiero wtedy, kiedy Veronica odłożyła słuchawkę. Gdy Brown pojechał do miasta, Roberta otworzyła frontowe drzwi wytrychem, ale nie mogły tamtędy wyjść, ponieważ agenci obserwujący dom zdążyli już wrócić. Nie mogły też wyjść przez tylne okno, bo nie zamknęłyby go potem na klucz, a łatwo dostępne otwarte okno byłoby zbyt podejrzane. Dlatego potrzebowały klucza do kuchennych drzwi. Tylko że teraz ten klucz, na kółku wraz z innymi, spoczywał w kieszeni przesiąkniętych wymiocinami bawełnianych spodni Browna. Myśl, że muszą go wyjąć, nie należała do najprzyjemniejszych.

– Może ma zapasowy? – rzuciła Veronica.

Roberta zerknęła na zegarek.

– Idź poszukać. Szybko.

Veronica wpadła do kuchni. Sprawdziła ściany przy drzwiach. Ale nie było tam ani półek, ani haczyków. Otworzyła najbliższą szufladę. Mieszczące się pod nią szafki. Zajrzała do lodówki. I nie znalazła nic, co nadawałoby się na dobry schowek. Zmarnowała dwie minuty. Zostały im najwyżej jeszcze dwie, bo potem przyjedzie policja. Wróciła do salonu.

Roberta stała dwa metry od ciała Browna i wyglądała tak, jakby też miała zaraz wymiotować.

– Masz? – spytała.

Veronica pokręciła głową i podniosła rękę.

– Moje rękawiczki są skórzane, a twoje gumowe. Ty to zrób.

• • •

Uporawszy się z papierkową robotą na Rock Island, Reacher wyruszył na wschód, do Chicago. Całkiem dobrze wyrobił się z czasem, więc kiedy zjechał z autostrady i zobaczył kwadratowy parking, otoczony z trzech stron dużymi nijakimi budynkami, zjechał z trasy. Nie miał cywilnych ubrań, a wiedząc, że będzie ich potrzebował, postanowił jak najszybciej to załatwić. Wszedł do sklepu sportowego i wybrał pierwsze pasujące rzeczy, które zobaczył. Czarne sportowe buty. Beżowe spodnie z kieszeniami naszytymi na nogawkach. Niebieski podkoszulek z logo, które widział pierwszy raz w życiu. I niebieską lekką wiatrówkę.

Zapłacił i przebrał się w przymierzalni. Złożył mundur, wpakował go do torby, którą dał mu sprzedawca, i wrzucił ją do bagażnika, gdzie leżał już jego worek. Ruszył w kierunku zachodniej części miasta, a potem odbił lekko na południe, bardziej w kierunku stadionu White Soxów niż Cubsów. Budynek, którego szukał, znalazł bez trudu. Siedziba chicagowskiego oddziału FBI. Średniej wielkości wieżowiec z betonu i szkła miał półkolistą fasadę, ale poza tym wyglądał tak, jakby zbudowało go dziecko za pomocą zestawu konstrukcyjnego składającego się tylko z kwadratowych części.

• • •

Roberta i Veronica usłyszały syrenę jednocześnie. Zawodziła coraz bliżej. Podeszły do okna i wyjrzały zza rolety. Pędzący ulicą radiowóz po

chwili zatrzymał się przed domem. Agenci wyskoczyli z samochodu i w połowie ścieżki przecięli policjantom drogę.

Na to czekały. Obserwatorzy byli zajęci, więc pobiegły do kuchennych drzwi, które Roberta już wcześniej otworzyła. Wyszły, przekręciły klucz w zamku i skierowały się do skradzionego minivana parkującego trzy ulice dalej, tyłem do domu Browna. Roberta zdjęła rękawiczki, wraz z kluczami wrzuciła je do studzienki ściekowej i usiadła za kierownicą.

– Dokąd teraz? – spytała Veronica, kiedy ruszyły.

Musiały podjąć ważną decyzję taktyczną. Nie mogły robić tego według kolejności nazwisk na liście, bo ci, którzy zauważyli, że byli agenci CIA padają jak muchy, wiedzieliby, na kim się skupić. Chciały jak najbardziej rozproszyć siły przeciwnika, co znaczyło, że następny cel muszą wybrać losowo. Ale czysta losowość nie istnieje. Udowodniły to liczne badania. Nasze wybory są kształtowane na różne sposoby podprogowymi delikatnymi sugestiami. Uciekły się do techniki, którą poznały lata temu.

– Zostały trzy nazwiska – powiedziała Roberta i ponumerowała je w myśli. – Podaj mi trzy kolory.

– Czerwony. Srebrny. Biały.

Następny samochód, jaki zobaczyły, był biały. Miał trzeci wymieniony przez Veronicę kolor. Trzeci na pamięciowej liście Roberty był Michael Rymer, który mieszkał w północnej części Kolorado.

– Przygotuj się na zmianę wysokości – rzuciła. – Jedziemy do Denver.

• • •

Reacher zostawił samochód na parkingu i wszedł do recepcji. Spytał o agentkę Ottoway, która w przeciwieństwie do agentki Holbeck istniała naprawdę. Drobna, szczupła, lecz krzepka, o długich czarnych włosach, przysłała po niego już po paru minutach. Wyjęła plastikową kartę,

przeprowadziła go przez bramkę obrotową, zaprowadziła do windy, a potem do sali konferencyjnej na końcu korytarza na drugim piętrze. Sala była mała, zatęchła i nie miała okien. Cuchnęło w niej papierosami i potem, jakby połowę powietrza przepompowano tu z baru, a drugą z szatni piłkarskiej. I wyglądała jak graciarnia, w której składowano niepotrzebne meble. Stało tam sześć krzeseł. Dwa stoły ustawiono jeden na drugim, ten z wierzchu do góry nogami. W niskich regałach brakowało połowy półek.

Reacher nie był zaskoczony. Wiedział, jak układa się współpraca między agencjami rządowymi. To, że na miejsce spotkania wybrano akurat tę salę, było wyrazem braku entuzjazmu ze strony gospodarzy. Dobrze ich rozumiał. Wkroczył na ich teren. Skierował swoją prośbę z pominięciem stosownych kanałów. W dodatku bez uprzedzenia. Co musiało nadszarpnąć ich zasoby i negatywnie wpłynąć na inne operacje. Ale gdyby ta wypaliła, na pewno nie narzekaliby na chwilowe niedogodności. Nie miał co do tego wątpliwości.

Szef agentki Ottoway przyszedł chwilę później i szybko się okazało – na szczęście – że nie przepada za długimi naradami. Siedzieli tylko we troje, na rozlatujących się krzesłach pod mrugającymi jarzeniówkami. Żadnych notatek czy wykresów. Żadnych niepotrzebnych komplikacji, czyli tak, jak Reacher lubił. Potwierdzenie celu akcji. Ustalenie czasu i miejsca. Główni gracze. Hasło, na wypadek gdyby trzeba było wszystko odwołać. Nic więcej.

Kiedy omówili szczegóły, agentka Ottoway odprowadziła go do windy i nacisnęła guzik.

– Panie kapitanie, mogę o coś spytać?

– Śmiało – odparł Reacher.

– Jak zamierza pan się dzisiaj ubrać?

Zerknął na swoje spodnie i podkoszulek.

– W to, co mam teraz na sobie.

– Tego się obawiałam.

– Coś nie gra?

– Równie dobrze mógłby pan powiesić sobie na szyi tabliczkę z napisem: *Tajniak*. Dobrze. Zrobimy tak. Jeśli zaplanował pan coś na popołudnie, proszę to odwołać. Pójdziemy na zakupy.

8

Telefon zadzwonił dwie minuty po pierwszej po południu czasu wschodnioamerykańskiego. Niezgodnie z grafiką.

Mężczyzna, który go odebrał i wysłuchał meldunku, odłożył słuchawkę, przeszedł do sekretariatu i wybrał numer telefonu komórkowego zainstalowanego w samochodzie jadącym na południe Pennsylvania Avenue.

Charles Stamon odebrał po pierwszym dzwonku.

– Powiedz, że znaleźli Pritcharda.

– Przykro mi, panie sekretarzu – odparł ten z Pentagonu. – Chodzi o Geoffreya Browna. Nie żyje. Dokładnej przyczyny zgonu jeszcze nie ustalono, ale jeden z nowoorleańskich policjantów, który był na miejscu zdarzenia, twierdzi, że rozpoznał symptomy. Brown zmarł na skutek śmiertelnej reakcji na jad ropuchy koloradzkiej. Palił w fajce jej wysuszone wydzieliny zmieszane z tytoniem, który znaleziono na stoliku. Niektórzy robią to dla osiągnięcia efektów psychodelicznych, ale tą substancją leczy się również objawy stresu pourazowego. Jeśli Brown palił je pierwszy raz, mógł użyć zbyt skoncentrowanej dawki. Policja szuka źródła, Brown kupił ją jednak prawdopodobnie w którymś ze sklepów z artykułami do pseudoreligijnych ceremonii. Nikt go nie odwiedzał, nie odebrał ostatnio żadnych przesyłek. Zadzwonił pod dziewięćset jedenaście sam, osobiście,

więc policja uważa, że to był wypadek, choć nie wyklucza samobójstwa pod wpływem nagłego ataku lęku.

Stamoran położył telefon na kolanach i spojrział przez okno na tłumy ludzi wchodzących do biurowców, które mijał po drodze, i wychodzących z nich. Ogarnął go gniew. Znał powód, którego nie dałoby się wykluczyć. Jad ropuchy? Serio? Tak, Brown palił fajkę. Palił od lat. A po tym, co zrobił, dziwne by było, gdyby w końcu nie dopadł go stres. Ale hippisi? New Age? Nie, nigdy w życiu nie brałby tych wymyślonych przez nich świństw. Nie dobrowolnie. Solidna szklanka bourbonu z wodą? Tak. Palenie wydzielin jakiegoś jadowitego płaza? Nie. Nawet za milion lat. Ktoś mu pomógł zejść z tego świata.

Podniósł telefon.

– Czekanie na okazję, żeby przyłapać go na gorącym uczynku, nie skutkuje – powiedział. – Jest oczywiste, że zabójca jest bardzo sprawny i dobrze wyszkolony, więc mógł pracować dla rządu albo wciąż pracuje. Dlatego musimy przejść do działania. Niech agenci dalej obserwują Rymera i Adama, ale macie też powołać specjalny zespół operacyjny. Do jutra. Złożony z żołnierzy, agentów CIA, FBI, Departamentu Skarbu i wszystkich innych agencji. Macie wyselekcjonować grupę najbardziej podejrzanych i przekazać ich nazwiska członkom tego zespołu. Ten człowiek ma zostać zidentyfikowany. I powstrzymany.

• • •

O ósmej wieczorem Reacher siedział przy niskim okrągłym stoliku w barze w River North w Chicago. Był już w drugim komplecie nowych ubrań, które kupił tego dnia. W czarnych dżinsach, ciemnozielonej koszuli, skórzanej kurtce i czarnych butach do kostek z paskami. Naprzeciwno

niego siedziała agentka Ottoway. Była w prostej czarnej sukience, włosy miała bardziej kręcone niż rano.

Urządzony w starej fabryce bar miał dziobate ceglane ściany, brudne, pełne dziur, otworów i przeróżnych haków w miejscach, gdzie kiedyś stały maszyny. Jak przemysłowe petroglify, pomyślał Reacher. Opowiadające o tych, którzy pracowali tu całe życie. Przyglądał się im przez chwilę, a potem spojrział na scenę w kącie naprzeciwko, gdzie grała trzyosobowa kapela. Byli niezli technicznie, ale nic poza tym. Na pewno nie wypchnęliby Howlin' Wolfa czy Magic Slima z listy jego faworytów.

Ottoway trąciła go nogą pod stolikiem i niemal niedostrzegalnym ruchem głowy wskazała drzwi. Do baru wszedł sierżant Chapellier w poplamionych dzinsach i podkoszulku z nadrukiem Metalliki. Przystanął, jakby kogoś szukał, a potem ruszył w stronę wolnego stolika, stojącego niecałe dwa metry od tego, przy którym siedzieli, w części baru oddzielonej dwunastoma pionowymi żelaznymi rurami, czterocalówkami niemal czarnymi od rdzy i rozstawionymi prawie co metr. Były oświetlone od góry. Ale nie wszystkie. Dwie lampy nie działały i dwie rury tonęły w mroku.

Reacher udawał, że przygląda się robiącemu drinki barmanowi, ale jednym okiem zerkał na Chapelliera. Sierżant wiercił się na krześle, bębnił palcami w stół i ciągle spoglądał na drzwi. Do baru wciąż nikt nie wchodził. Jeden z kelnerów niósł tacę z drinkami do stolika na końcu sali, zrobionego ze starej beczki na piwo, wokół której stały stołki wyglądające jak odwrócone do góry nogami wiadra. Siedziało na nich dwóch dwudziestokilkulatków i dwie trochę młodsze kobiety.

Jeden z nich ponaglił kelnera gestem ręki. Może chciało mu się pić. Może chciał się popisać. Tak czy inaczej, ponaglenie nie podziałało. Kelner robił, co mógł. W barze panował tłok. Wciśnięte na siłę stoły i krzesła stały pod dziwnymi kątami. Nie było między nimi przejścia. Kelner po prostu nie

mógł iść szybciej. Dwa razy omal nie upuścił tacy. Raz poślizgnął się na mokrej podłodze. I w końcu, kiedy dotarł już do właściwego stolika, wpadł na jakiegoś klienta.

Metr osiemdziesiąt wzrostu, baseballówka z daszkiem zakrywającym kark, workowate džinsy, kraciasta koszula z guzikami, które z trudem wytrzymały napór wielkiego brzucha – gościa trudno było nie zauważyć. A teraz rozejrzał się, sprawdzając, czy ktoś na niego patrzy. Zobaczył, że patrzy wielu. Więc pchnął kelnera w pierś. Mocno.

Ten zatoczył się do tyłu, stracił równowagę i taca wypadła mu z rąk. Na podłogę spadły cztery drinki. Trzy piwa i fantazyjny koktajl z parasolką. Kelner zrobił cztery kroki, upadł i uderzył głową w podstawę stojącego za nim stolika.

Chapellier nie zwracał uwagi na zamieszanie. Skupiał wzrok na drzwiach. Ale do baru ciągle nikt nie wchodził. W części oddzielonej rurami siedziało dwadzieścia kilka osób. Nikt nie kiwnął palcem, żeby pomóc kelnerowi. Czy choćby postawić go na nogi. Biedak przewrócił się w końcu na brzuch i poczołgał w stronę tacy. Grubas odepchnął ją nogą. Teraz też nikt nie zareagował. I wciąż nikt nie wchodził do baru.

Po paru minutach kelner wrócił z mopem i wiadrem. Gdy sprzątał, grubas korzystał z każdej okazji, żeby popchnąć go czy potrącić. Ludzie mieli to gdzieś. Reacher też przestał ich obserwować. Bo do baru w końcu ktoś wszedł. Mężczyzna pod czterdziestkę. W luźnej koszuli i obszernych džinsach, ze skórzaną torbą na ramieniu. Był chudy, miał od dawna niemyte włosy i tygodniowy zarost na twarzy. Reacher dobrze takich znał. Mógłby się założyć, że facet był kiedyś żołnierzem. Uzależnienie od prochów, potem kradzieże, a później karne zwolnienie z wojska. Schemat, który widział tysiąc razy.

Chudzielec podszedł do stolika Chapelliera i usiadł. Kiedy pojawił się kelner, sierżant powiedział coś, pokazując mu dwa palce. Potem siedzieli w milczeniu, dopóki nie stanęły przed nimi dwie szklanki piwa. Kiwnęli do siebie głową, trącili się szkłem i wypili do dna. Chudzielec beknął i postawił torbę na stojącym tuż obok wolnym krześle. Chapellier podniósł ją i zajrzał do środka. Potem wyjął z kieszeni kluczyki samochodowe i położył je na stoliku. Chudzielec znów kiwnął głową, wziął je, wstał i ruszył do wyjścia.

Ottoway odwróciła się i wyjęła z torebki nadajnik. Przytknęła go do ust i powiedziała:

– Wychodzi. Idzie do samochodu. Zaczekajcie, aż wsiądzie, i zdejmijcie go.

Po chwili radio ożyło.

– Mamy go. Kontrabandę też. Akcja zakończona.

• • •

Susan Kasluga odłożyła słuchawkę i zamknęła oczy. Powoli wypuściła powietrze i poczuła, że ma nieco mniej spięte ramiona. Siedziała przy biurku, w swoim domowym gabinecie. Gabinet był mały, lecz cichy, a widok z okna, na staw i drzewa, rekompensował brak przestrzeni.

– Kłopoty w pracy?

Otworzyła oczy i zobaczyła, że w drzwiach stoi mąż.

– Szpiegujesz mnie?

– Gdybym szpiegował, nic byś o tym nie wiedziała.

– Może to tylko podwójny blef?

– Nie. Więc co to było? – spytał Stamorán. – Ktoś zadzwonił przez pomyłkę?

Kasluga rzuciła w niego jaskraworóżową piłeczką antystresową.

– Nie twoja sprawa. A teraz idź sobie. Pracuję.

• • •

Ottoway szła przodem. Za nią Chapellier, a pochód zamykał Reacher. Na ulicy było jasno od czerwonych i niebieskich świateł. Stały tam cztery samochody FBI z migającymi kogutami na deskach rozdzielczych. Chudzielec siedział na tylnym siedzeniu ostatniego. Za samochodem stała poobijana stara toyota. Z otwartymi drzwiami od strony kierowcy. I otwartym bagażnikiem. Pilnował jej jeden z agentów, a kiedy Reacher podszedł bliżej, nadjechała biała furgonetka i wysiadło z niej dwóch techników. Ottoway przystanęła obok pierwszego samochodu i zamieniła kilka słów z kimś, kto siedział na miejscu pasażera. Z cienia pod ścianą wyszło nagle dwóch mężczyzn. Szczupłych. Zadbanych. Ubranych na czarno. Wyglądają jak francuscy filozofowie awangardowi, którzy dostali obsesji na punkcie tężyzny fizycznej, pomyślał Reacher. Wiedział, kim są. Rozpoznałby żołnierza na kilometr, nawet we śnie. Lata doświadczenia wyostrzyły mu instynkt. Żandarmów wojskowych łatwo można było zauważyć. Nikt się z nimi nie zadawał. Bo nikt ich nie lubił. Nie mógł tylko wykombinować, co ci dwaj tu robią. Nie prosił o wsparcie.

Ten wyższy podszedł bliżej i rzucił:

– Kapitan Reacher?

Reacher kiwnął głową.

– Czy może pan potwierdzić to jakimś dokumentem?

Wyjął portfel i pokazał legitymację służbową.

– Dziękuję. – Żandarm sięgnął do kieszeni i podał mu kopertę.

Reacher otworzył ją. W środku znalazł kartkę papieru z godłem żandarmerii wojskowej na górze. Było na niej napisane, że ma przekazać

im sprawę Chapelliera i o jedenastej następnego dnia zameldować się w Waszyngtonie pod takim a takim adresem.

Podniósł wzrok.

– Wiecie coś o tym?

– Nie, panie kapitanie.

– A co słyszeliście?

– Nic. Nic nam nie powiedziano.

Reacher uśmiechnął się. Było oczywiste, że ci dwaj są podoficerami. I należą do trzonu służby. A z doświadczenia wiedział, że roznoszone przez podoficerów plotki są najskuteczniejszym środkiem komunikacji na świecie.

– Nie pytałem, co wam powiedziano. Pytałem, co słyszeliście. I jeśli powtórzycie, że nic, każę was zamknąć za podszywanie się pod żołnierzy Armii Stanów Zjednoczonych. Więc zacznijmy od tego: wysyłają mnie do Waszyngtonu. Po co?

Ten wyższy zerknął na kolegę i odparł:

– Podobno zginęło parę osób.

– Kto?

– Nie wiem.

– Ktoś z naszych?

Żandarm pokręcił głową.

– Emerytowanych naukowców – odparł. – Jeden wypadł z okna w szpitalu.

– Wypadł?

Żandarm wzruszył ramionami.

– A więc to CIA – rzucił Reacher. – Ale my? Co nam do tego?

– Podobno nie tylko my. Coś kombinują, CIA i inne agencje. Rozkazy z Pentagonu.

– Ale dlaczego wysyłają akurat mnie?

– Zażądali kapitana albo kogoś jeszcze starszego stopniem. Nikt od nas nie chciał tego tknąć. Musiał pan kogoś ostro wkurzyć, kapitanie.

• • •

Susan Kasluga zapukała cicho do drzwi, otworzyła je, weszła do gabinetu i przystanąła tuż za progiem.

Stamoran siedział w fotelu. Czytał książkę. Biografię George'a Meade'a. Podniósł wzrok, po czym wrócił do lektury.

Kasluga zobaczyła, że na niskim stoliku przy oknie leży jej piłeczka antystresowa, oparta o karafkę whisky. Obok stały dwie szklanki z ciętego kryształu. Podeszła do stolika i naląła do nich na dwa palce. Do jednej trochę więcej i tę zaniósła mężowi.

– Przepraszam – powiedziała. – Zaskoczyłeś mnie. Ten telefon...

– Nie musisz nic mówić.

– Wiem. Po prostu... o nic się nie martw. Chodziło o interesy.

– O to przejęcie?

– O... bezbronność. O coś, co mogło wszystko zepsuć. Ale już to załatwiłam. Dzwonili z potwierdzeniem. Dlatego tak krótko rozmawiałam.

– Nie znam prawnika, który umie się streszczać.

– Kto powiedział, że to był prawnik?

– Może jednak lepiej nic nie mów.

– Widzisz? To kolejny powód, dla którego za ciebie wyszłam. Nienaganny instynkt. A teraz odłóżmy pracę do jutra. Już późno. – Kasluga upiła łyk whisky. – Są lepsze sposoby na spędzanie wieczoru.

• • •

Kiedy żandarmi odprowadzili Chapelliera, Ottoway podeszła do Reachera i spytała:

– Co to było?

Wzruszył ramionami.

– Nowe rozkazy.

– Coś ciekawego?

– Wątpię. Raczej nie.

– Szkoda. Więc wyjeżdżasz?

Kiwnął głową.

– Kiedy?

– Chyba jeszcze dzisiaj, jeśli złapię samolot. Jeśli nie, to jutro rano.

– Głosuję za jutrem. Zostań na noc w Chicago. Odwaliliśmy kawał dobrej roboty. Trzeba to oblać.

– Masz rację. – Milczał przez chwilę, a potem dodał: – Poza tym chciałbym tu jeszcze coś załatwić.

• • •

Wrócił do baru i podszedł do lady. Barman podniósł wzrok i zrobił krok do tyłu. Zobaczył go dopiero teraz. Nie spodziewał się, że ktoś wyrośnie tuż przed nim. A już na pewno nie ktoś taki jak Reacher. Prawie dwa metry wzrostu. Pierś jak lodówka. Ręce grube jak u innych uda. Krótko ostrzyżone włosy. I przechylona na bok głowa, jakby ze zdziwieniem.

Na końcu lady stała metalowa balia, wysoka na jakieś ćwierć metra i na metr szeroka. Na początku wieczoru była pełna lodu i butelek piwa. Teraz wypełniała ją głównie woda, w której pływały nieliczne kostki. Reacher wskazał ją i rzucił:

– Niech mi pan to da.

Barman zamrugał.

– Balię? Po co?

– Chcę ją pożyczyć.

– Nic z tego. Ale mogę ją wynająć. Dwie dychy za pół godziny. Prawo jazdy jako zabezpieczenie. I żadnych pytań. Możesz z nią zrobić, co chcesz.

Reacher pokręcił głową.

– Nie, tylko ją pożyczę. Na dwie minuty. A ty patrz, co się będzie działo. Kiedy ją zwrócę i wciąż będziesz chciał pieniędzy, dam ci cztery dychy.

Barman myślał przez chwilę, a potem zawołał kolegę, żeby pomógł mu przesunąć balię. Reacher podniósł ją i ruszył w stronę grubasa, który gnębił kelnera. Ten demonstracyjnie odwrócił się do niego plecami. Reacher podszedł bliżej, przystanął, by sprawdzić, czy widzi ich kelner, po czym podniósł balię i wylał lodowatą wodę na głowę grubasa.

Ten przeraźliwie krzyknął. Zawył. Zaczął wymachiwać rękami, tańczyć w miejscu i podskakiwać. Prychał, sapał i w końcu się odwrócił. Woda zmyła mu baseballówkę. Przemoczyła brodę. Koszula przykleiła mu się do piersi.

– Co to, kurwa, było? – wykrztusił.

– Tresura – odparł Reacher.

– Co?

– Tresura, jak tresura psa.

– Chcesz powiedzieć, że jestem psem?

– Czytałem gdzieś, że jeśli ma się psa i pies narozrabia, trzeba mu zrobić coś, czego nie lubi. Wtedy się nauczy, że tak nie wolno. Ale ty jesteś najwyraźniej mniej bystry od przeciętnego kundla. Prawdopodobnie mniej

bystry od głupiego. Głupi pies, któremu usunięto połowę mózgu, jest pewnie mądrzejszy od ciebie. Więc może tu trochę zostanę. Jako twój osobisty treser. I będę sięgał po tę balię, ilekroć zaczniesz zachowywać się jak dupek.

Grubas zmarszczył brwi i potrząsnął głową. Kropelki wody rozbryzgnęły się szerokim kręgiem, jakby był pudlem stojącym na deszczu. Na chwilę zastygł bez ruchu. Potem przybrał groźną minę.

– Dość tego – warknął. – Zabiję cię. Połamie ci wszystkie kości.

– Tak myślisz? – Reacher trzymał balię przed sobą, pod kątem czterdziestu pięciu stopni.

– Ja nie myślę, ja to wiem.

Reacher zerknął na balię i przesunął się pół kroku w lewo.

– Na pewno nie połamiesz przy okazji swoich?

– Nie. Wbiję ci głowę do głowy.

– Tak? – Reacher cofnął się pół kroku. – Czy ktoś tu zbiera zakłady? Stawiam na naszego zlobotomizowanego pieska. Bez dwóch zdań.

Grubas rzucił się na niego, wyprowadzając cios. Mierzył w twarz. Bez żadnej techniki. Bez finezji. Sam ciężar ciała, siła rozpędu i furia. W pewnych okolicznościach mogłoby coś z tego wyjść. Ale nie tego wieczoru. Bo Reacher przesunął się w bok. Odsłaniając nieoświetloną żelazną rurę, przed którą stał. Pięść trafiła prosto w nią. Kłykcie poszły w drzazgi. Palce się połamały. Pogruchotały się drobne kosteczki w dłoni, nadgarstku i przedramieniu. Zerwały się ścięgna. Popękały więzadła. Tym razem grubas nie wydał żadnego dźwięku. Zadbał o to ból. Który kazał mu natychmiast zemdleć. Pod mężczyzną ugięły się kolana. Upadł na plecy i znieruchomiał z głową oddaloną o piętnaście centymetrów od parasolki z drinka, który kelner rozlał przez niego kilkanaście minut wcześniej.

Reacher zaniósł balię do baru i postawił ją na ladzie.

– Bez opłaty – powiedział barman.

Reacher nie puścił balii od razu. Przypomniała mu się podobna sytuacja, która doprowadziła do jego degradacji.

– A jeśli ktoś spyta, kto mu zrobił kuku?

– Nikt. Sam sobie zrobił.

– Prawidłowa odpowiedź.

9

Michael Rymer zjadł śniadanie na tarasie. Sam, jak zwykle. Nie spieszył się. Nie musiał. Dni pełne pośpiechu już minęły. Był na emeryturze. Z czego bardzo się cieszył. Nie miał rodziny. Nie miał nikogo, kto mógłby układać mu dzień. W każdym razie odkąd przed dziesięciu laty opuściła go czwarta żona. Musiał tylko chłonąć poranne słońce przy porannej owsiance i kawie, a potem iść na przystań i odcumować *Pegaza*. Swoją dumę i radość. Czekał go cały dzień na łowisku, a wieczorem butelka wina i film z odtwarzacza VHS. Nie zawsze tak było. Ale ostatnio życie traktowało go dobrze. Nie miał co do tego wątpliwości.

Był w połowie drogi do swojego ulubionego miejsca – gdzie brały okoniopstrągi i skąd roztaczał się zapierający dech w piersiach widok na Góry Skaliste – gdy zobaczył coś, czego się nie spodziewał. Łódź. Dwunastometrową. Właściciele sześciu działek rozrzuconych wokół jeziora zwykle korzystali ze swoich domów – i łodzi – latem i od czasu do czasu w święta. Przez pozostałą część roku miał gwarancję, że będzie na wodzie sam. Tak jak lubił. W pierwszej chwili chciał zmienić kurs. Znaleźć bardziej odosobnione miejsce. Ale coś nie dawało mu spokoju. Ta łódź, sposób, w jaki się poruszała. Bo wydawało się, że dryfuje bez celu. Nigdzie nie płynie. I nie stoi na kotwicy. Pomyślał, że może w nocy zerwała się z cumy u któregoś z sąsiadów i wiatr przygnał ją aż tutaj. Ale nagle zza sterówki

ktoś wyszedł. Kobieta. Zaczęła do niego machać. Ale nie w przyjazny sposób. Gwałtownie wymachiwała rękami nad głową. Nie ulegało wątpliwości, że ma jakieś kłopoty. Rymer pchnął dźwignię przepustnicy i zmienił kurs, by zobaczyć, co się dzieje.

Kiedy podpłynął bliżej, od razu rozpoznał łódź. *Księżniczka*. Należała do małżeństwa z Denver. Nie wiedział, jak się nazywają, nie zawracał tym sobie głowy. Byli chyba lekarzami. Ale na pewno nie znał kobiety, która do niego machała. Pod trzydziestkę, szczupła i wysportowana, jakby regularnie ćwiczyła, z ciemnymi włosami spiętymi z tyłu w praktyczny sposób. Może to krewna tych lekarzy? Albo przyjaciółka? W każdym razie ktoś, kto miał pozwolenie tu być. Rymer robił w życiu wiele szalonych rzeczy, ale nigdy nie słyszał, żeby ktoś ukradł łódź tylko po to, żeby popływać nią po górskim jeziorze tak odległym, że dosłownie niemożliwym do znalezienia, jeśli nie wiedziało się, gdzie go szukać. Przerzucił kilka odbojników przez nadburcie, przywiązał je do knag i powoli podpłynął do unieruchomionej *Księżniczki*.

– Wszystko w porządku?! – zawołał.

Kobieta chwyciła się za głowę.

– Boże, tak mi głupio. Claudia i Andreas udostępnił mi dom na dwa tygodnie. Powiedzieli, że mogę popływać łodzią, kiedy tylko zechcę, i że łatwo się ją prowadzi. Czuję się jak kompletna idiotka.

– Spokojnie.

Rymer wziął zwój liny z dziobu *Pegaza* i przerzucił ją przez uniesiony dziób *Księżniczki*. Potem przeszedł na rufę, wziął drugą linę, podał ją kobiecie, przeskoczył nad stykającymi się burtami i wylądował obok niej. Jedną linę przywiązał do knagi na rufie, a drugą do tej na dziobie.

– Jestem pewien, że to tylko jakiś drobiazg. Zaraz wszystko naprawimy.

Księżniczka była starsza od *Pegaza*. Zaczynała pewnie jako kuter rybacki; łowiła homary i kraby w płytkich wodach przybrzeżnych. Teraz jej drewniany kadłub był pomalowany na biało, tu i ówdzie ozdobiony niebieskimi pasami, a za sterówką, tam gdzie kiedyś mieściła się otwarta ładownia, stały wygodne fotele. W oczy rzucało się czerwone koło ratunkowe wiszące obok drzwi, a na całym pokładzie wałały się sznury i liny. Rymer pokręcił głową na widok tego bałaganu i ruszył w stronę klapy przedziału silnikowego. Nagle kilka lin się poruszyło. Śmignęły po gładkim pokładzie jak żywe i owinięły się wokół jego stóp. Opasały mu kostki i mocno się zacisnęły. Kostki łupnęły o siebie, a on się zachwiał. Odzyskał równowagę, lecz chwilę później runął na plecy. Coś szarpnęło linami. Mocno. Jakby pociągnął go za sobą ogarnięty paniką koń. Rymer prawie stracił oddech. Z trudem podniósł głowę i zobaczył, że liną nie szarpnęło „coś”, tylko „ktoś”. Druga kobieta. Niemal identyczna jak ta, która prosiła go o pomoc, tylko dwa, trzy lata starsza. Musiała czekać za sterówką.

Teraz podeszła bliżej, chwyciła liny obiema rękami i podniosła mu nogi. Ta pierwsza pochyliła się, chwyciła go pod pachy i dźwignęła tułów. Obróciła go nogami do *Pegaza*. Wciąż brakowało mu tchu. Nie rozumiał, co się dzieje. Kobiety zawlokły go na pustą część pokładu, do burty. Ta pierwsza podniosła mu wyżej głowę, wciągnęła ramiona na okrężnicę i przewróciła go na brzuch, tak że patrzył teraz na wodę. Potem, już we dwie, zaczęły go pchać i przesuwac, aż okrężnica znalazła się na wysokości jego pasa. Wtedy przechylił się do przodu i opadł w dół, uderzając rękami w zewnętrzne poszycie kadłuba, żeby osłonić twarz. I zawisł z głową jakieś trzy centymetry od wody.

• • •

Roberta Sanson szarpnęła liną, żeby zwrócić jego uwagę.

– Michael, słyszy mnie pan? I co ważniejsze, czy mnie pan rozumie?

Rymer nie odpowiedział.

Gdy zrobiła duży krok do przodu, nogi podjechały mu do góry, tułów opadł, a głowa zanurzyła się w lodowatej wodzie. Roberta odczekała dziesięć sekund i pociągnęła za linę. Nie sprzyjała jej fizyka, więc siostra musiała chwycić go za pasek.

– Michael?

Parsknął i zakaszłał.

– Oszalałyście? Co wy robicie? Chciałem dobrze! Chciałem wam pomóc!

– Pomóc? Świetnie. Musi pan tylko podać nam jedno nazwisko. Jedno nazwisko i będzie po wszystkim. Już nigdy pan nas nie zobaczy.

– Jakie?

– Pana zespół badawczy, Indie, tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty dziewięć. Znamy siedem nazwisk. Oczywiście łącznie z pańskim. Brakuje nam ósmego.

– Co? Nie. Ósmego nie ma. Było nas siedmiu. Przysięgam. Ja. Owen Buck. Varinder Singh. Keith Bridgeman. Geoffrey Brown. Charlie Adam. I Neville Pritchard. Nikogo więcej.

– Było was ośmiu. Muszę znać to nazwisko. Musi pan je podać.

– Nie ma ósmego nazwiska! Dlaczego ciągle...

Roberta znów zanurzyła mu głowę. Tym razem na piętnaście sekund. I znowu Veronica musiała pomóc jej go podciągnąć.

– To nie jest zbyt przyjemne, prawda? – powiedziała Roberta. – Przystaniemy dopiero wtedy, kiedy poda nam pan to nazwisko. No? To nie

takie trudne. Dwa słowa. Imię i nazwisko. To chyba lepsze niż utonięcie. Bo nie ma pan wątpliwości, że pana utopię, prawda?

Rymer z trudem łapał oddech.

– Nie mogę. Tylko... siedem. Przysięgam.

Roberta spojrzała na siostrę i wzruszyła ramionami.

– Dobrze. Pana wybór. Ale chcemy, żeby poznał pan nasze. To ważne. Nazywam się Roberta Sanson. A to jest moja siostra, Veronica. Naszym ojcem był Morgan Sanson.

Rymer jęknął.

– Czyżby w ostatniej chwili doznał pan olśnienia?

Milczał.

Roberta znów wzruszyła ramionami i opuściła go do wody. Zaparła się nogami o pokład, mocno trzymając linę. Rymer wierzgał, szarpał się i szamotał. Ruchy miał silne i zdesperowane. W końcu jednak osłabł i zwiotczał. Z jego ciała odpłynęło całe napięcie. Stracił niemal wszystkie siły. Po raz ostatni wygiął plecy, po raz ostatni rozorał rękami wodę i osunął się głębiej w ciemność. Na powierzchnię wypłynęło kilka bąbelków powietrza i zawisnąwszy na linie, ciężki i bezwładny, objął się o burzę kołyszącej się lekko łodzi.

Roberta chwyciła linę prowadzącą do węzła na jego kostkach i pociągnęła. Węzeł puścił i ciało Rymera wsunęło się bezszelestnie do wody. Po chwili wypłynęło i ułożyło się twarzą do dołu, z szeroko rozłożonymi rękami i nogami i z włosami falującymi wokół głowy jak wodorosty.

• • •

Reacher też obudził się rano z widokiem na jezioro. W jego przypadku na jezioro Michigan, które widać było z wielkiego panoramicznego okna na

trzydziestym pierwszym piętrze wieżowca w kształcie listka koniczyny w Navy Pier w Chicago. Z sypialni agentki Ottoway.

– Spokojnie – powiedziała, gdy po powrocie z nocnego koncertu bluesa na Halsted Street zobaczyła jego minę. – To nie z lewizny. To po rozwodzie.

Wypili kawę w łóżku, a potem wzięli razem prysznic. Z mydłem. Z gorącą wodą. I z parą. Ale zważywszy na to, jak długo pod nim stali, nie chodziło raczej o poranne ablucje. Nie zostało więc im zbyt dużo czasu na śniadanie. Ubrali się, zjechali windą do podziemnego garażu i wsiedli do jej samochodu. Pojechali do siedziby FBI i kiedy Reacher poszedł po worek do samochodu, który wypożyczył na Rock Island, Ottoway napisała coś szybko.

– Masz. – Dała mu karteczkę z numerem telefonu, z kierunkowym 312. – Mój domowy. Jeśli kiedykolwiek będziesz w Chicago, zadzwoń.

Reacher nic nie powiedział.

• • •

Spacer do przystanku linii L i jazda na lotnisko O'Hare były mało ciekawe. W terminalu zdążył jeszcze wypić kawę, potem wszedł do samolotu, wylądował na krajowym lotnisku w Waszyngtonie, stanął w kolejce do taksówek i podał kierowcy adres z rozkazów, które dostał poprzedniego dnia. Trasa prowadziła przez Potomac, a potem za miasto, zderzak w zderzak w chmurach spalin przez całą drogę z wyjątkiem ostatnich dziesięciu minut. Jechali w kierunku dzielnicy biznesowej. Budynki były tam niskie i długie, najwyżej dwudziestoletnie, z jasnej cegły i lustrzanego szkła, oddzielone prostokątnymi parkingami i przesłonięte efektownymi zielonymi żywopłotami. Taksówkarz zatrzymał się przed ostatnim na ulicy. Na mieszczącym się przed nim parkingu stały trzy samochody. Amerykańskie. Dwa ford i chevrolet. Jeden był zielony, drugi

niebieski, trzeci czarny. Zjeżdżając z taśmy produkcyjnej w Detroit, wszystkie miały na pewno mniej anten niż teraz.

Reacher dał kierowcy przyzwoity napiwek i ruszył w stronę głównego wejścia. W środku zobaczył nową tanią wykładzinę, nowe tanie meble i ściany świeżo pomalowane na neutralny kolor. Z czego wywnioskował dwie rzeczy: budynek należał do rządu i był na sprzedaż. Nie miał pojęcia dlaczego, ale zauważył, że rząd nigdy nie wydaje pieniędzy na coś, co zamierza zatrzymać.

Za ladą w recepcji nikogo nie było, więc pchnął podwójne drzwi i znalazł się w jasnym długim korytarzu. Na pierwszych drzwiach po lewej wisiała tabliczka z napisem *Sala odpraw*. Zajrzał do środka. Siedziały już tam trzy osoby, po trzech stronach prostokątnego stołu, zbyt dużego jak na to pomieszczenie. Dwóch mężczyzn i kobieta. Wszyscy po trzydziestce. Wszyscy trochę spięci, jakby nie wiedzieli, dlaczego tu są, lecz zakładali, że nie czeka ich nic dobrego. W pomieszczeniu znajdowało się dwanaście krzeseł, dwa rzędy po cztery i dwa po dwa, a jedynym dodatkowym meblem był stojący przy oknie stół. Stały na nim dwa błyszczące termosy próżniowe, piramida styropianowych kubków i miska wypełniona po brzegi kartonikami śmietanki i saszetkami słodzika.

Reacher nalał sobie kubek kawy i przecisnął się do krzesła na rogu stołu, skąd widział okno i drzwi. Położył worek na podłodze i usiadł. Kobieta, siedząca po tej samej stronie stołu, w jego połowie, miała krótkie jasne włosy, była w granatowym żakiecie i śnieżnobiałej bluzce. Leżała przed nią zamknięta brązowa teczka. Naprzeciwko niej usadowił się jeden z mężczyzn. Był w granatowej marynarce, ale chyba w niej spał. Jego włosy wyglądały tak, jakby rano wygrały walkę z grzebieniem i wygrywały z nim codziennie. Miał nalaną twarz, przekrwione oczy i nos poprzecinany siateczką delikatnych żyłek. Drugi ulokował się przy rogu stołu, po

przekątnej do Reachera. Był w sportowej marynarce i przyzwoitym krawacie; miał zimne niebieskie oczy i starannie uczesane włosy, jak bankowiec albo księgowy. Intensywnie wpatrywał się w okno, jakby myślał, że jeśli tylko mocno się skupi, jakaś siła teleportuje go gdzieś indziej.

Wszyscy milczeli. Po dwóch minutach w korytarzu rozległy się kroki. Otworzyły się drzwi i do sali wszedł szybko mężczyzna. Wysoki, prawie dwa metry, miał pociągłą twarz i starannie uczesane srebrzyste włosy. Przystanął, przyjrzał się im po kolei, po czym usiadł na krześle u szczytu stołu.

Odchrząknął i powiedział:

– Zaczniemy, dobrze? Najpierw się sobie przedstawimy. Nazywam się Christopher Baglin i pracuję w Departamencie Obrony. Teraz państwo, zgodnie z ruchem wskazówek zegara.

Co znaczyło, że następny będzie Reacher.

– Jack Reacher, Armia Stanów Zjednoczonych.

– Amber Smith, FBI – odezwała się kobieta.

– Gary Walsh, Departament Skarbu – powiedział facet w sportowej marynarce.

– Kent Neilsen – rzucił ten wygnieciony. – CIA.

Baglin kiwnął głową i złożył ręce na stole.

– Pani i panowie, dziękuję za przybycie. Mówię to w imieniu samego sekretarza obrony. Wiem, że wezwano was bez uprzedzenia, ale uwierzcie, nie zrobilibyśmy tego, gdyby nie waga tej misji. Mamy problem. My, Stany Zjednoczone. Bardzo poważny problem. I potrzebujemy waszych umiejętności, żeby go rozwiązać.

Zrobił pauzę, jakby czekał, aż ktoś spyta, co to za problem.

Ale nikt się nie odezwał. Nikt nie był aż tak naiwny, co Reacher uznał za pocieszające.

Baglin położył ręce na kolanach.

– Żeby zapoznać was z celem tej misji, muszę cofnąć się w czasie o trzydzieści lat. Jak wiecie, całe zło Związku Radzieckiego trafiło wreszcie na śmietnik historii, ale przez wiele dziesięcioleci Sowieci byli naszymi największymi wrogami. W latach sześćdziesiątych zagrażali nam ze wszystkich stron. Bomby atomowe. Satelity. Okręty podwodne. Uśpieni agenci. Szpiegzy. Lista nie ma końca, a na jej szczycie było coś wyjątkowo paskudnego. Broń chemiczna i biologiczna. Nowe szczepy i odmiany bakterii, które miały zabijać, oślepić i obezwładniać w najbardziej przerażające sposoby. I właśnie to dało początek Projektowi Sto Dziewięćdziesiąt Dwa.

Znowu umilkł i czekał na pytania. Ale znów nikt nie połąknął przynęty.

Więc położył ręce na stole i ciągnął:

– Zanim przejdziemy dalej, muszę podkreślić dwie rzeczy. Po pierwsze, sekretarz obrony nalega na całkowitą przejrzystość i otwartość. Uważa, że nie będziecie mogli wydajnie pracować, nie mając do dyspozycji wszystkich faktów. Dlatego wszystkie zostaną wam udostępnione, z czego, po drugie, wypływa konieczność zachowania tajemnicy. To, czego się dowiecie, nie ma prawa wyjść poza ściany tej sali. Czy to jasne?

– Absolutnie.

– Tak jest.

– Oczywiście.

– Ma się rozumieć – powiedział Reacher i wszystkie cztery głosy złąły się ze sobą.

– Dobrze – kontynuował Baglin. – Projekt Sto Dziewięćdziesiąt Dwa miał chronić nas przed diaboliczną bronią Sowietów. Jego celem było

dokładne rozpoznanie skutków jej działania i opracowanie odtrutek, które można by wyprodukować szybko i w dużych ilościach. Co nie było łatwe. Wymagało najnowocześniejszego sprzętu, zastosowania najnowszych technik i musiało się odbywać w całkowitej tajemnicy. Baliśmy się, że jeśli Sowieci odkryją, że to robimy, wymyślą coś nowego i nie zdążymy w porę zareagować. Dlatego nawiązaliśmy współpracę z najlepszymi amerykańskimi firmami przemysłowo-badawczymi i w ich laboratoriach stworzyliśmy odseparowane od reszty strefy...

Zawiesił głos. Ale i tym razem nikt nie dał się podpuścić.

– Rzecz w tym, że robiliśmy to poza bezpośrednią kontrolą rządu. W pobliżu cywilnych pracowników. Niekiedy w pobliżu dużych siedlisk ludzkich. I często za granicą. Czasem w bardzo biednych krajach. Krajach, którym trudno by było nie zgodzić się na tego rodzaju działalność. Popierałem i popieram te decyzje. Sekretarz obrony też. Tak było wtedy dobrze dla kraju, dla Ameryki. Ale jak wiecie, czasy się zmieniają. Zmieniają się postawy. Wytrzymaliśmy burzę po raportach na temat Agent Orange i gazu VX. Przeżyliśmy klęskę ostatnich dni w Wietnamie. Przeżyliśmy Watergate. Aferę Iran-Contras. I tak dalej, i tak dalej. Obawiamy się, że skoro Związek Radziecki już nam nie zagraża, ludzie nie rozumieją konieczności tego, co wtedy robiliśmy. Gdyby szczegóły Projektu Sto Dziewięćdziesiąt Dwa wyszły na jaw, mogłoby to doprowadzić do niepokojów. A nasi inni wrogowie mogliby wykorzystać te informacje, żeby postawić Stany Zjednoczone w niezręcznej sytuacji na arenie międzynarodowej.

Znów umilkł i znów nikt nie przerwał ciszy.

– Co prowadzi nas do sedna sprawy. – Zniżył głos. – Pod koniec lat sześćdziesiątych siedmiu naukowców próbowało opracować sposób zneutralizowania pewnego sowieckiego środka paralityczno-drgawkowego.

Pracowali w cywilnym laboratorium należącym do spółki Mason Chemical Industries. W Indiach. Jeden z nich zmarł niedawno na raka, a trzech innych straciło życie w bardzo podejrzanych okolicznościach.

Smith odchrząknęła i spytała:

– Konkretnie w jakich?

– Jednego poraził prąd. Drugi wypadł z okna. Trzeci wchłonął śmiertelną dawkę jadu pewnej ropuchy.

– Trucizny – poprawił go Reacher.

– Słucham?

– Jeśli wchłonął, to truciznę. Jad dostaje się do organizmu poprzez ukąszenie albo użądlenie.

– Uważa pan, że to istotne?

– Precyzyjne. A precyzja jest zawsze istotna. Zwłaszcza kiedy chodzi o ludzkie życie.

Baglin spiorunował go wzrokiem i odwrócił głowę.

– Nasza hipoteza robocza zakłada, że zabił ich agent obcego wywiadu, żeby ujawnić informacje, które mogłyby zaszkodzić Stanom Zjednoczonym. Trzech członków tego zespołu wciąż żyje. Przedsięwzięto kroki, żeby ich chronić, ale sekretarz obrony uważa, że bierna reakcja nie wystarczy. Chce, żebyśmy zidentyfikowali zabójcę i go powstrzymali. I właśnie tu wkraczacie na scenę. Identyfikacja podejrzanych. Wojsko i CIA, ponieważ w latach sześćdziesiątych organizacje te odpowiadały wspólnie za prace badawcze. Kontrwywiad FBI, na wypadek gdyby ta operacja była sterowana z zagranicy. Departament Skarbu, na wypadek gdybyśmy zrobili złe założenie i okazałoby się, że to tylko ktoś polujący na tajemnice przemysłowe. Dla każdego z was przygotowano biuro z telefonem, faksem i zapasem materiałów piśmiennych. Będziecie mieszkać w pobliskim hotelu, dopóki to będzie konieczne. Jakieś pytania?

Reacher podniósł rękę.

– Czy zażądano okupu?

Baglin pokręcił głową.

– Nie.

– Czy innych naukowców pracujących nad bronią biologiczną też próbowano namierzyć?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Może pan się dowiedzieć?

– Dobrze, spytam. A teraz...

– Jeszcze jedno. Powiedział pan, że przedsięwzięto kroki, żeby chronić żyjących naukowców z Projektu Sto Dziewięćdziesiąt Dwa. Jakiego rodzaju kroki?

– Doświadczeni agenci obserwują ich przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu.

– Czy te trzy ofiary też były obserwowane?

– Panie kapitanie, nie czas na wytykanie błędów czy zdobywanie punktów.

– Nie taki miałem zamiar. Jeśli chcemy zarzucić sieć, musimy wiedzieć, jakie powinna mieć oczka. Dlatego najpierw trzeba rozważyć, co łowimy. Różne sposoby zabijania coś nam mówią. Ale za mało. Pierwsza ofiara zginęła porażona prądem, tak? Zabicie kogoś w taki sposób to jedno. Ale zabicie kogoś pod nosem doświadczonych agentów to zupełnie co innego. Dowodzi większych umiejętności i pewności siebie, co z kolei wskazuje na pewien poziom wykszolenia i motywacji.

– Rozumiem. Dobrze. Tak, obserwowaliśmy doktora Browna. Był w domu, kiedy został... otruty.

– Jest trzecią ofiarą?

– Zgadza się. – Baglin zrobił pauzę. – Czy są jeszcze jakieś pytania?

Nie było żadnych.

Skinął głową.

– W takim razie to tyle. Spotkamy się jutro o dziewiątej rano i oczekuję, że przedstawicie mi nazwiska pierwszych podejrzanych, których waszym zdaniem należałoby przeświecić.

10

Roberta i Veronica Sanson zebrały wszystkie liny z pokładu, zwinęły je i umieściły w odpowiednich miejscach. Założyły, że upłynie trochę czasu, zanim właściciele *Księżniczki* ponownie wejdą na pokład swojej łodzi. Nie wiedziały, jak bardzo są spostrzegawczy, wołały jednak nie zostawiać żadnych śladów, które mogłyby zdradzić, że ktoś ją wypożyczył. I, co ważniejsze, do jakich celów. Działanie pod płaszczem niewidzialności było nawykiem. Po latach żmudnego, intensywnego szkolenia miały to we krwi.

Zrobiwszy porządek na *Księżniczce*, zajęły się *Pegazem*. Pozbierały wszystkie liny, które tylko mogły znaleźć, i rozrzuciły je po całym pokładzie. Potem przywiązały jedną do knagi na rufie i Roberta ustawiła łódź dziobem w kierunku domu Rymera, który był teraz małą kropeczką na odległym brzegu. Ustawiła przepustnicę tak, żeby silnik pracował na jak najniższych obrotach. Zaczekała, aż Veronica wskoczy na pokład *Księżniczki*, i poszła w jej ślady. Przecięła linę i wzięła kurs na przystań, z której rano pożyczyły łódź.

• • •

Tym razem ukradły pick-upa. Forda F150. Tak popularnego, że praktycznie niewidzialnego. Bardzo na to liczyły. Lecz nie chciały ryzykować. Gdyby pojechały na lotnisko Stapleton najprostszą trasą,

musiałyby po raz drugi w ciągu kilku godzin przejechać obok samochodu agentów obserwujących dom Rymera. Dlatego ruszyły na północ, potem odbiły na wschód, w końcu skręciły na południe i wróciły do Denver.

– Zostało dwóch – powiedziała Roberta. Prowadziła jedną ręką. Dłoń prawej boleśnie otarła, pierwszy raz spuszczając Rymera do wody. – Więc istnieje pięćdziesięcioprocentowe prawdopodobieństwo, że następny zna to nazwisko.

– Wolałabym stuprocentowe – odparła Veronica.

– Dobre – rzuciła z uśmiechem jej siostra.

– Kto będzie następnym szczęściarzem?

– Podaj mi dwie marki samochodów. Ale nie forda. Ani chevroleta.

Veronica zmarszczyła czoło.

– Dodge. I honda.

Chwilę później Roberta wyciągnęła rękę.

– Tam. Honda civic. – Honda była drugą wybraną przez Veronicę marką, więc Roberta skojarzyła ją z drugim nazwiskiem na swojej liście. – Charlie Adam. Mieszka w Kalifornii. CA i CA. Uwielbiam symetrię.

• • •

Reacher spędził popołudnie w pokoju na końcu korytarza, który przydzielono mu jako biuro. Pomieszczenie było zupełnie nijakie, tak jak recepcja. Stały tam małe biurko i fotel, w którym ledwo się mieścił. Okno wychodziło na pustą część parkingu i rząd wyblakłych krzaków oddzielających parking od ulicy. Wolałby pracować w ładniejszym otoczeniu, lecz nie zamierzał narzekać. Przez lata wojsko wysyłało go do gorszych miejsc. Dużo gorszych.

Dawał głowę, że Baglin, gość z Departamentu Obrony, nie był z nimi szczery. Nie to, że kłamał, niekoniecznie. Mówił prawdę. Ale nie całą. Aż

do czasu uzyskania całkowitej pewności Reacher zawsze zakładał, że ci z góry przekazują niekompletne informacje. Z podwójną ostrożnością podchodził zwłaszcza do tych, których nie znał. A z poczwórną do polityków. Wiedział jednak, że teraz nie ma to znaczenia. Zamordowano kilku naukowców. Nie miał co do tego wątpliwości. Z tego, co im powiedziano, wynikało, że prawdopodobnie zrobił to jakiś żołnierz. Trzy potencjalne ofiary wciąż żyły. Wolałby, żeby tak pozostało, więc podniósł słuchawkę telefonu. Najpierw zadzwonił do Dowództwa Korpusu Wojsk Chemicznych w Fort McClellan w Alabamie. Potem do Departamentu do spraw Kombatantów w Waszyngtonie, o rzut kamieniem od Białego Domu. Musiał jeszcze zadzwonić do Krajowego Archiwum Akt Osobowych w St Louis w Missouri, ale nie mógł tego zrobić bez listy nazwisk z Fort McClellan.

Popatrzył na faks. Miał nadzieję, że nie musi niczego ustawiać, włączać ani programować. Obejrzał urządzenie ze wszystkich stron i z tyłu zobaczył dwa kable. Grubszy prowadził do gniazdka w ścianie, a cieńszy do gniazdka w telefonie. Uznawszy, że to całkiem sensowne, na chybił trafił wybrał i nacisnął jeden z przycisków. Rozjarzył się mały szary ekran i faks przenikliwie zapiszczał. Znaczyło to chyba, że jest gotowy do pracy.

Ponieważ Reacher nie mógł zrobić nic, żeby informacje, na które czekał, nadeszły szybciej, znów podniósł słuchawkę, zadzwonił do Chicago, do agentki Ottoway, i za pośrednictwem automatycznej sekretarki poprosił ją, żeby dowiedziała się czegoś o Amber Smith. Potem zadzwonił do kumpla z CIA i poprosił go, żeby przeświecił Kenta Neilsena. Następnie przekreślił do brata, Joego, który pracował w Departamencie Skarbu, i zostawił mu wiadomość, że chciałby dowiedzieć się czegoś o Garym Walshu.

Później wziął czystą kartkę papieru i długopis. Napisał trzy nazwiska. Wszystkie należały do żołnierzy dopuszczających się samowolki. Drobnych przestępców, którzy w dającej się przewidzieć przyszłości mieli pozostać na końcu listy kłopotów trapiących jego oddział. Znow podniósł słuchawkę telefonu. Tym razem zadzwonił do kilku kolegów z żandarmerii, którzy kiedyś mu pomogli albo którym wisiał przysługę. Spytał, czy mają kogoś na swoich listach. Jeśli to, że w sprawę zaangażował się osobiście sekretarz obrony, było prawdą, wojsko zrobi wszystko, żeby ją rozwiązać. Tak działa ten świat. Wolnej siły roboczej na pewno im wystarczy. Mieli jej dość, by zgarnąć kilku hultai więcej, poza tym po co marnować pieniądze podatników?

• • •

Telefon zadzwonił trzynaście minut po trzeciej po południu czasu wschodnioamerykańskiego. A więc niezgodnie z grafiką.

Mężczyzna, który go odebrał, wysłuchał rozmówcy, odłożył słuchawkę i wybrał prywatny numer Charlesa Stamorana.

Sekretarz odebrał po pierwszym sygnale.

– Mów.

Mężczyzna wyrecytował z pamięci wiadomość, którą przed chwilą dostał.

– Michael Rymer nie żyje. Utopił się. Ciało wyłowiono o jedenastej trzydzieści osiem z jeziora za jego domem. Obserwujących dom agentów zaniepokoił widok łodzi pływającej w kółko kilkaset metrów od pomostu. Przyjrzeni się jej, zobaczyli, że na pokładzie nikogo nie ma, i wezwali śmigłowiec ratunkowy. Wstępne badania ujawniły, że w płucach Rymera jest woda. Ma siniaka na piersi, co potwierdzałoby, że upadł na okrężnicę, oraz otarcia na kostkach u nóg świadczące o tym, że zaplątał się w liny.

Liny walały się po całym pokładzie, więc jeśli potknął się i wypadł za burtę, był to zwykły wypadek. Albo są to urazy przypadkowe, jeśli przygnębiony próbował popełnić samobójstwo.

Stamoran odsunął słuchawkę od ucha. Michael Rymer należał do najbardziej pedantycznych ludzi, jakich kiedykolwiek poznał. Niemożliwe, by na pokładzie jego łodzi walały się liny. Żeby zaplątał się w nie i wpadł do wody. Po prostu wykluczone. Co znaczyło, że na łodzi był ktoś jeszcze. Ktoś, kto go zamordował. Zupełnie nieoczekiwanie Stamoran doznał chwilowej ulgi. Trwało to tylko kilka sekund, bo zaraz potem naszły go wyrzuty sumienia. W chwili ulgi pomyślał, że jeśli morderca zabił Rymera w Kolorado, to nie mógł jednocześnie tropić Pritcharda i zmusić go do wyjawienia tajemnicy. Przynajmniej na razie.

Przytknął słuchawkę do ucha.

– Kiedy tylko któryś z członków zespołu poda jakieś nazwisko, macie natychmiast je rozpracować. Z życiem. Bez względu na środki. Poruszcie niebo i ziemię.

• • •

Dziesięć po piątej ktoś zapukał do drzwi i zanim Reacher zdążył cokolwiek powiedzieć, do pokoju weszła Amber Smith, ta z FBI.

Zatknęła za ucho kosmyk włosów i oświadczyła:

– Robię sobie fajrant na dzisiaj. Jadę do hotelu. Zobaczę, gdzie nas upchnęli. Podrzucić cię? Chyba nie masz samochodu.

Reacher spojrział na faks. Odkąd dwie godziny temu zadzwonił do Krajowego Archiwum Akt Osobowych, maszyna nic nie wypluła, a bez listy, o którą prosił, nie mógł nic więcej wskórać. Dlatego odparł:

– Jasne. Dziękuję.

• • •

Na parkingu nie było już jednego samochodu. Czarnego chevroleta. Zostały tylko dwa fordy. O jednego z nich opierał się Kent Neilsen, ten z CIA. O niebieskiego. Jego garnitur wyglądał tak, jakby ford go właśnie przejechał.

– Ktoś jest głodny? – odezwał się Neilsen. – Bo ja tak. Znam knajpę niedaleko hotelu. Może wrzucimy rzeczy do pokoi i pójdziemy coś zjeść?

Smith wzruszyła ramionami.

– Nie widzę przeszkód.

Reacher wyznawał zasadę, że trzeba jeść, kiedy tylko można, żeby nie musieć jeść, kiedy zabraknie jedzenia.

– Ja też nie.

Neilsen odepchnął się od bagażnika i podszedł do drzwi.

– To co? O szóstej w holu?

• • •

Do hotelu mieli niecałe dwa kilometry. Reacher nie zliczyłby, ile razy nocował w hotelach. Głównie wtedy, kiedy ścigał uciekinierów, szukał dowodów rzeczowych albo badał jakiś trop. I głównie w takich, które nie przyprawiły o atak serca jego zwierzchników, kiedy przedstawiał im rachunek. Co określało rodzaj hoteli, z jakich wojsko mogło korzystać. Można śmiało powiedzieć, że przywykł do tych najprostszych i najzwyczajniejszych. Ale jeśli chodzi o funkcjonalność, ten, w którym ich zakwaterowano, okazał się najskromniejszym, jaki kiedykolwiek widział. Trzypiętrowy, zbudowany z jasnej cegły, o małych oknach i płaskim dachu, nie miał daszku nad wejściem. Nie miał stanowiska dla parkingowego. Nie miał nawet neonu i jego nazwę wypisano na ścianie farbą odblaskową.

Smith skrzyła na parking, zawróciła i wjechała tyłem na miejsce obok samochodu Neilsena. Po drugiej stronie parkingu Reacher zobaczył rząd miejsc znacznie większych. Dla autokarów turystycznych. Wątpił, żeby nocowały tu kapele rockowe czy drużyny sportowe. Więc może wycieczki szkolne? Słyszał, że dzieciaki z ósmej klasy przyjeżdżają do Waszyngtonu zwiedzać miasto, że to powszechna praktyka. Dobry pomysł. On zwiedzał stolicę, kiedy był młodszy od nich, ale tylko na pozaginanych kartkach książki, w zawilgoconej klasie na drugim końcu świata. Co wystarczyło, żeby poznać fakty. Ale nie wielkość miasta i jego atmosferę.

Formalności w recepcji załatwili bez żadnych przeszkód, więc wziął klucz i zaniósł worek do pokoju na pierwszym piętrze. Wszedł na górę schodami i kiedy wkładał klucz do zamka, z windy wysiadła Smith. Mieszkali przez ścianę.

W pokoju stwierdził, że tu też zachowano minimalistyczne podejście do wystroju i wyposażenia. Zadbano jedynie o najniezbędniejsze rzeczy. Było łóżko. Komoda. Krzesło. Coś w rodzaju klapki na ścianie, której ktoś zdesperowany mógł użyć jako biurka. Szafa z wieszakami przymocowanymi do metalowej szyny, żeby nikt ich nie ukradł. I łazienka z mydłem i szamponem w dozownikach na ścianie. Pewnie taniej było je uzupełniać, niż zaopatrywać każdego gościa w miniaturowe butelki.

• • •

Gdy za minutę szósta zszedł na dół, Neilsen czekał już w holu. Smith przysła dwie minuty później i agent CIA bez słowa ruszył do wyjścia.

– A co z Walshem? – spytał Reacher. – Tym z Departamentu Skarbu.

Neilsen nie zwolnił kroku.

– Nie mam pojęcia. Kiedy wyszliśmy z biura, na parkingu nie było już jego samochodu. Pewnie mieszka gdzie indziej.

• • •

Bar Neilsena mieścił się paręset metrów od hotelu, w kierunku przeciwnym do centrum. Postanowili pójść na piechotę. Wieczór nie należał do najprzyjemniejszych. Powietrze było ciężkie od spalin – w okolicy panował duży ruch – i zaczęło mżyć, ale Reacherowi to nie przeszkadzało. Całe rano spędził w pociągach, samolotach i taksówkach, a popołudnie w sali odpraw i w biurze, cieszył się więc, że może rozprostować nogi.

Budynek, do którego szli, był jednopiętrowy. Piętro dzieliły między siebie salon manicure i perukarnia – które Reachera w ogóle nie interesowały – natomiast cały parter zajmował bar. Sztuczka polegała na tym, że wyglądał tak, jakby wciąż był w budowie. Zamiast drzwi miał grubą plastikową folię zapinaną na zatrzask. A w środku stały rusztowania ze zgrubsza przyciętymi pomostami, na których roilo się od wnek i zakamarków wypełnionych butelkami i kieliszkami. Do kuchni wchodziło się przez wystrzępioną dziurę w ścianie, która miała wyglądać tak, jakby niedawno wybito ją młotem. Zamiast stołów stały tam wielkie szpule na kable, a zamiast krzeseł – drewniane skrzynki.

Smith przystanąła w progu.

– Na pewno chcemy tu wejść?

Neilsen zrobił poważną minę.

– Zaczekaj, aż spróbujesz jedzenia. I whisky.

Usiedli przy stole zaraz przy wejściu i po niecałej minucie podeszła do nich kelnerka. Była w dżinsowym kombinezonie, wielkich niezasnurowanych butach i miała na głowie bandanę w tureckie wzory. Chciała się pewnie upodobnić do Rózi Nitowaczki i Reacher zastanawiał się, czy z własnej woli, czy zażądał tego właściciel baru. Neilsen zamówił kieliszek szampana. Reacher i Smith piwo.

– Oblewasz coś? – spytała agentka, kiedy kelnerka odeszła.

– Chyba tak – odparł Neilsen. – Wciąż mam puls. Wciąż mogę prosto siedzieć. To już coś, nie?

Kelnerka przyniosła drinki i Neilsen upił łyk szampana.

– Więc co o tym wszystkim myślicie? Będziemy ratować kraj przed fanatycznym szantażystą?

Smith wzruszyła ramionami.

– Przynajmniej spróbujemy.

Reacher milczał.

Neilsen odstawił kieliszek. Nagle bardzo spoważniał.

– Posłuchajcie, ja widzę to tak. Musimy sobie zaufać. Trzymać się razem. Jeśli to zrobimy, może uda nam się wyjść z tego cało. Jeśli nie, będzie po nas.

– Jak to? – spytała Smith.

– Wszyscy mamy jakiegoś trupa w szafie, tak? Dlatego tu jesteśmy. Bo dlaczego ktoś, do kogo zadzwonili z Departamentu Obrony, podał akurat nasze nazwiska? Nie wyciągnął ich z kapelusza. Jesteśmy spisani na straty. Cała ta sprawa jest jak pociąg pędzący na złamanie karku po krzywych szynach. Kiedy się wykołei, wolelibyśmy chyba się nie roztrzaskać i nie spalić razem z nim. Więc jak? Zaufamy sobie? Czy nie?

Smith i Reacher milczeli.

– Dobrze wiecie, że mam rację – ciągnął Neilsen. – Powiedźcie, że nie podnieśliście słuchawki i nie wypytaście kumpli o troje pozostałych, że nie była to pierwsza rzecz, jaką zrobiliście po południu w swoich małych klitkach. Że nie chcieliście sprawdzić, czy nie da się wykopać na nich jakichś brudów.

– Pierwsza nie, ale... – zaczęła Smith.

– Ale druga już tak – odparł Reacher.

Ona kiwnęła głową. On zachował kamienną twarz.

– No i dobrze – rzucił z uśmiechem Neilsen. – Może i spóźniliśmy się na happy hour w spelunie dla bandziorów, ale nie jesteśmy przynajmniej idiotami. – Spojrzał na Reachera. – Myślisz, że ten szantażysta to ktoś od was?

– Myślę, że nie ma żadnego szantażysty.

Neilsen kiwnął głową.

– Dlatego spytałeś Baglina, czy ktoś zażądał okupu i próbował namierzyć innych naukowców. Ale jeśli ten ktoś nie szuka materiałów do szantażu, to co robi? Czego chce?

– Zemsty. Te zabójstwa to coś osobistego.

– Moje słowa.

– Jeśli stoi za tym ktoś, kto brał udział w tamtym projekcie, na pewno nie chodzi o szantaż – powiedział Reacher. – Wiedzialby, co się tam stało, bo też tam był. Nie musiałby wyciągać niczego od innych.

Neilsen znów kiwnął głową.

– Właśnie. Poza tym nie uszłoby mu to na sucho. Jeśli ta seria zabójstw się skończy, a przy życiu zostałyby tylko jeden z nich, gość mógłby równie dobrze opublikować w „New York Timesie” swoje przyznanie się do winy.

– Racja – przyznał Reacher. – Dlatego myślę, że to krewny kogoś, kto pracując nad tym projektem, doznał jakiejś krzywdy. Na przykład trwałego uszczerbku na zdrowiu. Albo jest inwalidą.

– I ten ktoś może być żołnierzem?

Reacher powoli wypuścił powietrze.

– Możliwe. Pomyślcie tylko, jak dobrze musi być wyszkolony. Zabić kogoś w szpitalu, tak żeby personel nie zauważył nawet, że tam byłeś?

Wejść i wyjść, a przedtem zabić kogoś w jego własnym domu, pod okiem obserwujących dom profesjonalistów? Nie każdy to potrafi.

– Tak, to może być żołnierz – zgodził się z nim Neilsen. – Ale też ktoś z CIA. Jak go znajdziemy?

– Zaczniemy od naukowców, którzy pracowali w tych zespołach badawczych. Sprawdzimy, kto ma w wojsku syna, wnuka czy siostrzeńca. Ma albo miał. Potem weźmiemy pod lupę tych najstarszych, tych, którzy ostatnio zmarli albo u których zdiagnozowano nieuleczalną chorobę. Każdego, kto miałby powód, żeby pod koniec życia wreszcie wyrównać rachunki.

– Dobra metoda. Nasze archiwa są inaczej zorganizowane, ale robię w zasadzie to samo. Ciekawe, któremu z nas się uda.

– Żadnemu. – Smith przełknęła ostatni łyk piwa i odstawiła butelkę. – Obaj się mylicie. Stoją za tym Sowieci.

– Pudło – powiedział Neilsen. – Sowieców już nie ma. Przegrali.

– Oczywiście, że są – prychnęła Smith. – Tak, Związek Radziecki zwinął interes. Związek Radziecki, ale nie KGB. Nawet jeśli teraz inaczej się nazywa. Zobaczycie. Ich agenci wciąż tu są. To fanatycy. Zagorzali zwolennicy dawnego systemu. Będą walczyć do końca swoich dni, bez względu na to, co dzieje się na świecie.

– Może.

– Na pewno. Spójrz tylko, jak zginęli ci ludzie. Nikt nie może udowodnić, że nie były to wypadki czy samobójstwa, ale bez żartów. Każdy, kto choć trochę myśli, od razu powie, że ich zamordowano. Ta sprawa cuchnie KGB na kilometr. Oni tak robią. Mają nawet na to określenie. „Zabójstwo upozorowane na samobójstwo”. Wysyłają nam wiadomość. Chcą pokazać, że mogą zabić każdego, w dowolnym miejscu i w dowolnym czasie, i nikt ich nie powstrzyma. Jednego po drugim,

wykończą pozostałych naukowców w rzucający się w oczy pokręcony sposób, a potem ujawnią najbrudniejsze szczegóły tamtego projektu. Zrobią to nawet po wielu latach. Kiedy uznają, że najbardziej nam to zaszkodzi. Są cierpliwi. Nie macie pojęcia, jak bardzo.

• • •

Podczas gdy Reacher, Smith i Neilsen rozmawiali, Roberta i Veronica Sanson jechały samochodem, skradzionym jeepem grand cherokee. Były w Kalifornii, na wybrzeżu na południe od Los Angeles, i właśnie musiały zmienić sposób działania, bo przejeżdżając przed domem Charliego Adama, zauważyły dwa samochody parkujące w strategicznych miejscach. Wycofały się więc poza zasięg obserwujących dom agentów i postanowiły poszukać noclegu.

Jechały teraz krętą drogą w przeciwnym kierunku. Roberta zerknęła na siostrę i rzuciła:

- Światło się paliło. To dobrze.
- Ale widziałaś te samochody? – spytała Veronica.

Roberta skinęła głową.

- Był w domu. Jego żona też.
- Pech.
- Co robimy? Czekamy?
- Nie. Czekanie zwiększa ryzyko.
- W takim razie co?
- Tym razem postawimy chyba na morderstwo-samobójstwo.

• • •

Reacher zamówił stek i jeszcze jedno piwo, a potem przeszedł na kawę. Smith zjadła sałatę z łososiem i wypła jeszcze trzy piwa. Neilsen wziął

burrito nafaszerowane wszystkimi możliwymi składnikami, wypił trzy kieliszki szampana, a potem przestawił się na whisky. Bardzo dużo whisky. Kiedy jedli albo czekali, aż kelnerka przyniesie drinki, rozmowa to się zaczynała, to urywała. Rozmawiali ogólnikowo, głównie o miejscach, do których ich wysyłano, i – jeszcze bardziej ogólnikowo – o swoich życiowych wzlotach i upadkach. Smith i Neilsen ujawnili więcej niż Reacher. I mieli chyba więcej upadków niż wzlotów. Zaczynał dochodzić do przekonania, że Neilsen miał rację co do powodu, dla którego ich wybrano. Gdyby coś poszło nie tak i Pentagon musiałby znaleźć kozła ofiarnego, wymalowano by im na plecach wielkie tarcze. Świecącą farbą.

• • •

Susan Kasluga stała w garderobie. Z kostiumami w obu rękach. Jeden był granatowy. Drugi czarny. Próbowwała któryś wybrać. Zawsze wybierała wieczorem strój na następny dzień. Uważała, że pomaga to zwalczyć zmęczenie decyzyjne. Wiedziała, że większość ludzi się z tego naśmiewa, ale miała to gdzieś. Zrobiłaby wszystko, żeby być górą.

Zanim zdążyła wybrać, w drzwiach stanął jej mąż.

– Co robisz? – spytał.

– A jak myślisz? Przecież nie pójdę do pracy w pizamie.

– W ogóle nie powinnaś wychodzić. Jeszcze przez parę dni.

– Miałam zostać w domu dwa, tak uzgodniliśmy. I zostałam. Mam dość.

– Susie, to niebezpieczne.

– Jeszcze go nie złapaliście?

– Nie, jeszcze nie.

– To twój problem. Nie mój.

– Jeśli ten szaleniec cię dopadnie, oboje będziemy mieli problem.

– Zabił któregoś jeszcze?

Stamoran kiwnął głową.

– Geoffreya Browna. I Michaela Rymera.

– Przykro mi... chyba. Nie znałam ich zbyt dobrze. Ale nie zabił Neville'a Pritcharda, więc nic ci nie grozi. Ani tobie, ani mnie. Koniec dyskusji.

– Może go zabić jutro. Albo jeszcze dzisiaj.

– Nie zabije.

– Skąd wiesz?

– Powiedzmy, że mam intuicję. Nazwij to, jak chcesz, ale wracam do pracy.

Stamoran usłyszał żelazną nutę w jej głosie. Znał ją na tyle długo, by wiedzieć, że nic nie wskóra.

– Dobrze – rzucił. – Wracaj do firmy. Ale weź ochroniarza.

Kasluga odwiesiła do szafy czarny kostium.

– Już się o to zatroszczyłam.

• • •

Zanim wyszli z baru, niebo się przejaśniło. Neilsen szedł przodem, lekko się zataczając, i parę razy omal nie potknął się na dziurawym chodniku. Smith trzymała się z tyłu. Obok Reachera. Trochę bliżej niż przedtem. Reacher przypisał to nadmiarowi piwa. Na parkingu hotelowym zobaczyli samochód Walsh. Stał dwa miejsca za jej wozem.

Neilsen mieszkał w pokoju na piętrze, po drugiej stronie jej pokoju. Wymamrotał pod nosem coś, co zabrzmiało jak „Dobranoc”, wyjął klucz i upuścił go na podłogę. Reacher go podniósł. Otworzył drzwi, wepchnął Neilsena do środka i wrzucił tam klucz. Potem odwrócił się i zobaczył Smith. Stała w otwartych drzwiach do swojego pokoju. Uśmiechnęła się i powiedziała:

– Śpij dobrze.

11

Obudził się o szóstej rano. Dwie minuty później usłyszał kroki na korytarzu. Ktoś szedł powoli i ostrożnie, starając się nie robić hałasu. I po chwili wsunął karteczkę w szparę między drzwiami i wykładziną. Potem kroki się oddaliły, szybciej, niż kiedy się zbliżały. Reacher wstał z łóżka i wyjrzał przez judasza. Zobaczył plecy kobiety zniekształcone przez soczewkę. Ale zniekształcone nie na tyle, by jej nie rozpoznał. To była Amber Smith, z butami w ręce.

Podniósł karteczkę i rozłożył ją. Smith miała energiczne, zamaszyste pismo. Napisała, że nie może podrzucić go do biura, bo musi wcześniej wyjść. Poprzedniego dnia rozpuściła wici i czekała na odpowiedź. Spodziewała się czegoś ważnego. Dlatego zasugerowała, żeby zabrał się z Neilsenem, i podpisała się inicjałami.

Wrzucił karteczkę do kosza, wziął prysznic, ubrał się i zszedł na dół, by poszukać czegoś na śniadanie. Zjadł dwa bajgle z serkiem śmietankowym, wypił dwa kubki kawy i wyszedł z hotelu, nie oglądając się na Neilsena. Czternaście minut później był już na miejscu i zobaczył coś nowego: przed budynkiem stał ochroniarz. Reacher okazał dokumenty, wszedł do środka i otworzył drzwi pokoju, który mu przydzielono.

W środku natychmiast stwierdził, że w nocy zmieniły się dwie rzeczy. Faks wypluł kartkę papieru, a światelko na automatycznej sekretarce nie

świeciło już jednostajnie na czerwono, tylko mrugało. Trzy mrugnięcia, przerwa, trzy mrugnięcia i znów przerwa, jakby nadawało morse' em literę S. Wbił się w fotel i nacisnął guzik PLAY.

Pierwszy głos należał do agentki Ottoway. Znalazła kogoś, kto parę lat temu pracował z Amber Smith. Smith była dobrą agentką, lecz po jakiejś rodzinnej tragedii zaczęła zachowywać się nieprzewidywalnie.

Następną wiadomość nagrał znajomy z CIA. Dowiedział się, że Kent Neilsen był kiedyś wschodzącą gwiazdą. Pracował tak skutecznie i wydajnie, że szefostwo dawało mu dużo luzu, ale gwałtownie się to skończyło. Koledzy bardzo mu kibicują, lecz niewielu wierzy, że Neilsen wróci do łask.

Jako ostatni zadzwonił Joe, brat. Zostawił najkrótszą wiadomość, co wcale Reachera nie zdziwiło. Powiedział tylko, że nie znalazł ani śladu Gary'ego Walsh w Departamencie Skarbu, radził zachować ostrożność i odłożył słuchawkę.

Dwie pierwsze wiadomości Reachera nie zaskoczyły. Nie po tym, co widział i słyszał w barze. Zaniepokoiła go natomiast wiadomość od brata. Joe zawsze był bardzo dokładny. Gdyby akta Walsh w ogóle istniały, na pewno by ich nie przeoczył. Reacher musiał pokopać głębiej. Ale nie teraz. Miał coś do zrobienia przed poranną odprawą. Wyjął kartkę z faksu, listę z Krajowego Archiwum Akt Osobowych. Położył ją na biurku obok dwóch raportów z poprzedniego dnia i zaczął przeglądać nazwiska. Szukał czegoś, co mogłoby zdemaskować zabójcę.

• • •

Życie Lucy Adam uratował pies. Suczka Sophie. Golden retrieverka.

Lucy jadła z Charliem śniadanie na patio mieszczącym się między szklanym ogrodzeniem na szczycie urwiska a tyłem domu. Jogurt, owoce,

kawa i sok pomarańczowy. Charlie wolałby omlet albo coś z bekonem i kielbaskami, ale ponieważ miał ostatnio kłopoty z zapięciem spodni, postanowił wprowadzić kilka zmian w diecie. Co wcale go nie cieszyło. Rano nigdy nie był w dobrym humorze, a nowa dieta jeszcze bardziej podcinała mu skrzydła. Gderliwy, naburmuszony i przygarbiony, wytrwał jakoś do końca posiłku, a kiedy Sophie rzuciła mu pod stopy piłeczkę, odtrącił ją kopniakiem.

– Chodź, dziewczynko. – Lucy wstała i spiorunowała męża wzrokiem. – Pójdziemy na spacer.

Charlie zaczekał, aż żona znajdzie buty, weźmie smycz i zniknie na biegnącej wzdłuż urwiska ścieżce. Wtedy odepchnął miseczkę, z trudem wstał i poszedł do kuchni. Po chwili wrócił z torebką croissantów w ręce, ale nie usiadł. Przystanął obok stołu i wyteżył słuch. Wydawało mu się, że słyszał jakiś głos. Głos rozległ się ponownie. Ktoś wołał. Teraz trochę głośniej. Z głębi urwiska. Jakaś kobieta. „Pomocy!” Tak krzyczała, tylko to jedno słowo.

Rzucił croissanty na stół i podbiegł do ogrodzenia. Wychylił się, spojrział w dół i kogoś zobaczył. Metr, półtora metra niżej. Kobietę. Dwadzieścia pięć, dwadzieścia osiem lat. Szczupłą i wysportowaną, o ciemnych włosach. Leżała na jednej z wąskich półek, które wiatr i woda wyźłobiły w skale w ciągu milionów lat. Pewnie wspinała się z plaży. Nie było to łatwe, ale możliwe. Przed laty, gdy kupili ten dom, wytoczył na ścianie kilka tras. Miał wtedy dużo mniej lat. I dużo mniej ważył. Tak, znalazłoby się tam kilka niebezpiecznych miejsc, ale wszystkie były położone dużo niżej. Kobiecie nic nie groziło. Nie mogła spaść. Chyba że celowo by się stoczyła. Przyjrzał się jej, wypatrując urazów. Ale żadnych nie zauważył. Nie miała zakrwawionej głowy ani przesiąkniętego krwią ubrania. Ręce i nogi nie były nienaturalnie wygięte.

– Potrzebuje pani pomocy?! – zawołał.

– Ja nie – odparła. – Ale pan tak.

Coś uderzyło go w plecy i upadł na ogrodzenie. Grzotnął w nie biodrami, złożył się wpół na barierce i zamachał rękami, szukając oparcia. Chciał się wyprostować, lecz nie mógł. Spychał go w dół ciężar ciała. Właściwie to dwa ciężary, bo pchała go również czyjaś ręka, której dotyk czuł dokładnie między łopatkami.

Roberta Sanson usiadła.

– Może panu pomóc tylko jedna osoba, Charlie, pan sam. – Wyjęła z kieszeni kartkę i podsunęła mu ją przed nos. – Niech pan przeczyta te nazwiska i powie, czyjego brakuje.

– Nie mogę – odparł. – Nie mam okularów.

Roberta pokręciła głową i opuściła rękę.

– Dobrze. Niech pan je wymieni. Nazwiska wszystkich członków waszego zespołu. Indie, tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty dziewięć.

Charlie milczał.

Roberta chwyciła go za nadgarstki. Veronica zabrała rękę z jego pleców, chwyciła go za kostki i zaczęła podnosić mu nogi.

– Nie! – Szarpnął się i wierzgnął. Próbował się oswobodzić i omal nie zmiądzzył sobie miednicy na wąskiej szklanej barierce. – Puśćcie mnie!

– Puścimy – powiedziała Roberta. – Kiedy tylko wymieni pan brakujące nazwisko. Puścimy i już nigdy pan nas nie zobaczy. Obiecuję.

Charlie wciąż milczał. Ból kości stawał się nie do zniesienia. Charlie cicho jęknął i wymienił sześć nazwisk.

– I?

– I co? To już wszystkie.

– Nie. Jedno pan pominął.

- Nieprawda.
- Prawda. No? Dalej. Niech pan uzupełni listę.
- Nikogo więcej tam nie było. Wiedziałbym. Byłem tam od samego początku.
- Owen Buck mówił co innego.
- Buck był szalony. Miał paranoję. Ciągłe gadał o jakichś tajemnicach, że pójdzie z tym do władz. Ale nigdy tego nie zrobił. Wiecie dlaczego? Bo nie miał nic do powiedzenia.
- Miał, i to dużo. Nam powiedział. Uwierzyliśmy mu. Dlatego chcemy poznać to nazwisko.
- Nie znam innych nazwisk.
- Ostatnia szansa.
- Nie znam!
- Dobrze, skoro tak chce pan to rozegrać...

Veronica podniosła mu nogi tak wysoko, że zsunął się niżej i dotknął rękami półki. Roberta wstała i objęła go rękami w kolanach. Veronica przeskoczyła przez barierkę i chwyciła go za prawą nogę. Roberta przytrzymała lewą. Spojrzała na siostrę, bezgłośnie policzyła do trzech i pociągnęły go za nogi w stronę oceanu. Siła rozpędu zepchnęła go z półki, na której leżała Roberta, i poniosła w bok. Runął w dół. Koziółkując i odbijając się od skalnej ściany, nabierał prędkości. Spadł na głowę, wbijając się na kilka centymetrów w piasek na plaży i łamiąc sobie kark.

• • •

Christopher Baglin otworzył spotkanie wiadomością o śmierci Michaela Rymera.

Kiedy skończył mówić, nikt się nie odezwał. Powietrze w pokoju zgęstniało. Gary Walsh gapił się w okno. Amber Smith miała gniewną

minę. Kent Neilsen wyglądał tak, jakby spał w żywopłocie i nie wiedział, jakim cudem znalazł się w sali odpraw.

– To, że kolejna ofiara zginęła tuż pod nosem naszych ludzi, pokazuje, z jakim zagrożeniem mamy do czynienia – dodał Baglin – Dlatego potrzebne mi są nazwiska. Reacher, pan pierwszy. Co pan ma?

Reacher podsunął mu kartkę. Z pięcioma nazwiskami. Cztery z list, które sporządził w biurze na końcu korytarza. Myślał, że będzie ich więcej, ale okazało się, że nie. W 1969 roku w Korpusie Wojsk Chemicznych służyło 3798 oficerów i żołnierzy; 157 miało dzieci, które poszły w ich ślady i wstąpiły do wojska. Kiedy popełniono zabójstwa na ich ojcach, tylko jedno z nich dopuściło się samowolki, a troje zrezygnowało ze służby.

– Prawdopodobieństwo, że to któreś z tej piątki? – spytał Baglin.

– Od niskiego do bardzo niskiego.

Baglin skinął głową.

– Smith?

Agentka FBI podała mu złożoną kartkę. Gdy ją rozłożył, Reacher zobaczył sześć nazwisk w równiutkiej kolumnie. Były napisane tym samym energicznym, zamaszystym pismem, które widział na wiadomości w hotelu.

– Z całym szacunkiem dla wszystkich tu obecnych, ale uważam, że podchodzicie do tego ze złej strony – powiedziała. – Z moich poszukiwań wynika, że tych morderstw nie popełnił jeden człowiek. Mamy do czynienia z kilkoma zabójcami pracującymi dla tej samej organizacji. Ta sama głowa, inne ręce. Tłumaczyłoby to, dlaczego każdego z naukowców zamordowano inaczej.

Baglin lekko się wyprostował.

– Ciekawa teoria. A ta organizacja?

– KGB. Byli agenci. Ta sama gra, inna nazwa.

– Stopień prawdopodobieństwa?

– Od wysokiego do bardzo wysokiego.

– Dobrze. Zaczniemy od nich. Walsh?

Człowiek z Departamentu Skarbu niechętnie oderwał wzrok od okna.

– Ja nic nie mam.

– Nic? Ani jednego nazwiska?

– Praca, jaką ci ludzie wykonywali, to, co robili, nie ma zastosowania cywilnego. Mój departament nic na nich nie ma.

Baglin posłał mu gniewne spojrzenie.

– Neilsen? – rzucił.

Agent CIA wyjął z kieszeni kartkę. Była zaskakująco gładka i czysta i widniały na niej cztery nazwiska, schludnie napisane niebieskim atramentem.

– Stopień prawdopodobieństwa? – uprzedził pytanie. – Też niski do bardzo niskiego. Chciałbym powiedzieć coś innego, ale nie zmienię faktów.

Baglin zebrał kartki, wyrównał je i wstał.

– Pracujcie dalej. Głównujcie. Myślcie niestandardowo. Wróćcie z fusów albo rzucajcie kośćmi kurczaka, jeśli musicie, ale chcę mieć więcej nazwisk, na wypadek gdyby te się nie potwierdziły. Po południu dostaniecie pagery. Noście je cały czas. Jeśli wydarzy się coś nagłego, macie tu być w ciągu kwadransa. Pytania?

– Sprawdził pan, czy ktoś próbował zaatakować naukowców pracujących przy innych projektach? – zapytał Reacher.

Baglin kiwnął głową.

– Sprawdziłem. Nie. To dotyczy tylko tych z Projektu Sto Dziewięćdziesiąt Dwa.

• • •

Telefon zadzwonił dwadzieścia jeden minut po jedenastej czasu wschodnioamerykańskiego. Znów niezgodnie z grafikiem.

Mężczyzna, który go odebrał, wysłuchał rozmówcy, przeszedł do sekretariatu i wybrał numer telefonu samochodowego Charlesa Stamorana. Sekretarz obrony usadowił się właśnie na tylnym siedzeniu limuzyny, po spotkaniu w Białym Domu, które nie poszło po jego myśli. Podniósł słuchawkę.

– Obyś miał dobre wiadomości.

Dzwoniący wziął głęboki oddech.

– Charlie Adam nie żyje. Spadł ze szczytu urwiska za przydomowym patio. Jego żona wróciła ze spaceru z psem i zobaczyła, że go nie ma. Myślała, że pojechał do sklepu, ale samochód stał w garażu. Wtedy zauważyła, że nad plażą krąży więcej mew niż zwykle. Spojrzała w dół i zobaczyła jego ciało. Było w bardzo złym stanie. Lekarz sądowy stwierdził, że Adam zmarł na skutek licznych obrażeń, których doznał podczas upadku. Ogrodzenie na patio spełnia lokalne normy bezpieczeństwa, więc nie mógł to być wypadek. Chyba że Adam przeszedł przez nie dobrowolnie i poślizgnął się albo stracił równowagę. Obserwujący dom agenci zeznali, że nikt nie wchodził na teren posesji ani stamtąd nie wychodził, więc jest mało prawdopodobne, że doszło do przestępstwa. Pani Adam zeznała, że mąż miał ostatnio objawy depresji, ale stanowczo odrzuca myśl, że mógłby popełnić samobójstwo.

Stamoran oparł głowę o miękki skórzany zagłówek. Charliego Adama znał najmniej. Zawsze uważał, że jest drażliwy i trochę próżny. Nie miał pojęcia, co ten człowiek mógłby zrobić, a czego na pewno by nie zrobił w jakiejś konkretnej sytuacji. Z wyjątkiem tej. Był pewien, że Adam nie skoczył. Ani przypadkiem nie spadł. Wiedział, że – choć to nieprawdopodobne – ktoś go zabił. Nie miał co do tego najmniejszych

wątpliwości. Bo nie chodziło o Adama. Chodziło o to, że ktoś morduje po kolei tych naukowców. Został tylko jeden. Pritchard. Tylko że Pritchard przepadł jak kamień w wodę. Co w tych okolicznościach mogło być im na rękę. Albo i nie. Statoran wolałby nie przyznawać się do tego nawet przed samym sobą, ale może nadeszła pora na inne ewentualności.

Usiadł prosto.

– To ma swoje plusy. Wiemy, gdzie teraz uderzy. I wiemy, że Pritcharda tam nie będzie. Możemy przygotować niespodziankę. Ale na wszelki wypadek chcę się zabezpieczyć. Baglin pracuje?

– Tak, panie sekretarzu.

– Powiedźcie mu, żeby kopał dalej. Jeśli uda nam się zidentyfikować tego sukinsyna, zanim znajdzie dom Pritcharda, tym lepiej. Ale powiedz Baglinowi, żeby skupił się na czymś jeszcze. Musi się czegoś dowiedzieć.

• • •

O pierwszej Reacherowi przyniesiono pager. Widział lekarzy i biznesmenów, którzy nosili je zatknięte za pasek spodni, ale nie chciał tego robić. Uznał, że będzie to wyglądało pretensjonalnie, więc schował go do kieszeni. Pięć po pierwszej pager zaczął piszczeć. Początkowo cicho, ale zanim Reacher wyjął go z kieszeni, zanim znalazł i nacisnął guzik, pisk stał się głośny i gniewny. Reacher ponownie schował pager do kieszeni. Pomyślał, że to tylko próba, test urządzenia. Ale kiedy usłyszał trzask drzwi i szybkie kroki na korytarzu, zdał sobie sprawę, że naprawdę ich wzywają.

• • •

Kiedy wszedł do sali, Baglin siedział już u szczytu stołu. Pozostali właśnie się sadowili. Usiadł na swoim miejscu i skrzyżował ręce na piersi.

Po minie i pochylonych ramionach człowieka z Departamentu Obrony poznał, że ten zaraz przekaże im kolejną złą wiadomość.

– Straciliśmy następnego. – Baglin powiódł wzrokiem po ich twarzach.
– Następnego naukowca z Projektu Sto Dziewięćdziesiąt Dwa. Charliego Adama. Oficjalnie spadł ze szczytu urwiska za swoim domem w Kalifornii. Ale bądźmy realistami. Nikt tego nie kupi, to za duży zbieg okoliczności. Zamordował go ten sam typ, który zabił jego kolegów.

– Albo ktoś z tej samej organizacji – wtrąciła Smith.

Baglin posłał jej gniewne spojrzenie.

– Na tym etapie nie można chyba wykluczyć, że działa tu jakaś grupa – przyznał. – Ale zauważcie jedną rzecz. Przy życiu został tylko jeden naukowiec. Oczywiście robimy wszystko, żeby go chronić. Ale wiemy już, że zabójca potrafi obejść każde zabezpieczenie. Jest jak duch. Dlatego lepiej by było przechwycić go, zanim podejdzie bliżej. Żeby to zrobić, trzeba go zidentyfikować. Dlatego musicie zarzucić sieć szerzej. Myśleć bardziej kreatywnie. Krótko mówiąc, chcę mieć więcej nazwisk. Na wczoraj. Zrozumiano?

Odpowiedziały mu cztery skinienia głowami.

– Dobrze. Jeśli wpadniecie na coś ważnego, wezwijcie mnie pagerem. Jeśli nie, spotkamy się jutro o dziewiątej. Jeszcze jedno. Reacher i Neilsen. Szukaliście u siebie krewnych naukowców z lat sześćdziesiątych. Takich, którzy ostatnio zmarli albo są ciężko chorzy. Podoba mi się to. Zdrowa logika. Ale chcę, żebyście poszerzyli zakres poszukiwań. Ci naukowcy i zabójca nie muszą być spokrewnieni. Niekoniecznie. Mogą być znajomymi. Członkami jakiegoś ruchu kontrkulturowego. Mało tego, któryś z nich mógł wynajść sprawcę. Dlatego przestańcie chwilowo szukać ścisłego związku. Dopasujemy ich potem. Szukajcie kogokolwiek nawet

najluźniej powiązanego z Projektem Sto Dziewięćdziesiąt Dwa. Zrozumiano?

• • •

Roberta i Veronica Sanson zrobiły, co się dało, żeby skradziony jeep zniknął. Zaparkowały na długoterminowym parkingu na międzynarodowym lotnisku w Los Angeles, na wszelki wypadek wytarły odciski palców i odeszły.

Nie musiały uzgadniać, dokąd mają teraz lecieć. Ani wybierać na chybił trafił z listy celów. Dokładnie wiedziały, gdzie jest następny – ostatni. Zamierzały dostać się tam bez zwracania na siebie uwagi. Roberta poleciała Deltą i wylądowała na krajowym lotnisku w Waszyngtonie. Veronica zdecydowała się na United Airlines i wylądowała na międzynarodowym lotnisku Dullesa. Obie płaciły gotówką, obie używały fałszywych dokumentów. A potem, żeby jeszcze bardziej odstąpić od rutyny, postanowiły spędzić noc w lotniskowym hotelu, ukraść rano dwa samochody i pojechać dalej, na wybrzeże.

• • •

Po odprawie dzień potoczył się niemal tak samo jak poprzedni. Telefony, faksy i listy nazwisk. Nic, co przyprawiłoby Reachera o bicie serca, ale też nic, na co mógłby narzekać.

Dziesięć po piątej do drzwi zapukała Smith. zaproponowała, że podrzuci go do hotelu, a on chętnie na to przystał. Na parkingu czekał Neilsen. Gdy zaproponował kolację w tym samym barze co poprzednio, nie zaprotestowali. O szóstej spotkali się w holu i znów poszli piechotą. I znów zaczęło mżyć. W barze nie było tłoku, więc usiedli przy tym samym stole. Zamówienie przyjęła od nich ta sama kelnerka.

Neilsen darował sobie szampana i od razu poprosił o whisky. Reacher i Smith zostali przy piwie.

Reacher zaczekał, aż podadzą jedzenie i jego towarzysze zaczną drugiego drinka. Wtedy powiedział:

– Jedno z nazwisk, które podałem Baglinowi, to nazwisko żołnierza, który oddalił się bez pozwolenia z jednostki. Nie ma z tą sprawą nic wspólnego. Podałem je, żeby zaoszczędzić sobie kłopotu i go potem nie ścigać.

Neilsen dopił whisky i odstawił szklanę.

– Dlaczego to mówisz? Wczoraj bardzo się czałeś.

– Przemyślałem to, co powiedziałaś. Że musimy sobie zaufać. Że to ważne. Zwłaszcza teraz.

– Bo?

– Wiele lat temu poznałem pewnego marynarza. Miał takie powiedzonko: Jeśli nie wiesz, do jakiego portu płyniesz, nie sprzyja ci żaden wiatr.

Smith spojrzała na Neilsena.

– Rozumiesz? Bo ja nie.

– Jeśli nie wiesz, czego szukasz, nigdy tego nie znajdziesz – wyjaśnił Reacher. – To tak jak z zadaniem, które nam przydzielono. Jak mamy wyciągać konstruktywne wnioski, skoro nie wiemy, co się dzieje?

– Nie słuchałeś? – rzuciła. – Badania nad bronią biologiczną, zabójstwa naukowców, sensacyjne informacje, które mogą skompromitować nasz kraj. To chyba wystarczy, nie?

– Nie. Kropeczki nie łączą się ze sobą tak, jak łączy je Baglin. Pomyślcie. Ktoś twierdzi, że Stany Zjednoczone prowadziły tajne projekty badawcze, których celem było znalezienie antidotum na broń biologiczną. I co z tego? Po co temu zaprzeczać? Oczywiście, że to robiliśmy.

Musieliśmy. Skompromitowalibyśmy się, gdybyśmy tego nie robili. Bezczytność byłaby dużo gorsza. Byłaby karygodna.

– Jesteś za bardzo logiczny. Mówimy o opinii publicznej. O cywilach. Na myśl o broni biologicznej umierają ze strachu. Od razu widzą ludzi krwawiących z oczu i dzieci z dwiema głowami.

– Dlatego potrzebne było antidotum.

– Zapomnij o logice. Tu chodzi o emocje.

– Nie, chodzi o coś, czego na razie nie widzimy. Przypomnijcie sobie ostatnią rzecz, którą powiedział dzisiaj Baglin. Chce nazwisk naukowców z lat sześćdziesiątych. Po co? Przecież oni nie muszą się dowiadywać, co wtedy robiono. Oni wiedzą, bo sami to robili.

– Chyba tak.

– Poza tym projektów zajmujących się wytwarzaniem antidotum na broń biologiczną było kilka. Pozostałymi nikt się nie interesuje. Więc dlaczego ktoś wziął na muszkę akurat ten? Co było w nim specjalnego?

– Nie wiem. A to ważne?

– Karta wkrótce się odwróci. Czuję to. Jeśli ostatni naukowiec kopnie w kalendarz albo wyjdzie na jaw jakaś tajemnica, zmieni się optyka i zacznie się szukanie winnych. Naukowcy przestaną być problemem. Tak jak zauważył Neilsen, wszyscy mamy jakąś krechę w aktach. Wasi znajomi staną w kolejce, żeby się za wami wstawić? Bo moi nie.

– Więc co robimy?

– Dowiemy się prawdy o Projekcie Sto Dziewięćdziesiąt Dwa.

– Ale jak? Pójdziemy pod prąd? Zaczniemy kopać? Kogoś przyciśniemy?

– Nie. W ten sposób nic nie zdziałamy. Jeśli mamy uratować tego ostatniego naukowca i własny tyłek, musimy zejść trochę z bazy. Razem. Stąd konieczność wzajemnego zaufania.

Przez chwilę panowało milczenie, a potem Neilsen powiedział:

– Dwa nazwiska podałem Baglinowi dla własnych celów. Ale to naprawdę paskudne typy. Świat będzie lepszy, kiedy pójdą siedzieć. Albo wylądują w nieoznaczonym grobie. I nie mają z tą sprawą nic wspólnego.

– Sześciu moich też – przyznała się Smith. – Sześciu zabójców i ostatnich sukinsynów, ale bez związku z tymi naukowcami. – Zrobiła pauzę. – Dobra. Projekt Sto Dziewięćdziesiąt Dwa był wspólnym przedsięwzięciem wojska i CIA. – Spojrzała na Reachera. – Chcesz z Neilsenem kogoś przycisnąć? Pójść na skróty? Złamać przepisy? O to ci chodzi?

– Nie. To nie ma sensu. Natrafilibyśmy na dwa rodzaje ludzi. Tych, którzy nic nie wiedzą. I tych, którzy wiedzą, ale nic nie powiedzą. Jeśli chcemy zdobyć wiarygodne informacje o tym, co nasi robili w latach sześćdziesiątych, możemy pójść tylko w jedno miejsce. I tu do akcji wkraczasz ty.

– FBI?

– Nie. KGB.

12

Było bardzo prawdopodobne, że rano wpadną w zasadzkę, dobrze o tym wiedziały. Na liście zostało tylko jedno nazwisko. Neville Pritchard. Ostatni z naukowców, którzy w 1969 roku pracowali w laboratorium w Indiach. Ci, co odpowiadali za jego ochronę, musieli wiedzieć, że nadchodzą. I na pewno zebrali wszystkie siły. Szaleństwem byłoby oczekiwać czegoś innego. Najmądrzej by było po prostu zrezygnować. Zadowolili się tym, co już osiągnęły. Ale miały pewien problem. Bo tylko Pritchard znał tożsamość człowieka, którego szukały. Tylko on posiadał klucz do sekretu, który chciały rozwikłać. Dlatego czy było to głupie posunięcie, czy nie, postanowiły do niego pojechać. Nie ulegało wątpliwości, że się do niego wybiorą. Co jednak nie znaczyło, że muszą to robić z zamkniętymi oczami.

Spotkały się zgodnie z planem o brzasku na opuszczonej stacji benzynowej osiem kilometrów za Annapolis. Roberta jechała białą toyotą corollą, którą ukradła na krajowym lotnisku w Waszyngtonie. Veronica dodge'em caravanem, którego wypatrzyła w hotelu niedaleko lotniska Dullesa. Poprzednio przejeżdżały przed domem celu we dwie, jednym samochodem, ale ze względu na wysokie prawdopodobieństwo wzmocnionej ochrony postanowiły się rozdzielić. Przejechać dwa razy, z jednej strony i z drugiej, a potem porównać spostrzeżenia.

Roberta ruszyła pierwsza, na południe, w kierunku Back Creek; nie przekraczała dozwolonej prędkości i zatrzymywała się przed każdym znakiem STOP i każdym czerwonym światłem. Potem wyruszyła Veronica. Jechała pięć, czasem sześć samochodów za nią, a dwie ulice przed domem Pritcharda skręciła na pobocze i zatrzymała się obok wysokiego starego żywopłotu. Trzy minuty później zobaczyła nadjeżdżającą toyotę siostry. Nie dała po sobie poznać, że ją rozpoznała. Zaczekała jeszcze minutę, włączyła się do ruchu i pojechała do domu Pritcharda. Mijała go na tyle powoli, żeby dobrze się przyjrzeć, i na tyle szybko, żeby nie zwracać na siebie uwagi, potem skręciła w stronę ciągnącego się nad oceanem pasa porośniętej krzakami trawy i zaparkowała obok siostry. Przetarła wnętrze vana, żeby usunąć odciski palców, i wsiadła do toyoty.

– Widziałam cztery – powiedziała Roberta.

– Ja też. Cztery samochody, ale tylko jeden wjazd. Będzie nam potrzebne przebranie. Rekwizyty. I inny wóz.

• • •

Kiedy Amber Smith zapukała do drzwi, Reacher już nie spał i ubrany siedział na łóżku. Była ósma rano. W samą porę.

Wpuścił ją do pokoju. Miała szeroko otwarte oczy i nerwowo podrygiwała.

– Chyba coś mamy – rzuciła. – Moi siedzieli nad tym całą noc. Znaleźli trzech. Trzech dezertków z KGB. Czekam na szczegóły.

Zjechali windą na dół. Wpadli do jadalni po bajgle i kawę i pojechali do biura. Pozostałe do dziewiątej trzy kwadransy Smith spędziła w swoim pokoju, gapiąc się na telefon, zaklinając go, żeby zadzwonił. Natomiast Reacher cieszył się, że jego telefon nie dzwoni. Wyjął z faksu dwie kartki, przejrzał widniejące na nich nazwiska, żeby mieć trochę amunicji na

poranną odprawę, usiadł w fotelu, zamknął oczy i puścił sobie w głowie Magic Slima.

• • •

Baglin się spóźnił. Może nie tragicznie, ale kiedy w końcu wpadł do sali, miał zaczerwienioną twarz i brakowało mu tchu. Czworo śledczych czekało w milczeniu na swoich miejscach. Podali mu kolejne nazwiska, wszyscy oprócz Walsh, który znowu nic nie miał. Reacher zaczynał się zastanawiać, czy facet nie próbuje zrejterować i wrócić do Departamentu Skarbu. Jeśli w ogóle tam pracował. Postanowił jeszcze raz poprosić brata o pomoc w tej sprawie.

Nie przekazano im żadnych nowych informacji ani rozkazów, więc już po dziesięciu minutach wrócili do swoich pokoi. Pięć minut później do drzwi Reachera zapukała Smith. Wpadła do środka, nie czekając na zaproszenie.

– Moi się odezwali. Jeden to martwy trop. Dosłownie. Zabił się, trenując do wyścigów konnych na Alasce. W tym wieku powinien być mądrzejszy. Ale dwaj pozostali wyglądają obiecująco. Jeden mieszka w Oregonie. Drugi tutaj, w Waszyngtonie.

– Co o nim wiadomo? – spytał

– Prowadzi rosyjską kawiarnię. Kompletny świr. Był pułkownikiem KGB. W siedemdziesiątym czwartym dał nogę. Zamiast nowego nazwiska i pakietu relokacyjnego zażądał pieniędzy. Chciał u nas zostać i samemu stworzyć sobie nową tożsamość. I zarobić fortunę, karmiąc polityków czymś, czego nigdy nie jedzą w domu. Każe się tytułować... sprawdziłam to dla pewności... Jego Wysokością Księciem Sarbem z Windsoru.

– Z Windsoru? Tego w Anglii?

– To ukłon w stronę legendy, którą wymyślił, zanim uciekł na Zachód. Twierdzi, że w latach pięćdziesiątych stacjonował w Londynie i MI5 wpadło na jego trop. Pętla szybko się zaciskała, odcięto mu drogę ucieczki, więc poszedł do Brytyjczyków i podał się za nieślubnego syna jakiegoś arystokraty z Węgier. Powiedział, że obracał się wśród tamtejszych agentów wywiadu i ma zamiary na rosyjskiego szpiega, którego ścigali Anglicy. Brytyjczycy wzięli to podobno za znak, że jest wiarygodny, i kupili jego bajeczkę. W końcu namówił ich, żeby wynajęli go do tego, by złapał sam siebie. Czego oczywiście nie zrobił. Jeśli to wszystko prawda. W co wątpię.

– W czym się specjalizował?

– Ostatnie dwie placówki zaliczył w Azji Południowo-Wschodniej. Kiedy przesłuchiowano go po ucieczce, wiedział sporo o broni chemicznej i biologicznej.

– Chyba warto spróbować.

– Chyba tak. Chociaż... Reacher, czy myśmy zwariowali? Pójdziemy do niego i co? Myślisz, że zechce z nami gadać? Nawiązanie kontaktu trwa zwykle miesiącami.

– Och, na pewno zechce. Ludzie chętnie się przede mną otwierają. Łatwo nawiązuję kontakty. Nie zauważyłaś?

• • •

Włokącą się furgonetkę UPS obserwowało osiem par oczu. Jechała dziwnie: to przyspieszała, to zwalniała, jakby kierowca szukał adresu. Agent siedzący w samochodzie prowadzącym podniósł słuchawkę telefonu zamontowanego między przednimi fotelami. Wybrał numer Pentagonu. Poprosił koordynatora o sprawdzenie, który oddział UPS-u obsługuje tę część miasta i czy należy do nich ta konkretna furgonetka. Zrównała się

właśnie z podjazdem Pritcharda, skręciła i powoli, powolutku ruszyła w stronę domu. W samochodzie agenta zaterkotał telefon. Dzwonił koordynator – po rozmowie z lokalnym dyspozytorem UPS, który potwierdził, że furgonetka należy do nich. Agent odetchnął, lecz nie do końca. Odkąd zaczęli obserwację, Pritchard nie dostał ani jednej przesyłki, poza tym nie było go w domu, więc raczej żadnej się nie spodziewał. Agent zmienił telefon na radio i nacisnął przycisk nadawania.

– Możliwy kontakt, uważajcie. Odbiór.

Furgonetka dojechała do garażu Pritcharda i zatrzymała się. Przez chwilę stała, lekko dygocząc, grzechocząc i plując spalinami w porannym powietrzu. Potem zaczęła zawracać. Jeździła powoli tam i z powrotem, szarpiąc się i chwiejąc przy każdej zmianie kierunku. W pewnej chwili przystanęła w poprzek podjazdu, jakby chciała złapać oddech. Później znowu ruszyła, jeszcze gwałtowniej niż wcześniej, jakby kierowca stracił cierpliwość i miał tego dość.

W końcu zawróciła i ustawiła się przodem do ulicy. Przejechała jeszcze dziesięć metrów i stanęła dokładnie na linii wzroku agentów z trzeciego samochodu. Jedyńych, którzy widzieli drzwi garażu. Ten siedzący za kierownicą otworzył okno. Zobaczył, że kierowca jest kobietą. Trącił łokciem partnera, jakby chciał powiedzieć, że to wszystko wyjaśnia, a potem pomachał do niej ręką i krzyknął, żeby się szybciej ruszała. Możliwe, że coś odkrzyknęła, choć trudno było powiedzieć, bo połowę twarzy miała przesłoniętą dużym kwadratowym kawałkiem gazy z plastrem, jak po wypadku. Ale odmachała mu. Tylko użyła do tego wszystkich palców.

• • •

Roberta Sanson przykucnęła w garażu Pritcharda i oparła się o drzwi. Miała na głowie kominiarkę zasłaniającą uszy i twarz, mimo to słyszała warkot silnika, który najpierw długo rzeził i stękał, a potem przycichł. Oczami wyobraźni śledziła każdy ruch furgonetki. Każdy starannie opracowany ruch siostry. Furgonetka stała w miejscu dłużej, niż zakładały. Roberta wstrzymała oddech. Wyobraziła sobie, że samochód otaczają obserwujący dom agenci. Że otwierają drzwi. Wyciągają Veronicę. Zdzierają z niej przebranie. Znow wstrzymała oddech. Ale wtedy silnik zawarczał głośniejsze i furgonetka ruszyła. Tym razem nie przystanęła, pojechała dalej. Opony nie zapiszczały. Nie słychać było żadnych odgłosów pościgu. Roberta odprężyła się. Ale tylko trochę. Widziała prowadzące do domu drzwi, lecz nie miała pojęcia, co ją za nimi czeka.

Powoli, powolutku przesunęła się w tamtą stronę za samochodem Pritcharda. Położyła rękę na gałce, pozbierała się, przekręciła ją, pchnęła drzwi i dała nura przez szparę. Zrobiła przewrót. Wstała i obróciła się o trzysta sześćdziesiąt stopni z podniesionymi pięściami, gotowa zablokować cios lub go zadać. Nikogo nie zobaczyła. Ani śladu Pritcharda. Ani śladu agentów.

Powoli ruszyła przed siebie. Stawiała kroki uważnie i prawie bezszelestnie. Nie znała Pritcharda. Nie wiedziała, jakie ma nawyki, ale założyła, że już nie śpi. Nie słychać było szumu wody, więc nie brał prysznic. Nic też chyba nie gotował, bo z kuchni nie dochodziły żadne odgłosy. Na podstawie tego, co widziała z zewnątrz, domyśliła się, że ostatnie drzwi w korytarzu prowadzą do salonu. Postanowiła zacząć tam. Gdy minęła pierwsze drzwi, te otworzyły się i na korytarz wyszedł mężczyzna. Pod trzydziestkę, krępy i krótko ostrzyżony. Ubrany na czarno. Z pistoletem w ręce.

Na pewno nie Pritchard.

Uśmiechnął się szyderczo, wyjął z kieszeni nadajnik i przytknął go do ucha.

– Mam kontakt. Wisisz mi pięć dych. Przyszedł. A teraz uważaj: to nie on. To ona. Zostańcie na miejscach. Zaraz ją przyprowadzimy.

Oczywiście, że przyszłam, pomyślała. Dlaczego miałabym nie przyjść? Bo złapali Pritcharda i gdzieś go przetrzymują?

Uderzyła go w szyję wysuniętymi kłykciami. Upadł. Pistolet i nadajnik zagrzechotały na błyszczącej drewnianej podłodze, a mężczyzna chwycił się za gardło. Rzęził, gulgotał i z trudem zasysał powietrze przez zmiążdżoną tchawicę.

Otworzyło się dwoje innych drzwi i na korytarz wyszło kolejnych dwóch mężczyzn. Też młodych i wysportowanych. I też uzbrojonych.

Sądziła, że wiem, że zwinęli Pritcharda? Dlaczego? Przecież pozostałych nie zgarnęli.

Na szczycie schodów pojawił się jeszcze jeden.

Zaraz. Może wcale go nie zgarnęli?

Rzuciła się do przodu. Ten stojący najbliżej nawet nie drgnął. Pozwolił jej się zbliżyć. Co było błędem. Zamarkowała cios w szyję i uderzyła go nogą w kolano. Ważył więcej od niej, ale miała nad nim przewagę siły rozpędu. Przerazliwie krzyknął i upadł na bok. Odbił się od ściany i jęknął, próbując chwycić się za nogę. Kopnęła go w skroń. Mocno. Wtedy ucichł i znieruchomiał.

Może Pritchard zwiął? Dostał cynk i uciekł? Może dowiedział się o pozostałych?

Ten trzeci zrobił krok w jej stronę, unosząc pistolet. Wycelował w pierś. Chwyciła go za nadgarstek lewą ręką, wykręciła go, żeby mężczyzna wyprostował ramię, i uderzyła w zgięcie łokcia prawym przedramieniem, gruchocząc staw. Drugą ręką przyłożyła mu od dołu w podbródek, żeby

wstrząsnąć mózgiem. Potem puściła nadgarstek, cofnęła się pół kroku, podniosła nogę, zrobiła szybki obrót i kiedy noga nabrała rozpędu, walnęła przeciwnika w skroń. Nie należała do wysokich kobiet, lecz była giętka i szybka. Mężczyzna stracił przytomność, zanim runął na podłogę.

Może sami nie wiedzą, gdzie jest Pritchard, i założyli, że ja wiem?

Musiała zachować ostrożność. Na ulicy wciąż stały cztery samochody.

Czwarty agent zdążył już zbiec ze schodów. Przystanął. Uniósł pistolet, ale trzymał się poza zasięgiem jej rąk.

– Muszę ci podziękować, panienko – powiedział. – Ci tutaj nigdy by tego nie przeżyli. Dostać łupnia od dziewczyny? Będę miał ubaw po pachy. Bezcenna sprawa, ale dość zabawy na dzisiaj. Jesteś chudziutka, ale z tej odległości nikt nie chybi. Zwłaszcza ja, bo dobrze strzelam. Dlatego lepiej zbastuj. Odwróć się. I wyciągnij do tyłu ręce.

Roberta stała nieruchomo jeszcze przez kilka sekund, jakby rozważała słowa tak głębokie, że nie mogła pojąć ich pełnego znaczenia. Potem zwiesiła głowę, zgarbiła się i odwróciła plecami do mężczyzny. Ten nie tracił czasu. Nie chciał, żeby zmieniła zdanie czy wykręciła jakiś numer, więc podszedł bliżej, założył jej plastikowe kajdanki i mocno je zacisnął. Potem nachylił się tak blisko, że poczuła na szyi jego oddech.

– Dałaś niezły pokaz. Szczerze mówiąc, zupełnie się tego nie spodziewałem. To ty załatwiłaś tamtych pięciu?

– Oni też niczego się nie spodziewali – odparła. – Ale mężczyźni nigdy nie doceniają kobiet. Prawda? Gdybyście doceniali, może więcej z was uniknęłoby śmierci.

– Może. A może nie. Tak czy inaczej, czas iść. – Pchnął ją w stronę drzwi. – Ktoś chce z tobą pogadać.

– Nic nie powiem. Chyba że najpierw wy powiecie coś mnie. Muszę to wiedzieć. Znaleźliście go? Był tu gdzieś? Czy Pritchard kłamał?

– O czym ty, do diabła, mówisz?

– O jego czarnym notesie. Z datami, godzinami i miejscami. Po to tu przyszedłam.

– Nie pieprz. Przyszedłaś zabić Pritcharda, tak jak zabiłaś tamtych. Sama się przyznałaś. Tylko nie jesteś na bieżąco. Nie wiedziałaś, że Pritchard dał nogę. I nie wiesz, gdzie teraz jest.

– Wiem. Jest dokładnie tam, gdzie go zostawiłam.

Agent odwrócił ją gwałtownie twarzą do siebie.

– Masz go?

Puściła do niego oko.

– Żyje? – spytał.

– Jeszcze żyje. I będzie żył, dopóki nie zdobędę tego notesu. Wiesz, ile mogłabym na nim zarobić? Górę pieniędzy. Moglibyśmy się podzielić...

– Gdzie on jest?

– W bezpiecznym miejscu. Na razie. Ale jeśli wkrótce nie wrócę, to może się zmienić.

– Powiedz, gdzie on jest.

– Nie wyraziłam się dość jasno? Nie powiem.

Agent przeszył ją wzrokiem.

– Ty chyba nie rozumiesz, jak to działa, co? – Przystawił lufę do jej policzka. Trzymał ją tam przez chwilę, a potem przesunął niżej, na szyję. Z szyi między piersi, a potem na brzuch i uda. – Tą operacją kierują ci z góry. Z samej góry. Mógłbym rozerwać cię na dziesięć kawałków, a oni daliby mi medal za każdy z nich. A gdybym miał ochotę zrobić ci coś jeszcze, nikt by się o tym nie dowiedział. Ja albo moi kumple, kiedy się obudzą. Nie przypuszczam, żeby należeli do twoich największych wielbicieli. No więc?

Roberta wytrzeszczyła oczy.

– Zawróć do centrum. – Podniosła głos o oktawę. – Potem jedź na wschód czterystapięćdziesiątką, a później na północ dwójką. Za siedemnastym słupkiem, po prawej stronie, zobaczysz hangar. Niebieski. Pritchard jest w hangarze. W schowku na żagle. Związany i zakneblowany.

Agent poklepał ją po policzku.

– Widzisz? To nie takie trudne. – Wyjął nadajnik i przekazał zamiary kolegom. – Jedźcie. Wszystkie wozy. Panuję nad sytuacją. Zawiozę ją na przesłuchanie.

Roberta zaczęła, aż ucichnie warkot odjeżdżających samochodów.

– „Panuję nad sytuacją”? – powtórzyła.

Skoczyła do przodu i wbiła mu kolano w krocze. Z furją, ze wszystkich sił. Gdyby nie jego waga, uniosłaby się w powietrze. Agent wrzasnął i ugięły się pod nim kolana. Chwycił się za krocze. Zwymiotował, splunął, przetoczył się na bok i zaczął piskliwie wyć z bólu.

Roberta spojrzała na niego i powiedziała:

– No i proszę. Wy naprawdę nie docenicie kobiet. Kiedy się wreszcie nauczycie?

13

Amber Smith zaparkowała samochód w strefie dostawczej ulicę od kawiarni sowieckiego uciekiniera i wysiadła. Na chodniku dołączyli do niej Reacher i Neilsen i resztę drogi pokonali piechotą. Carska Herbaciarnia, tak nazywał się lokal. Mieścił się na parterze kilkupiętrowego biurowca na skraju modnej części miasta. Miał czerwoną markizę nad wejściem i fasadę pokrytą krzykliwymi malunkami przedstawiającymi cebulaste kopuły, baśniowe katedry i dwugłowe orły. Rzucał się w oczy. To na pewno. Reacher nie znał się na tym, ale nie wyglądało to najlepiej.

Smith weszła pierwsza. Za drzwiami była poczekalnia z obitymi zielonym aksamitem fotelami pod ścianą. Dalej garderoba na płaszcze i pulpit szefa sali. A jeszcze dalej mnóstwo stolików. Na środku czteroosobowe, równiutko ustawione, jak pola na szachownicy, a na obrzeżach sali sześć- i ośmioosobowe, wszystkie przykryte białymi obrusami, zastawione delikatnymi filiżankami i spodeczkami, skrzące się od srebrnych sztućców. Reacher pokręcił głową. Właściciel nie odtwarzał fragmentu swojej przeszłości. W Związku Radzieckim niczego takiego nie doświadczył. Z całą pewnością. Nie, on sprzedawał czystą fantazję.

W sali siedziało troje gości, przy dwóch mniejszych stolikach, i kręcił się kelner. Zobaczył ich i podszedł do pulpitu.

– Stolik na trzy osoby? Śniadanie czy brunch?

– Chcemy się zobaczyć z właścicielem – odparł Reacher.

Kelner zrobił wystraszoną minę.

– Nie ma go.

– Zaczekamy.

– Dobrze. Chyba możecie. Jeśli coś zamówicie i nie będziecie blokowali stolika...

– Zaczekamy w jego biurze.

Kelner pokręcił głową.

– To niemożliwe.

– Na pewno?

Reacher ruszył przez salę. Kelner truchtał za nim, gorączkując się i wymachując rękami jak rozdrażnione dziecko. Smith i Neilsen szli kilka kroków za nimi. Reacher kluczył między stolikami, aż stanął przed czerwono-złotą haftowaną kotarą zasłaniającą drzwi między dwoma olbrzymimi obrazami przedstawiającymi starców w wojskowych mundurach, siedzących na spokojnych białych koniach. Gdy rozsunął kotarę, zobaczył malutki przedsionek i prowadzące na górę schody. Siedzący u ich stóp na drewnianym stołku mężczyzna natychmiast wstał. Był wzrostu Reachera, ale miał tak szeroką pierś, że nie mógł prosto zwiesić rąk. Patrzył na niego gniewnie, lecz bez słowa.

– Przepraszam, Siergiej – wysapał kelner. – Ten pan... zabłądził. Na pewno nie chciał tu wchodzić. – Stanął na palcach i nachylił się ku Reacherowi. – Chodźmy, zaprowadzę was do stolika. Jeśli złożycie duże zamówienie... szampan, kawior, może nawet pieczony prosiak... ten mały błąd pójdzie w zapomnienie. Siergiej tu zostanie. Chodźmy. On nic wam nie zrobi.

Reacher milczał. Liczył na to, że będzie tu czekał właśnie ktoś taki jak Siergiej. Potwierdzało to, że schody prowadzą do jakiegoś ważnego

miejsca. Przy odrobinie szczęścia do gabinetu właściciela. Co by znaczyło, że spotka tam kolejnych ochroniarzy. Pewnie takich samych jak ten tutaj albo większych. Prawdopodobnie uzbrojonych. Gotowych zbiec na dół przy pierwszych oznakach zagrożenia i natychmiast je usunąć. Znaczyło to też, że Siergiej ma pecha. Bo Reacher nie miał czasu, żeby dać mu okazję do poddania się. Musiał od razu przejść do rzeczy, więc odchylił do tyłu głowę. Tylko trochę. Żeby zwiększyć swoją skuteczność. Napiął mięśnie szyi, piersi i brzucha. A potem zgiął się w pół i runął na Siergieja, mierząc czołem w twarz. Był to ruch brutalny, prymitywny i druzgoczący. Jeden z tych, które najbardziej lubił. Bo zaskoczony Rosjanin nie zdążył zareagować. Nie miał szans się obronić. Siła uderzenia roztrzaskała mu nos – zmiażdżyła i rozerwała chrząstkę – i kość policzkową. Na wykładzinę posypały się zęby, na koszulę trysnęła krew. Upadł na plecy i bezwładny jak szmaciana lalka, wylądował częściowo na podłodze, częściowo na schodach.

Reacher spojrzał na kelnera i wytarł krew z czoła.

– Idziemy na górę. Jeśli ktoś tam na nas czeka, wróć i zrobię ci to co jemu. Jasne?

• • •

Przestąpił nad nieruchomymi kończynami Rosjanina i wszedł na schody. Chwilę trwało, zanim Smith i Neilsen go dogonili; zaskoczył ich ten gwałtowny wybuch agresji. Reacher wszedł do korytarza, który biegł wzdłuż całej szerokości budynku i miał na końcach okna. Po jednej stronie było sześćdziesiąt drzwi, a po drugiej czworo. Na pomalowanych na migdałowy mat ścianach roilo się od rys i dziur rozrzuconych na różnych wysokościach. Pod sufitem paliły się nagie żarówki w plastikowych oprawkach. Jedna mrugała na nagich kablach. Poza miejscami dostępnymi

dla gości lokal wyglądał jak skrzyżowanie wysypiska śmieci i grożącej pożarem nory. Może interesy nie szły jednak tak dobrze. A może Sowietom obce były wysokie standardy wystroju wnętrz. Albo bezpieczeństwa. A może po prostu mieli je gdzieś.

Kiedy Smith i Neilsen weszli do korytarza, gwałtownie otworzyły się najbliższe drzwi i z pokoju wyszedł mężczyzna. Tego samego wzrostu co Siergiej. Tej samej wagi. Tak samo napakowany. Mógłby być jego bliźniakiem. Tylko że on nie stał nieruchomo. Opuścił głowę i od razu zaatakował.

Reacher wskazał drugą połowę korytarza i rzucił:

– Tam! Szybko!

Zerknął w prawo, by sprawdzić, czy Smith i Neilsen odbiegli na bezpieczną odległość, i ruszył w przeciwną stronę. Prosto na szarżującego ochroniarza. Przyjął pozycję. I kiedy zderzenie było prawie nieuniknione, odskoczył w bok i przywarł plecami do ściany. Tamten się z nim zrównał. Omal go nie minął, pędząc prosto na Smith i Neilsena. Wtedy Reacher wyciągnął ręce. Chwycił go za kołnierz i za pasek spodni, wysunął do przodu nogę i zrobił obrót, szybki i gwałtowny. Siła odśrodkowa omal nie wyrwała mu ramion ze stawów, ale wytrzymał. Zaczekał, aż mężczyzna obróci się o dziewięćdziesiąt stopni, twarzą do schodów. Wtedy go puścił. Prędkość ciała ochroniarza trochę spadła, ale wciąż było bardzo rozpędzone. Na tyle, że przeleciało przez połowę schodów. Kiedy w końcu się zatrzymało, mężczyzna miał wyciągnięte przed siebie ręce. Zrobił to odruchowo. Żeby złagodzić siłę upadku. Co poskutkowało, choć w ograniczonym zakresie. Bo miał złamane nadgarstki i obojczyk. Górna połowa ciała zahamowała. Ale nie dolna. Nogi poszybowały mu za głowę, zrobił salto i wylądował u stóp schodów, z tułowiem na swoim bliźniaku.

Siergiej ma dzisiaj wyjątkowego pecha, pomyślał Reacher.

• • •

Spojrzał w lewo, potem w prawo. Na korytarzu nic się nie ruszało. Miał do wyboru dziesięcioro drzwi. Ten, którego szukali, musiał być za którymiś z nich. Zakładając, że w ogóle był w budynku. Obecność silnorekkich świadczyła o tym, że jest. Ktoś, kto używał fałszywych tytułów i zmyślonych pompatycznych nazwisk, musiał mieć rozbuchane ego, a ktoś z rozbuchanym ego chciałby na pewno, żeby ochroniarze nie odstępowali go na krok. Żeby pokazać, jaki jest ważny. Dlatego Reacher ruszył do drzwi, z których wybiegł bliźniak Siergieja. Wciąż były otwarte, a raczej lekko uchylone. Wytężył słuch. Usłyszał szelest papierów. Ciche trzeszczenie, jakby ktoś poprawiał się w sztywnym skórzanym fotelu. I czyjś oddech. Spokojny. Zrelaksowany. Bez śladu napięcia. Nie. Oddechy kilku osób.

Trącił drzwi ramieniem i wszedł do środka tak swobodnie, jakby wracał do domu po nudnym dniu w biurze. Jakby nie spodziewał się żadnych kłopotów. Pokój był prostokątny, wyłożony ciemną boazerią, z oknem naprzeciwko drzwi. W trzech czwartych długości pomieszczenia stało biurko, przy którym siedział mężczyzna. Miał szerokie ramiona. Dużą, kwadratową głowę. Blisko osadzone wąskie oczy i wystające wielkie czoło. Oprócz niego było tam jeszcze czterech innych. Dwóch siedziało na drewnianych krzesłach przed biurkiem. Dwóch na identycznych krzesłach pod lewą ścianą. Wszyscy byli w drogich garniturach i krawatach, ale wyglądali jak dzieci w porównaniu z Siergiejem i jego kumplem. Choć siedzieli, widać było, że nie są bardzo wysocy. Mieli może po metr siedemdziesiąt wzrostu. Góra metr siedemdziesiąt pięć. I ogolone głowy. Nieustannie poruszające się bystre oczy. Sprawiali wrażenie zwinnych i wytrzymałych. Takich, którzy mogą biec cały dzień i noc z wielkimi plecakami. Jak żołnierze sił specjalnych. Tych czterech musiało służyć

kiedyś w Specnazie. Leżący u stóp schodów goryle byli jedynie dekoracją. Mieli odstraszać głupich i nieświadomych. To tych czterech wkraczało do akcji, kiedy zagrożenie stawało się poważne.

A przynajmniej ktoś liczył na to, że wkroczą.

Reacher przystanął na środku pokoju i spojrzał na tego przy biurku z miną, która mówiła, że bardziej zaimponowała mu zawartość chusteczki, kiedy ostatni raz wydmuchał nos. Smith i Neilsen też weszli do środka, lecz trzymali się z tyłu, przy drzwiach. Ochroniarze siedzący pod ścianą wstali. Ci sprzed biurka też. Przesunęli się i ustawili tak, że tworzyli wierzchołki kwadratu. Wszyscy twarzą do niego, Smith i Neilsena. Był przyblokowany. Stał w dogodnej dla nich pozycji. Ciasnota pomieszczenia i to, że mieli nad nim przewagę liczebną, sprawiały, że nie mógł wykorzystać swoich wrodzonych atutów, wagi oraz długości kończyn. Gdyby było jeden na jednego albo dwóch na jednego, nie daliby rady się do niego zbliżyć. Jeśli znaleźliby się w zasięgu jego rąk czy nóg, mógłby w nich przebierać. Ale tych czterech rzuciłoby się na niego ze wszystkich stron naraz. Jednego czy dwóch mógłby uszkodzić, nawet poważnie, ale gdyby pozostali przetrwali atak, byłoby niemal pewne, że wygrają. Poza tym sprytnie się ustawili, bo dwóch stało za nim, poza polem jego widzenia. Miał małe szanse. To na pewno. Ale bywał już w takich sytuacjach. Niezliczoną ilość razy. Od dzieciństwa, gdy wraz z bratem musiał bić się ze szkolnymi chuliganami już pierwszego dnia w każdej nowej szkole, na całym świecie. Dlatego wiedział, co zaraz będzie. Nie musiał widzieć tych w martwym polu. Jeden z nich zaatakuje jako pierwszy. Nieważne który. Pod warunkiem że zdąży go uprzedzić. Reacher wykonał więc szybko obrót w lewo. Z podniesioną ręką. Bok jego pięści był jak obuch ciężkiego młota, który obracając się, nabiera coraz większej prędkości. Trafił pierwszego w podbródek, od dołu.

Cios dźwignął gościa z podłogi i rzucił do tyłu. Mężczyzna uderzył głową w ścianę, stracił przytomność i upadł na podłogę.

Reacher odepchnął się zakroczną nogą, zmienił kierunek, skręcił się w pasie i tą samą pięścią uderzył tego, który stał w przeciwnym rogu kwadratu. Mierzył w twarz. Stawiając bardziej na siłę niż celność. Ale facet był szybki. Musiał się tego spodziewać. I zważywszy na różnicę wagi, postanowił zablokować cios przedramionami. Zrobił to skutecznie. Pięść Reachera nie dosięgła celu. Ochroniarz odtrącił ją i śmignęła tuż obok jego ucha. Tylko że w chwili, kiedy nawiązali kontakt, Reacher zgiął rękę, łokieć przesunął się w bok i jego czubek zmiażdżył przeciwnikowi nos. Gość poczuł się pewnie jak garnitur zsuwający się z wieszaka i zanim runął na podłogę, Reacher znów zmienił kierunek działania i ruszył do następnego rogu. Ochroniarz, który tam stał, też był już w ruchu. Przesuwał się do przodu, by zająć miejsce zwolnione przez kolegę. Role się odwróciły. I teraz to on nie widział Reachera. Przez chwilę był bezbronny. A Reacher przestrzegał pewnej zasady. Jeśli masz okazję obezwładnić przeciwnika, to ją wykorzystaj. Każdą. Bez wahania. Bez zastanawiania się, czy to po dżentelmeńsku. Bez przestrzegania zasad markiza Queensberry'ego. Dlatego zrobił krok do przodu. I wysuniętym kłykiem środkowego palca uderzył przeciwnika w prawą nerkę, mocno i szybko. I natychmiast powtórzył to z lewą. A kiedy ochroniarz upadł na kolana, kopnął go w głowę, jakby próbował strzelić field goala z sześćdziesięciu metrów.

Został tylko jeden. Ten zdążył już się przesunąć i stał teraz przed biurkiem, wydając coś z kieszeni. Nóż sprężynowy. Nacisnął mosiężny guzik i z uchwytu wyskoczyło ostrze, błyszczące i groźne.

– Podejdz z tym do mnie, a każę ci to zjeść – uprzedził go Reacher.

Mężczyzna wyciągnął nóż przed siebie i zaczął poruszać nim na boki, płynnie, powoli i szyderczo.

– Tylko nie mów potem, że cię nie ostrzegałem.

Reacher wyciągnął się w lewo i wziął krzesło, na którym facet przed chwilą siedział. Odwrócił je, wycelował w niego nogami i zaatakował, odpychając go do tyłu. Tamten na próżno wymachiwał nożem, bo Reacher wciąż parł do przodu. Gość wpadł na biurko i wylądował na porysowanym drewnianym blacie. Reacher rzucił krzesło, jedną ręką unieruchomił jego nadgarstek, a drugą chwycił go za szyję. Potem uderzył nadgarstkiem w blat, żeby wytrącić mu nóż. Przygniótł mężczyznę do biurka kolaniem i podniósł nóż. Złożył ostrze. I ścisnął ochroniarzowi nos.

Facet wytrzymał bez oddychania trzydzieści sekund. Czterdzieści pięć sekund. Poczzerwieniał na twarzy. Oczy wyszły mu z orbit. W końcu otworzył usta. Zakrztusił się, gwałtownie łapiąc powietrze. Reacher wepchnął mu nóż do gardła, aż do migdałków. Podniósł mężczyznę i twarzą naprzód rzucił na ścianę.

Ten siedzący przy biurku odsunął się z fotelem, żeby uniknąć przypadkowego ciosu. Odczekał chwilę, wstał, obszedł biurko i postawił na miejsce przewrócone krzesło. Popatrzył na nieprzytomnych ochroniarzy i spojrzął na Reachera. Był co najmniej trzynaście centymetrów niższy, ale ważył ponad dwadzieścia kilogramów więcej od niego. Krótkonogi i wąski w pasie, miał groteskowo szerokie ramiona i pierś. Stał przez chwilę nieruchomo, a potem rzucił się na Reachera z szeroko rozłożonymi ramionami. Chciał go chwycić i powalić. Reacher zrobił krok w jego stronę. Z podniesioną ręką. Z łokciem wysuniętym jak stalowy pręt. Trafił w nasadę nosa i głowa mężczyzny zatrzymała się w miejscu. Ale nogi wciąż się poruszały. Stopy oderwały się od podłogi i runął na plecy jak kłoda.

Podbiegła do nich Smith.

– Coś ty, do diabła, zrobił? Jak z nim teraz porozmawiamy?

– Spokojnie – odparł Reacher. – To nie z nim chcemy gadać. Absolutnie nie z nim. Za łatwo poszło.

• • •

Roberta Sanson chciała, żeby agent cierpiał jak najdłużej, więc zostawiła go wijącego się na podłodze i trzymającego się za krocze. Dopiero kiedy usłyszała, jak furgonetka UPS podjeżdża przed dom Pritcharda, kopnęła go w skroń, sprawdziła, czy stracił przytomność, położyła się na dywaniku i rozciągnęła ręce na tyle, na ile pozwoliły jej plastikowe kajdanki. Przesunęła nadgarstki pod nogami i stopami, wstała, otworzyła frontowe drzwi i wpuściła do środka siostrę.

Veronica wyjęła nóż i uwolniła jej ręce. Objęła ją i spojrzała na ciała agentów leżące bezwładnie w przedpokoju.

– W porządku?

– Tak. – Roberta zdjęła kominiarkę. – A u ciebie?

Veronica zerwała opatrunek z policzka.

– Pritchard zdradził to nazwisko?

– Nie ma go tu. To była zasadzka.

– Więc gdzie jest?

– Nie wiadomo. Zniknął. Musimy pomyśleć, gdzie mógł uciec. I nie mamy za dużo czasu. Wpuściłam ich w maliny i odjechali, ale niedługo wrócą. Góra za półtorej godziny.

– Pritchard uciekł?

– Pewnie dowiedział się o wypadkach dawnych kumpli.

Veronica przez chwilę milczała, a potem odwróciła się i spojrzała na futrynę. Otworzyła drzwi i przesunęła palcami po miejscu w okolicy zamka.

– Nie jestem pewna. Te drzwi wyłamano i naprawiono. Niedawno. Myślę, że ktoś chciał go porwać. Spaprał robotę i Pritchard jakoś się wymknął.

– Możliwe. Ale „dlaczego” nie jest teraz ważne. Ważne jest „dokąd”.

– Był zawodowym agentem. Ostrożnym człowiekiem. Musiał mieć przygotowaną torbę... Zostawił samochód?

– Tak, w garażu.

– Więc zwiął na piechotę albo miał tu gdzieś drugi wóz. Na fałszywych blachach, nie do wytropienia.

– Musiał mieć samochód. Nie jest młodzieniaszkiem i pewnie miał większą torbę. Gdyby z nią szedł albo biegł, podejrzenie by to wyglądało. Zwłaszcza jeśli ktoś by go ścigał.

– Gdzie by trzymał ten drugi samochód? I jak by się do niego dostał?

– Jeśli tamci zaatakowali od frontu, musieli też obserwować dom od tyłu. Wschodnia strona jest bardzo odsłonięta. Tamtędy by raczej nie uciekł. A zachodnia? Trzeba zajrzeć do garażu.

Roberta poszła przodem, tą samą drogą, którą zakradła się do domu. Jak na współczesne standardy garaż był mały. Wystarczyło tam miejsca tylko na jeden samochód, stół roboczy i kilka półek na bocznych ścianach. Stół był czysty, a na zamontowanej nad nim desce wisiał na kołkach cały asortyment narzędzi. Półki ugiwały się pod ciężarem leżących na nich rzeczy. Gromadzonych latami części samochodowych, narzędzi ogrodniczych, niepotrzebnych gadżetów kuchennych i puszek z żywnością. Samochód był piękny. Czerwone jak krew camaro z 1969 roku, z czarnym pasem na masce. Sprawiał wrażenie dobrze utrzymanego. Pritchard musiał bardzo o niego dbać. Pod względem kosmetyki auto było bez zarzutu. Błyszczącego lakieru nie szpeciła ani jedna rysa czy wgniecenie. Przez całą

długość podłogi biegł kanał, więc niewykluczone, że Pritchard remontował go sam.

Sprawdziły każdy centymetr kwadratowy wszystkich ścian. Roberta zgodnie z ruchem wskazówek zegara, Veronica przeciwnie. Pchnęły, pociągnęły i dźgnęły każdą deskę, płytkę i panel. Nic nie ustąpiło nawet na centymetr. Zbadały też szczotką sufit, ale był twardy jak skała.

Roberta ruszyła do wyjścia.

– Chodź. Tracimy tylko czas.

Veronica nie drgnęła z miejsca.

– Zaczekaj. Mam pomysł. Widziałaś tu gdzieś latarkę?

– Chyba nie.

Kiwnęła głową i obeszła maskę samochodu. Ostrożnie zeszła po schodkach do kanału i po chwili ożyła tam lampa inspekcyjna. Veronica zniknęła na dwie minuty.

Wróciła z uśmiechem na twarzy.

– Bingo. Kanał odbija w bok i kończy się za ścianą, atrapą pokrywy zsypu na węgiel. Tak stąd uciekł. Na sto procent. Chodź, idziemy. Szybko. Musimy wykombinować, dokąd poszedł.

14

Reacher kucnął i przeszukał leżącemu kieszenie. Wyjął portfel, otworzył go i pokazał Smith. W plastikowym okienku w środkowej części portfela tkwiło prawo jazdy. Na nazwisko Walery Kerzakow.

– Ciekawe, co powiedzieliby tutejsi Rosjanie – odezwał się Reacher podniesionym głosem – gdyby dowiedzieli się, że Maksym Sarbotski jest aż tak pretensjonalnym dziwakiem, że nie tylko zmyśla nazwiska, ale też ukrywa się za swoim sobowtórem. Pewnie by go wyśmiali. A już na pewno przestaliby odwiedzać jego skromny przybytek.

W pokoju coś zatrzeszczało. Rozsunęła się boazeria za stojącymi przy ścianie krzesłami i w otworze ukazał się mężczyzna. W garniturze z charakterystycznym wybrzuszeniem pod lewą pachą. Miał ogoloną głowę. Był wysoki, lecz nie olbrzymi. Szeroki w ramionach, lecz nierobiący specjalnego wrażenia. Coś między Siergiejem i tymi, którzy leżeli teraz nieprzytomni na podłodze.

– Masz tam jeszcze jakichś kumpli? – spytał Reacher. – Bo bez urazy, przyjacielu, ale sam sobie nie poradzisz.

– Nie zamierzam się z tobą bić – odparł mężczyzna. – Gdybym zamierzał... – Poklepał się po wybrzuszeniu pod marynarką. Cofnął się i zatoczył łuk ręką. – Zapraszam.

Reacher przestąpił próg ukrytych drzwi. Smith i Neilsen poszli za nim. Korytarz prowadził do sąsiedniego pokoju tej samej wielkości i kształtu. Ten też miał okno i też stało tu biurko, a przed nim dwa krzesła. A z boku skórzana kanapa. Na ścianach wisiały obrazy przedstawiające dziewiętnastowieczne sceny bitewne. W kącie stała konsola oraz bateria sześciu czarno-białych telewizorów z małymi ekranami. Pokazywały na żywo pokój, z którego przed chwilą wyszli, korytarz, schody, wnętrze restauracji z dwóch kamer i chodnik przed wejściem.

Reacher spojrzał na mężczyznę siedzącego przy biurku.

– Jak przedstawienie? Podobało się?

Mężczyzna był niezwykle podobny do Walerego Kerzakowa, tyle że wciąż mógł prosto siedzieć. Miał taką samą szeroką pierś i szerokie ramiona. Taką samą kwadratową głowę, paciorkowate oczy i czoło neandertalczyka. Popatrzył na Reachera i wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć, że widywał lepsze.

– To ty jesteś Sarbotski?

Facet natychmiast się najeżył.

– Jestem Jego Wysokością Księciem Sarb...

– Przestań pieprzyć. To jest Ameryka. Syn króla czy dziwki to tutaj jedno i to samo.

Sarbotski łypnął na niego spode łba.

– A ty kim jesteś?

– Jack Reacher. Armia Stanów Zjednoczonych.

– Armia? Oni też?

– Mniej więcej.

– Czego chcesz?

– Wyświadczyć ci przysługę.

– Jaką?
– Nie spalić twojej knajpy.
– Oddawano mi ciekawsze przysługi.
– Ciekawszej nie będzie.
– Nie wątpię. Rozumiem, że chcesz coś w zamian.
– Małego drobiazgu. Informacji.
– Dlaczego miałbym ci zaufać?
– A dlaczego nie? – Reacher wskazał telewizory. – Widziałeś, że nie przyszedłem tu z wizytą towarzyską.

– Nie zmusisz mnie do współpracy. Mam ochronę.
– Naprawdę? – Reacher rozejrzył się po pokoju. – Gdzie?
– Ochronę rządu Stanów Zjednoczonych. Zawarliśmy umowę. Podpisaliśmy kontrakt. Niepodważalny.

– Niepodważalny. Hm... Ale czy ogniotrwały? Gwarantuje, że ta restauracja i wszystkie inne twoje dobra nigdy się nie spalą?

Rosjanin nie odpowiedział.

– Czy ten kontrakt jest dźwiękoszczelny? – ciągnął Reacher. – Gwarantuje, że wiadomość o miejscu twojego pobytu nie dotrze do twoich kumpli w Moskwie? Tych, których sprzedałeś, żeby zawrzeć tę umowę?

Sarbotcki skrzyżował ramiona na piersi. Wciąż milczał.

– Twój kraj rozpada się jak domek z kart. Wielu z twoich dawnych znajomych zechce na pewno przeprowadzić się za granicę. Wejść do jakiegoś małego, dyskretnego interesu, wykupić w nim udziały. Ale nie pieniędzmi.

Rosjanin odchylił się na oparcie fotela i splótł palce.

– Być może mógłbym wam pomóc w sprawie tej... informacji. Ale nie mogę tak po prostu jej wam przekazać. Mam swoje zasady. Chcę czegoś

w zamian.

– Czego?

– Najchętniej pojedynku na zapasy. Ty przeciwko paru moim. Telewizja to jedno, ale nic nie przebije oglądania przemocy z bliska i na żywo, prawda? Uwielbiam zapasy. – Sarbowski westchnął. – Szczerze mówiąc, bardzo mi ich brakuje.

– Nigdy nie miałem na to czasu. I nie widziałem w tym sensu. Za dużo zasad.

– Dobrze, w takim razie napijemy się.

Rosjanin otworzył szufladę, wyjął karafkę z ciętego kryształu pełną przezroczystego płynu i dwa kieliszki. Też kryształowe. Wielkości szklanek do whisky. Postawił je na biurku, nalał z karafki i podsunął jeden Reacherowi.

– Chodź tu. Siadaj. Pierwszy będzie za dobrą wolę. Wypijemy i spytasz mnie, o co zechcesz.

Reacher ruszył w stronę krzesła. Niechętnie. Wolałby załatwić to tak jak z wojskowym kierowcą w arsenale na Rock Island. Nie lubił pić. Nie dlatego, że miał jakieś skrupuły moralne. Ze względów praktycznych. Alkohol obniża sprawność psychofizyczną. Skutki jego działania widział tysiąc razy. Dlatego próba dotrzymania kroku wielkiemu Rosjaninowi nie przypadła mu do gustu. Zwłaszcza że kieliszki też były wielkie. Umiał jednak przesłuchiwać i miał w tym duże doświadczenie. Przy odpowiednich bodźcach niektórzy pękali. Inni prędzej by umarli, niż zaczęli mówić. Instynkt podpowiadał mu, że mimo swojej megalomanii Sarbowski należy do tych drugich.

Szedł powoli w stronę krzesła. Ale Neilsen był szybszy. Rzucił się przed siebie, usiadł na najbliższym, podniósł szklanę i wypił cały kieliszek pięcioma długimi, łapczywymi łykami. Potem uśmiechnął się i powiedział:

– To jest chyba moje poletko.

Rosjanin pokręcił głową.

– Nie. – Wskazał Reachera. – Jego. To z nim się umawiałem.

– Daj spokój. Chcesz rozwiązać tym komuś język? Wyciągnąć z niego kilka tajemnic? Małe quid pro quo? Jeśli tak, gadaj ze mną. – Neilsen poklepał się w czoło. – Tu są dużo ciekawsze rzeczy. Możesz mi wierzyć.

Sarbotski zastanowił się i napełnił pustą szklanę.

– Ja piję jeden, ty dwa.

Neilsen wypił do dna.

– Jesteś bardzo szczodry, moglibyśmy zostać przyjaciółmi – powiedział.

– Otóż interesuje nas Projekt Sto Dziewięćdziesiąt Dwa. Z lat sześćdziesiątych.

Rosjanin wypił i napełnił oba kieliszki.

– To był wasz projekt. Nie nasz. – Puścił do niego oko i wybuchnął śmiechem. Zatrząsał mu się cały brzuch. – Nie ufacie swojemu rządowi, więc szukając prawdy, przychodźcie do KGB.

Choć KGB przed rokiem zostało zlikwidowane, dla jego agentów nic się nie zmieniło.

– Lubię was za to – dodał Sarbotski. – No dobrze. Projekt Sto Dziewięćdziesiąt Dwa. Rozumiem, że wiecie, o co chodziło. O antidotum na naszą broń chemiczną i biologiczną.

Neilsen kiwnął głową i wypił.

– Wasz rząd pewnie nawet się do tego przyznaje, przynajmniej nieoficjalnie – ciągnął Rosjanin. – Prawda? Ale podejrzewacie, że kryje się w tym coś jeszcze. Czujecie to w kościach. – Wypił i znów napełnił kieliszki. – Macie instynkt. Tak było.

Gestem ręki kazał Neilsenowi wypić.

Agent CIA wypił wszystko jednym haustem i z trzaskiem odstawił szkło.

Sarbotski poszedł w jego ślady.

– Był też projekt równoległy – powiedział. – Tajemnica w tajemnicy. Nie udało nam się nawet ustalić, jaki nadaliście mu kryptonim. Moskwa nazwała go Projektem Tyfon. Tyfon: najstraszniejszy z mitycznych potworów. I kto powiedział, że komuniści nie znają klasyki? – Znów się roześmiał, głęboko jak przedtem.

– A celem tego drugiego projektu było...? – Neilsen zaczynał trochę bełkotać.

Rosjanin znowu napełnił kieliszki.

– Projekt Sto Dziewięćdziesiąt Dwa był defensywny. Nastawiony na zwalczanie naszych broni. Tych, o których wiedzieliście. Tyfon był czymś przeciwnym. Stuprocentowo ofensywnym. Dosłownie i w przenośni. Ameryka wymyślała coraz to nowsze i okrutniejsze rodzaje broni, udając, że jest bierną ofiarą sowieckiej wrogości. – Wypił wódkę. – Zachodnia hipokryzja na sterydach.

– Jest na to jakiś dowód? Czy to tylko plotki?

– Dowód istnieje. Widziałem go. Ale go nie mam.

– A kto ma?

– Niejaki Spencer Flemming. – Sarbotski wyjął z szuflady długopis i bloczek papieru i zapisał adres. – Jest dziennikarzem. Ma wszystko. Nawet zdjęcia.

– Bzdura – prychnął Neilsen. – Gdyby dziennikarz miał takie zdjęcia, zrobiłby karierę. Sprzedałby je za ciężkie pieniądze. Trafilyby na pierwsze strony wszystkich gazet.

Sarbotski nachylił się i postukał w czoło, teatralnie naśladowując jego wcześniejszy gest.

– Jeśli jesteś aż tak naiwny, nie możesz mieć tam nic ciekawego. Flemming ma kopie. Oryginały zabrał rząd. Myśleli, że wszystkie. I powiedzieli mu wyraźnie, że jeśli te zdjęcia kiedykolwiek ujrzą światło dzienne, w więzieniu na Kubie czeka na niego cela z jego nazwiskiem na drzwiach.

Reacher podszedł do biurka.

– A ty wiesz o tym... skąd? – spytał.

– Mam z nim kontakt.

– To ty podsunąłeś mu tę sprawę?

– Niewykluczone, że skierowałem go na właściwy trop. Prawda bywa nieuchwytna.

Reacher wziął z biurka karteczkę z adresem.

– Odwiedzimy go. Wkrótce. Myślisz, że będzie się nas spodziewał?

– Czy wyglądam na takiego, co ma kryształową kulę? – odparł Rosjanin.

– Pamiętasz, co powiedziałem? Jeśli Flemming nie zemdleje z wrażenia, kiedy zapukam do jego drzwi, spalę tę knajpę. Z tobą w środku. Nie będziesz wtedy spał. I nie będziesz miał wódki, żeby stłumić ból.

• • •

Veronica Sanson przytrzymała klapę i kiedy siostra wyszła ze zsypu u podnóża zachodniej ściany domu, stanęły obok siebie i rozejrzały się. Garaż był za nimi. Ulica po lewej, ale nie widziały jej zza rzędu krzaków, posadzonych blisko siebie, w starannie wybranych miejscach, żeby wyglądało to tak, jakby wyrosły tam same. Z biegiem lat zgęstniały tak bardzo, że nic nie było zza nich widać. Stworzyły doskonały parawan. Nieprzenikniony. Siostry stały na otwartym terenie, a mimo to ulicą mogłoby przejść tysiąc osób i żadna by ich nie dostrzegła. Podobnie po

prawej stronie. Tam też ciągnął się rząd krzaków, które na pierwszy rzut oka wyrosły tam spontanicznie, same z siebie, i które całkowicie zasłaniały widok na pozostałą część podwórza. Ktoś mógłby obserwować przez lornetkę tył domu, ale i tak nie miałby pojęcia, co się tam dzieje. Rosła tu sprężysta niska trawa. Chodziło się po niej prawie bezszelestnie i nie zostawiała na dole nogawek podejrzanych wilgotnych plam. Dalej był płot oddzielający działkę Pritcharda od sąsiedniej. Standardowy, wysoki na metr osiemdziesiąt, z deskami przybitymi pionowo do poprzeczek ciągnących się między mocnymi słupami. Podeszły do niego. Deski wydawały się równe, ale Roberta zauważyła pięć z dodatkowym rzędem gwoździ. Pchnęła środkową i dolna część wszystkich pięciu powędrowała do góry, tworząc przejście, którym mogłyby się bez trudu przeczołgać.

Podwórze sąsiada było utrzymane porządnie, lecz skromnie. Wyglądało tak, jakby należało do starszych ludzi, którzy chętnie płacili wnukowi lub jakiemuś studentowi za to, że od czasu do czasu do nich wpadał, by przyciąć drzewka i krzewy. Wszystko było zadbane, ale nie dostrzegły tam nowo zasadzonych roślin ani świeżych śladów grzebania w ziemi. Dom stał daleko, na końcu działki. Dużo dalej niż inne budynki w sąsiedztwie. Wolnostojący garaż. Co było dziwne, ponieważ wszystkie domy na ulicy miały przylegające do nich garaże. Siostry podeszły bliżej, do okna w bocznej ścianie, i zajrzały do środka. Garaż wydawał się pusty.

Obok okna były drzwi. Roberta położyła rękę na klamce, lecz Veronica chwyciła ją za ramię.

– Nie. – Wskazała górny róg okna. Pod kłębowskiem pajęczyn biegły dwa ledwo widoczne przewody. Element systemu bezpieczeństwa.

Roberta uwolniła rękę.

– Mogę się założyć, że są połączone z domem Pritcharda. Nie z policją. Ani z domem sąsiadów. To on musiał zbudować ten garaż. Pewnie płaci za

dzierżawę terenu pod nim albo jakoś im się rewanżuje.

– Nie wiadomo.

– Można to sprawdzić tylko w jeden sposób.

Nacisnęła klamkę. Drzwi nie ustąpiły. Były zamknięte na klucz. Roberta odwróciła się, zgięła kolano i uderzyła w nie nogą. Pękła drewniana futryna i drzwi otworzyły się na oścież. Nic nie zadzwoniło. Nic nie zawyło. W każdym razie nie w zasięgu słuchu. Roberta wpadła do środka.

– Chodź – rzuciła. – Tracimy czas. Tamci zaraz wrócą.

Okazało się, że garaż jest rzeczywiście pusty. Nie było tam stołu roboczego. Ani żadnych narzędzi. Nic nie stało w kątach. Nic nie leżało na krokwiach. Ale z kratownicy coś zwisało. Kabel elektryczny i szlauch. Kabel był gruby i solidny, zakończony mosiężną wtyczką i na całej długości pokryty ledwo widocznymi białymi napisami. Roberta przechyliła głowę.

– *Do pitnej wody* – przeczytała. – Musiał stać tu kamper.

Veronica wskazała podłogę. Cztery koła zostawiły ciemne ślady w miejscach, gdzie parkował pojazd. Miały duży rozstaw i szerokie opony.

– Tak. Ciężki. Maksymalnie załadowany. Pritchard prawdopodobnie od długiego czasu przygotowywał się do ucieczki.

Obeszły garaż i przystanąły przed drzwiami wychodzącymi na podjazd. Podjazdy pozostałych domów wysypano żwirem. Ten był z ubitej ziemi. Opony samochodu poruszałyby się po nim niemal bezszelestnie. Lekko opadał w kierunku ulicy, z dala od domu Pritcharda. Ciężki kamper mógłby się stąd stoczyć bez uruchamiania silnika i siłą rozpędu pokonać sporą odległość. Niemal doskonale zamaskowana droga ucieczki.

– Ten Pritchard zaczyna mi się podobać – powiedziała Veronica. – On i jego styl.

– Mnie też. Szkoda, że musimy nafaszerować go LSD i wypuścić na ulicę w godzinie szczytu.

– Jeśli go znajdziemy. Może być wszędzie.

– Mam pomysł. Będzie nam potrzebny telefon. I książka telefoniczna.

• • •

Reacher puścił Neilsena przodem. Uznał, że to sensowny środek ostrożności, zważywszy na ilość wódki, jaką ten wypił. Agent CIA wciąż poruszał się samodzielnie, choć niepewnie. Powoli stawiał nogi i przytrzymywał się ścian. Dotarł do stóp schodów bez upadku. Siergieja i tego drugiego już tam nie było. Na szczęście. Ich splątane kończyny mogłyby się okazać jedną przeszkodą za dużo.

Neilsen rozsunął kotarę, zachwiał się, odzyskał równowagę i ruszył do wyjścia. Reacher i Smith szli krok za nim. Na ich widok kelner stanął jak wryty z miną na wpół zaszokowaną, na wpół pełną podziwu. Neilsen parł do przodu, lawirując między stolikami, i w końcu wyszli na ulicę cali i zdrowi. Samochody zaparkowali za rogiem, w strefie dostawczej. I teraz obydwaj miały mandaty za wycieraczkami. Smith wyjęła je i wrzuciła do torebki.

– Zajmę się tym – mruknęła.

Agent minął ją, zmierzając do drzwi od strony kierowcy. Wyjął kluczyki, ale Reacher mu je zabrał.

– Hej! – Neilsen spojrzał na niego gniewnie. – Mogę prowadzić, nic mi nie jest.

– To, co myślisz, że możesz zrobić, i to, co zrobisz, to dwie różne rzeczy. Uciekaj. Wsiądź z drugiej strony.

Neilsen nie drgnął z miejsca.

– Albo idź piechotą – dodał Reacher. – Twój wybór.

• • •

Jechał za samochodem Smith w śródmiejskim ruchu. Agentka pędziła na złamanie karku. Musiał porządnie się napracować, żeby za nią nadążyć. Kiedy dojechał do hotelu, jej wóz stał już tam gdzie zwykle. Reacher zatrzymał się przed wejściem, nie gasząc silnika. Smith otworzyła drzwi, pochyliła się i rozpięła Neilsenowi pas.

– Hotel? – wybełkotał agent. – Dlaczego nie do biura? Mogę pracować, dam radę.

– Jeśli Baglin wezwie nas na odprawę i cię zobaczy, od razu się domyśli, że coś się dzieje – powiedział Reacher. – Chcesz tego?

Neilsen z trudem wysiadł.

– Dobra, posiedzę trochę w pokoju. Idziemy na kolację? O szóstej?

– Jasne. Odpocznij. I dzięki, że mnie tam wyręczyłeś. Musiało być ciężko.

– Błagam, przecież mnie znacie. I na pewno wiecie, jakie są dwa najpiękniejsze słowa w angielszczyźnie. *Free alcohol*. Nie mylić z *alcohol free*.

• • •

Reacher i Smith pojechali do biura dwoma samochodami, na wypadek gdyby Neilsen wpadł na genialny pomysł, żeby gdzieś się wybrać. Okazali dokumenty ochroniarzowi i rozstali się na korytarzu. Reacher poszedł do siebie. Przyszły trzy faksy. Wyjął je z urządzenia, wybrał jeden, a pozostałe rzucił na biurko. Przejrzał nazwiska. Potem wcisnął się w fotel i zadzwonił do Dowództwa Korpusu Wojsk Chemicznych w Fort McClellan. Telefon odebrano szybko, ale przez dwadzieścia minut przełączano go z miejsca na miejsce w nieudolnej próbie gry na zwłokę. Kiedy w końcu odłożył

słuchawkę, doszedł do wniosku, że udało mu się osiągnąć dwie rzeczy. Narobił trochę zamieszania, co musiało zdenerwować tych, którzy wiedzieli o Tyfonie. Ofensywnym odpowiedniku Projektu 192. Może nawet wywołało to lekką panikę. Jeśli tak, istniała szansa, że szybciej się odsłonią. Poza tym namierzył paru ludzi, którzy w latach sześćdziesiątych mieli styczność z Projektem 192 i którzy byli tak strasznymi dupkami, że nie miałyby wyrzutów sumienia, gdyby w razie czego Baglin wziął ich w obroty.

Jeszcze raz zadzwonił do brata i tym razem Joe odebrał.

– Reacher.

– Joe.

– Wszystko okej?

– Tak. A u ciebie?

– Też. Posłuchaj, mam coś. O Walshu. To fałszywe nazwisko. Gość długo działał pod przykrywką. Podobno było ciężko. Trochę go to pokieroszowało, poza tym ci, których infiltrował, wpadli na jego trop. Pewnie przydzielono go do was częściowo w ramach terapii, a częściowo dla kamuflażu. Ale z tego, co mówią, to porządny gość.

Pogadali jeszcze parę minut, głównie o muzyce. Potem Reacher się rozłączył, odchylił na oparcie fotela, zamknął oczy i wypełnił głowę bluesami Howlin' Wolfa. Po godzinie koncert przerwał dochodzący z kieszeni pisk pagera. Znowu go wzywano.

Kiedy wszedł do sali odpraw, Christopher Baglin już tam był. Zanim drzwi zdążyły się zamknąć, weszła Smith. Walsh siedział na końcu stołu, patrząc w okno, jakby od rana nie ruszał się z miejsca.

Reacher usiadł i powiedział:

– Nie musimy czekać na Neilsena. Źle się czuje. Pojechał do hotelu.

Baglin uniósł brwi.

– Jest coś nowego? – spytał.

Reacher podał mu kartkę z dwoma nazwiskami. Smith nie miała nic. Walsh też.

Człowiek z Departamentu Obrony złożył kartkę i schował ją do kieszeni.

– Dobrze, posłuchajcie. Wydarzyło się coś ważnego. Dziś rano poszukiwany przez nas człowiek wdarł się do domu ostatniego naukowca, Neville’a Pritcharda. Ominął naszą ochronę i wszedł do środka.

– Pritchard nie żyje? – zapytał Reacher.

– Nie. Nie było go tam. W domu czekało czterech agentów.

– Złapali sprawcę? Zabili?

– Nie. Próbowali go obezwładnić, ale bezskutecznie.

– Uciekł?

– Tak.

– Przyjrzeni mu się? Mamy jego rysopis?

– Częściowy. Ale najważniejsze jest co innego. To nie on, tylko ona. Kobieta. Dlatego musicie zmienić parametry poszukiwań.

Nikt się nie poruszył.

– Na co czekacie? – warknął Baglin. – Do roboty!

Smith wstała. Walsh też, niechętnie, chwilę później. Reacher wciąż siedział. Najświeższa wiadomość niczego nie zmieniała. Nigdy nie wykluczał kobiet z równania.

– Jedno pytanie – rzucił. – Czy Pritchard jest w areszcie ochronnym?

Baglin lekko się zawahał.

– Na razie nie.

– Czyli były próby jego zatrzymania.

– Tak.

– Gdzie teraz jest?

– Nie wiemy. Trudno go znaleźć. I w tym nasza jedyna nadzieja. Ta kobieta nie wiedziała, że zniknął, inaczej nie przyszłaby do jego domu. Więc nie wie też, gdzie jest. Co daje nam trochę czasu. Ale pewnie tylko trochę. Musimy ją znaleźć, zanim ona znajdzie jego. I zanim go zabije.

15

Spotkali się w holu o szóstej, zgodnie z umową. Poszli do tej samej knajpy co poprzednio i usiedli przy tym samym stole. Reacher i Smith zamówili piwo. Neilsen od razu zaczął od whisky.

– No co? – rzucił na widok ich min. – Myślicie, że lepiej zostać przy wódce?

Smith przyłożyła rękę do ucha.

– Co to? Ach, to twoja wątroba. Lepiej zostań przy wodzie.

Czekając na jedzenie, zapoznali go z wynikami popołudniowego spotkania. Kiedy kelnerka przyniosła zamówienie, Neilsen poprosił o kolejną whisky.

– Ukrywanie istnienia tajnej wytwórni gazu paralizującego jest silniejszym motywem niż ukrywanie wytwórni antidotum przeciwko broni biologicznej czy chemicznej – powiedział. – To podoba mi się dużo bardziej. Zadzwońłem dzisiaj w parę miejsc. Potrzasnąłem kilkoma drzewami. Zobaczymy, co z nich spadnie.

– Ja też – przyznał Reacher.

– Ta najnowsza informacja oznacza, że Pritchard musi być kluczem do ujawnienia prawdy o tym nielegalnym programie. Dlatego tylko jego chcieli zamknąć w areszcie ochronnym. Pewnie był bardziej szpiegiem niż naukowcem. Wtyczką CIA. Albo wojsk chemicznych. Ten, kto pociąga

teraz za sznurki, musiał wtedy kierować tym wszystkim. Bo gdyby sprawa się wydała, miałyby najwięcej do stracenia. Opinia publiczna jest dzisiaj tak nastawiona, że mogłoby mu to zniszczyć karierę. Cały jego dorobek.

– Ten, kto pociąga za sznurki, jest cynicznym sukinsynem – orzekł Reacher. – Mógł ich przymknąć, ale tego nie zrobił. Zostawił ich na pastwę losu, jak przynętę. Chciał dopaść sprawcę i próbował ich do tego wykorzystać, zanim zabójca dopadnie Pritcharda.

Neilsen powoli wypuścił powietrze.

– Okrutne. Nic dziwnego, że gość wdrapał się na samą górę.

– Tak, ale czegoś tu nie rozumiem – odezwała się Smith. – Spójrzcie na to z perspektywy tej morderczynie. Jeżeli Pritchard jest tą kluczową postacią, to dlaczego zostawiła go na koniec? Ja bym od niego zaczęła. Zdobyłabym potrzebne informacje. I przeszła do następnej fazy, do szantażowania czy kompromitowania władz. Nie musiałabym wtedy zabijać pozostałych. Zaoszczędziłabym sporo czasu. Uniknęłabym ryzyka.

Neilsen pociągnął solidny łyk whisky.

– Może celowo zostawiła go na koniec, żeby jeszcze bardziej go zestresować – powiedział. – Wtedy łatwiej poszedłby na współpracę.

– Możliwe.

– Albo na początku nie znała wszystkich nazwisk – spekulował agent. – Może musiała zacząć od dołu łańcuszka i posuwać się do góry, wyciągając je z każdej kolejnej ofiary.

Smith wzruszyła ramionami.

– Też możliwe – przyznała.

– Albo znała wszystkie nazwiska, ale nie wiedziała, które jest najważniejsze – powiedział Reacher. – I to, że Pritchard jest ostatni, to przypadek.

Pokręciła głową.

– Niemożliwe.

– Całkiem możliwe. To wersja paradoksu hazardzisty. Równie dobrze mogła wybrać go jako pierwszego czy trzeciego. Prawdopodobieństwo jest takie samo. I nie wzrasta po każdym pudle.

– Jesteś pewny, że to tak działa?

– Absolutnie. Ale to chyba nieistotne. Wciąż mam wrażenie, że tu chodzi o coś osobistego. Że ta kobieta chce zabić wszystkich z listy, że taki ma cel. Jeśli chce zabić całą siódmkę, kolejność nie ma znaczenia. A jeśli wie, że najważniejszy jest Pritchard, pozostawienie go na koniec ma sens, bo będzie najbardziej chroniony. Teraz ma doskonałą statystykę. Gdyby od niego zaczęła, mogłaby od razu wypaść z gry.

– Fakt – zgodził się z Reacherem Neilsen. – Ale to tylko teoria. Może chce ujawnić istnienie tego Tyfona. Może ogarnął ją morderczy szal. Ale bez względu na to, czy chce ich wszystkich wymordować, czy szuka jakiejś informacji, i tak zapoluje na Pritcharda. Musi. Dlatego my musimy zapolować na nią, żeby nie zwalili na nas winy za ewentualną wtopę.

– Nie. – Smith odstawiła szklanę. – Coś przeoczyłeś. Jeśli szuka informacji, wcale nie musi na niego polować. O Tyfonie wie ktoś jeszcze. Ktoś, kto podobno ma dowód. Zdjęcia. Źródło z drugiej ręki, ale niewykluczone, że dobre. Może nawet bardzo dobre.

– Flemming – powiedział Neilsen. – Ten dziennikarz.

– Zabójczyni może zmienić taktykę. I wziąć na muszkę jego.

– Pod warunkiem że o nim wie.

– My o nim wiemy, a siedzimy nad tym dopiero od dwóch dni. Jak długo zbierała informacje? Wiedziała całkiem sporo o naukowcach z Projektu Sto Dziewięćdziesiąt Dwa.

– Jutro do niego pojedziemy. Po porannej odprawie.

– Nie – powiedział Reacher. – Dziś wieczorem. Zaraz. Jutro może być za późno.

• • •

Pod adresem, który dostali od Sarbotskiego, na wąskiej działce między I-295 i Potomakiem, stał opuszczony budynek. Dwupiętrowy, zbudowany z dziwnie pomarańczowej cegły, miał też dziwnie nieregularny kształt. W jednym miejscu się wybrzuszał, w innym zapadał w sobie, co sugerowało, że zaprojektowano go w jakimś skomplikowanym, ukrytym celu. Miał wygryzione szczyty ścian, jak średniowieczny zamek rycerski. Wszystkie okna były zabite rdzewiejącą blachą, a działkę otaczało ogrodzenie, jakim robotnicy zabezpieczają miejsce budowy.

Smith zatrzymała się na końcu podjazdu, nie gasząc świateł i nie wyłączając silnika. Obok niej siedział Neilsen. Reacher pólleżał na tylnym siedzeniu.

– Co to jest? – rzucił agent. – Wygląda upiornie. Jak zakład dla obłąkanych z jakiegoś horroru. Brakuje tylko Jacka Nicholsona.

– Bo to chyba jest zakład dla obłąkanych – powiedziała Smith. – A raczej był. To część szpitala St Elizabeth's. Zamknięto ją w latach sześćdziesiątych. Część główna wciąż funkcjonuje. I ma złą sławę. To był jeden z pierwszych szpitali psychiatrycznych w kraju. Robiono tam same najgorsze rzeczy. Elektrowstrząsy. Wymuszone lobotomie. Testy serum prawdy podczas zimnej wojny. Zabiegi dzisiaj niedopuszczalne. Teraz działa na dużo mniejszą skalę. Krążą pogłoski, że mają go wkrótce zamknąć.

– Ciarki mnie przechodzą – mruknął Neilsen. – Jedźmy. Nic tu po nas. Kupimy bańkę benzyny, pudełko zapalek i odwiedzimy Sarbotskiego.

Smith przesunęła do przodu dźwignię zmiany biegów, ale nie zdążyła zdjąć nogi z hamulca.

– Zaczekaj – powstrzymał ją Reacher. Od pewnego czasu czuł mrowienie na karku. Była to instynktowna reakcja organizmu. Sygnał z gadziego mózgu. Z części, która włączała się tylko wtedy, kiedy ktoś go obserwował. Z doświadczenia wiedział, że nie wolno go lekceważyć. – Już tu jesteśmy. Co nam szkodzi zajrzeć?

Smith i Neilsen milczeli. Nawet się nie poruszyli.

– Dobra, zostańcie w samochodzie – rzucił. – Pójdę sam.

– Nie. – Smith wyłączyła silnik, wyjęła kluczyk ze stacyjki, zgasiła światło wewnątrz i otworzyła drzwi. – Idę z tobą. Tylko trzymajmy się razem, okej?

Neilsen namacał klamkę.

– Chyba będzie lepiej, jeśli ja też pójdę. Żeby mieć was na oku.

• • •

Reacher poprowadził ich wzdłuż ogrodzenia. Szedł powoli. Ciągłe patrząc to na ziemię, to na ściany i dach budynku. Wypatrując kabli, błysku metalu czy szkła. Nie dostrzegł niczego. Było za ciemno, żeby rozróżnić szczegóły. Ale niemal czuł obecność zwalistego budynku, jakby było to jakieś olbrzymie prehistoryczne stworzenie, żywe, lecz pogrążone we śnie.

Bez żadnego incydentu obeszlili cały teren i stanęli przed czymś, co musiało być głównym wejściem, podtrzymywanym przez zdobione kolumny olbrzymim portykiem, który miał chronić nowo przybyłych przed deszczem i słońcem. Reacher zbadał złącze między najbliższymi segmentami ogrodzenia. Pozostałe były spięte dwiema klamrami w kształcie skrzydeł motyla, ze śrubą pośrodku. Te dwa łączyła tylko jedna śruba i nie miała nakrętki. Nic jej nie trzymało. Wskazał cementową

podstawę, na której stały metalowe słupki ogrodzenia. Była zarysowana. Coś wyryło fragment łuku na jej chropowatej powierzchni. Wyjął śrubę, zdjął klamrę i podniósł słupek. Gdy pchnął, słupek się poruszył. Klamry przymocowane do sąsiednich segmentów działały jak zawiasy. Które nie piszczały. Ktoś musiał niedawno dobrze je naoliwić.

Przecisnął się przez szparę i ruszył w stronę portyku. Smith i Neilsen poszli za nim. Przystanęli przed podwójnymi drzwiami. Były wielkie, zrobione z ciemnego drewna, nabijane czarnymi metalowymi ćwiekami i podzielone na panele rzeźbione w misterne wzory. Choć teraz już zmatowiały i chropowate – lata zaniedbania i wilgoć zrobiły swoje, pomyślał Reacher – było widać, że jest to rzemiosło najwyższej próby.

Neilsen patrzył na kłódkę spinającą ich skrzydła. Była wielka. Zaprojektowana tak, by emanować wytrzymałością i zniechęcać intruzów do prób wtargnięcia. Wielka, lecz stara. Pewnie od lat nieotwierana. Agent pokręcił głową i odwrócił się, żeby odejść. Reacher złapał go za ramię.

– Co ty robisz? – syknął Neilsen. – To solidne bydlę. Nic jej nie ruszy. Szkoda czasu.

– Nie musimy jej otwierać. Nie tędy się tam wchodzi i stamtąd wychodzi. Pomyśl. Nie otworzysz kłódki od wewnątrz.

Reacher kucnął i przyjrzał się dolnym panelom drzwi. W najgorszym stanie były te na samym dole, pewnie od rozbryzgów kropel deszczu. Dlatego skupił uwagę na następnym rzędzie. Nacisnął jeden z paneli i ten ani drgnął. Sąsiedni też. Ale trzeci minimalnie ustąpił. Reacher nacisnął przeciwległą krawędź i panel odskoczył do wewnątrz, chyba na sprężynie. Powstał prostokątny otwór o wymiarach piętnaście centymetrów na dwadzieścia. Reacher włożył tam rękę. Po drugiej stronie drzwi były nierówne i wyprofilowane. Tam też są rzeźbione, uznał. Nagle musnął palcami coś gładkiego, prostego i wąskiego. Małą deskę. Pchnął ją,

pociągnął, przekręcił i odpadła. Wtedy wyjął rękę i nacisnął sąsiedni panel. Tym razem otworzył się do wewnątrz cały kwadrat. Dziewięć paneli na dziewięć. Jak malutkie drzwiczki w wielkich drzwiach.

Długo wił się, wyginał i wciskał, ale w końcu udało mu się przejść przez otwór. Stojąc po drugiej stronie, badał stopami grunt i wyciągał ręce w czarną pustkę. Dołączyła do niego Smith. Potem Neilsen. Wszyscy zastygli bez ruchu i czekali, aż wzrok przywyknie do ciemności. Po chwili z gęstego mroku wyłoniło się kilka szczegółów. Podłoga była wyłożona czarno-białymi płytkami pokrytymi grubą warstwą kurzu. Biegący wokół wysokiego sufitu gzyms obrósł brudem i pajęczynami. Tu i ówdzie ze ścian zwisały kawały tynku. Kilkanaście metrów dalej majaczył zarys jakiegoś mebla. Kontuaru recepcji?

– Zamknijcie oczy – powiedziała Smith.

Reacher usłyszał szelest, a potem ciche kliknięcie. Otworzył jedno oko. Smith miała w ręce małą latarkę. Zwęziła snop światła do cienkiego promienia i przesuwiała nim wokoło. Na środku sufitu wisiał żyrandol. Po lewej i prawej były podwójne drzwi, a kilkanaście metrów przed nimi szklana ściana, niemal czarna od brudu. Miał wrażenie, że znalazł się nagle w luksusowym hotelu, który popadł w ruinę. Że zobaczy zaraz boyów hotelowych pchających wózki pełne eleganckich walizek, wystrojonych gości przechodzących z jadalni do sali balowej czy do rozciągającego się za drzwiami ogrodu francuskiego. Wiedział jednak, że rzeczywistość mocno odstawała od tego obrazu. Że niektórych przymuszano do życia w tym przybytku. Jeśli Smith czegoś nie pokręciła, w kraju niewiele było miejsc gorszych od tego.

Agentka poświeciła na podłogę. Widniały tam ślady stóp, tak liczne, że wytyczyły ścieżkę w kurzu. Smith ruszyła przed siebie.

– Stój! – rzucił Reacher.

Za późno. Tuż przedtem zauważył małą przerwę w rzędzie śladów. Wąski kawałek podłogi, na którym ich nie było. Mogło to znaczyć tylko jedno. Tuż nad podłogą biegł drut aktywujący jakąś pułapkę. Który już sekundę później ukazał się w świetle latarki. Bezbarwny, cienki jak włos, przecinał wszerz całe pomieszczenie. Smith zawadziła o niego prawą nogą. Hol natychmiast zalało płynące z góry światło. Nie było ostre i jaskrawe jak na filmach. Nie oślepiło ich. Ani ich, ani mężczyzny, który wyszedł zza drzwi po prawej stronie. Miał może metr osiemdziesiąt wzrostu, ale był przygarbiony. Bardzo blady, z długimi, cienkimi siwymi włosami zwisającymi beładnie po obu stronach twarzy. Był na bosaka. W szerokich dzwonach. I w jasnej koszuli w tureckie wzory z wydłużonym kołnierzykiem. W rękach trzymał strzelbę. Starą. Winchester model 97. Wymiatacz okopów, jak nazywali ją żołnierze piechoty podczas pierwszej wojny światowej. Celował w Smith, ale Reacher i Neilsen stali tuż za nią, więc gdyby pociągnął za spust, ich też rozerwałoby na strzępy.

16

– Ani kroku – rozkazał. – Kim jesteście? Dlaczego włamaliście się do mojego domu?

Reacher zaczął przesuwać się powoli w prawo. Chciał stanąć jak najdalej od Smith i Neilsena. Nie odrywając wzroku od spoczywającego na spuście palca, podniósł rękę na wysokość ramion.

– Szukamy Spencera Flemminga. To ty?

– Powiedziałem: ani kroku. Czego tu chcecie?

– Nazywasz się Flemming?

– A kto pyta?

– Jack Reacher.

– Jesteś z policji? Z FBI? Z CIA? Skąd?

– Jestem wojskowym.

– Serio?

– Serio. W kieszeni mam legitymację. – Reacher zaczął powoli opuszczać rękę.

– Nie. Nie ruszaj się. Co tu robi wojsko? Nie macie prawa działać na terenie kraju.

– Przyszliśmy ci pomóc. Jeśli nazywasz się Spencer Flemming.

Mężczyzna milczał.

– Daj spokój – rzucił Reacher. – Co ci szkodzi powiedzieć? Przecież masz broń. No więc? Nazywasz się Flemming?

Mężczyzna skinął głową. Tak lekko, że prawie niezauważalnie.

– Może.

– Jeśli tak, grozi ci niebezpieczeństwo. Ktoś chce cię zabić. Próbuje go powstrzymać.

– Zabić? Mnie? Niemożliwe. Najpierw musiałby mnie znaleźć. Nikt nie wie, że tu mieszkam.

– My wiemy.

– Tak. – Flemming uniósł wyżej broń. – Wiecie. Skąd?

– Od twojego znajomego. Maksima Sarbotskiego.

Siwowłosa mężczyzna milczał przez chwilę, a potem spytał:

– Od kogo?

– Od Maksima Sarbotskiego. Twierdzi, że jesteś dziennikarzem.

– A, od niego. Tego niskiego, chudego Albańczyka. Przypomnisz mi, na którym ramieniu ma tatuaż?

– On jest Rosjaninem. Nie widzieliśmy jego ramion. I nie jest niski i chudy. Jest wielki jak zapaśnik.

– Używa teraz francuskiego nazwiska. Jakiego?

– Angielskiego. Niby. Książę Sarb. Ale wątpię, czy ktoś bierze go na poważnie.

– Dobra, mów dalej. Dlaczego ktoś chce mnie zabić? I co was to obchodzi?

– Projekt Tyfon...

– Co o nim wiecie?

– Niewiele. Dlatego nas obchodzi. I dlatego tu przyszliśmy. Chcemy, żebyś nam o nim opowiedział. Pomoże nam to powstrzymać tych, którzy na

ciebie polują. Ale jeśli nie chcesz pomocy, twoja wola. Nie będziemy zawracali ci głowy i wyjdziemy. A od jutra zaczniemy wypatrywać twojego nazwiska w dziale nekrologów.

Flemming milczał.

Reacher opuścił ręce i odwrócił się.

– Dobra, jak chcesz. Na razie. Ale powinieneś wiedzieć, że ten, o którym mówimy, zabił już pięć osób.

– Przypadkowych? – spytał Fleming.

– Nie, starannie wybranych. Naukowców, którzy pracowali nad tym projektem.

– Więc dlaczego miałbym się martwić? Nie jestem naukowcem. I nie brałem udziału w żadnym projekcie.

– Morderca szuka informacji o Tyfonie. Jedyne pozostałe przy życiu naukowce zaginęły. Teraz wiesz o nim tylko ty. Śmiało. Dodaj dwa do dwóch.

Flemming zrobił krok do tyłu.

– Nie wyjdę stąd – oświadczył. – Nie będę uciekał. Ani się ukrywał.

– Pomóż nam i nie będziesz musiał.

– Skąd mam wiedzieć, czy to nie pułapka?

– Niby jaka?

– Mieszkam tu od dwudziestu dwóch lat. Wiesz dlaczego?

– Lubisz ekscentryczny wystrój wnętrz?

– Bo napisałem artykuł o Projekcie Sto Dziewięćdziesiąt Dwa. Na przełomie sześćdziesiątego dziewiątego i siedemdziesiątego roku. Byłem wtedy reporterem. Cholernie dobrym. Ten artykuł to był dynamit. Najlepszy tekst, jaki kiedykolwiek rzuciłem na papier. Sprawdzony i dopieszczony, za dwa dni miał iść do druku. Szykowaliśmy się na wielką sensację. Na

wstrząs, jaki wywoła. Cały w skowronkach wracałem z randki do domu, marząc o awansie, Pulitzerze i o umowach na książkę. Przed domem zobaczyłem furgonetkę. Niebieskiego forda. Wtedy nie zwróciłem na niego uwagi. Ale pamiętam go do dziś. Tak jak zapach kaptura, który narzucili mi na głowę. Cały świat szerniał. I był czarny przez całe wieki, choć tak naprawdę tylko przez trzy dni. Najpierw wrzucili mnie do furgonetki. Potem wpełnęli do jakiegoś małego pomieszczenia. Nie wiem, gdzie mnie zawieźli. Do jakiejś zimnej nory. Ze ścianami i podłogą z betonu. Bez łóżka. Bez krzesła. Bez toalety. Nie dawali mi jeść. Rzadko kiedy przynosili wodę do picia. W końcu zapaliło się światło. Omal nie oślepiłem. Wszedł jakiś facet. On stał. Ja leżałem na podłodze. Nie mogłem się poruszyć. Dał mi wybór. Albo przekażę im wszystkie notatki, szkice artykułów i zdjęcia i nikomu nie powiem, co wiem, albo resztę życia spędzę w celi takiej jak ta. W ciemności. W zimnie. I w samotności.

– To Sarbotski pomógł ci z tym artykułem?

– Między innymi on. Myślał, że mnie wykorzystuje. A ja myślałem, że wykorzystuję jego. A jak było naprawdę? Pewnie wykorzystywaliśmy się nawzajem. Ale nigdy nie puściłem do druku niczego niezgodnego z prawdą. Trzy razy sprawdzałem każdy szczegół. Nie byłem ruskim szpiegiem. Nie jestem zdrajcą.

– Więc dałeś temu facetowi z celi, czego chciał, a potem przyszedłeś tutaj?

– Dałem mu wszystko, od razu. Ale nie od razu się ukryłem. Próbowałem wrócić do pracy. Tylko że nic z tego nie wyszło. Powiedział, że będą mnie obserwować. I jeśli zacznę sprawiać kłopoty, wtykać nos w nie swoje sprawy, jeśli w jakikolwiek sposób zwrócę na siebie uwagę, zerwą umowę. Zatrzymają dla mnie tę celę, na wszelki wypadek. Że na drzwiach wisi już tabliczka z moim nazwiskiem. Będę szczery.

Wystraszyłem się. Nie mogłem nic napisać, nie zastanawiając się nad tym, czy ktoś źle tego nie zinterpretuje. Na ulicy dostawałem ataku serca na widok każdej furgonetki parkującej przy krawężniku. W końcu uznałem, że najlepiej będzie zniknąć.

– Myślisz, że przyszedliśmy na przeszpiegi. Żeby sprawdzić, czy znowu nie narozrabiasz.

– Kiedy ktoś zjawia się nagle w moim życiu, zawsze chce mi zaszkodzić, a nie pomóc. Dlaczego tym razem miałyby być inaczej?

– A gdyby ktoś za nas poręczył?

– Kto?

– Sarbotski. Znasz go. On już dogadał się z rządem. Dostał to, czego chciał. Wydając cię, nic by nie zyskał.

Flemming myślał przez chwilę.

– Dobrze. To mogłoby wypalić.

– Zawieziemy cię do niego. Pogadacie. A potem przywieziemy cię tu z powrotem.

– Nigdzie stąd nie wyjdę. Już mówiłem. Zadzwonimy do niego.

– Jak?

Flemming wskazał drzwi w szklanej ścianie na końcu holu.

– Idźcie przodem. I nie próbujcie żadnych sztuczek.

• • •

Drzwi wychodziły na kwadratowe patio z czterech stron otoczone ścianami budynku. W jednej ze ścian była duża brama, teraz zabarykadowana starymi oponami. Kiedyś wjeżdżały nią pewnie samochody dostawcze, a wpadające na patio słońce rozświetlało wnętrze oddziałów szpitala. Mogli tu ćwiczyć pacjenci. Może przed laty był tu

ogród ze ścieżkami i ławkami. Starannie utrzymany. Ale teraz nie rosło tu nic oprócz chwastów wyglądających spod kawałków gruzu. Środkowa część patio była pusta. Pod trzema upstrzonymi graffiti ścianami nic nie stało. Ale pod zachodnią stały trzy przyczepy turystyczne pokryte aluminiowym poszyciem, teraz zmatowiałym, ale kiedyś zapewne błyszczącym.

Flemming wskazał tę po lewej.

– To moje biuro. W środkowej przyczepie jest salon. W tej po prawej sypialnia.

Otworzył drzwi. Włożył do środka rękę i zapalił światło. Kazał im wejść. Przy oknie stało biurko. Funkcjonalne, na metalowej ramie i z płaskim drewnianym blatem. Przy biurku stare krzesło na kółkach z porwanym w wielu miejscach obiciem, spod którego wystawały kępy brudnego pomarańczowego wypełniacza. I skórzany fotel w niewiele lepszym stanie. Pozostałą część przyczepy zajmowały półki. Chyba własnej roboty. Zapchane książkami, teczkami, plikami papieru i stertami czasopism. Na jednej ścianie wisiały oprawione w ramki dyplomy. Nagrody. Kopie artykułów. I jedno zdjęcie. Przedstawiało dużo młodszego Flemminga, szczuplejszego i o ciemnobrązowych włosach. W łodzi na rzece płynącej przez dżunglę. Chyba w Wietnamie.

Reacher wskazał plik papierów leżących na biurku.

– Wciąż pracujesz?

Flemming wzruszył ramionami.

– Przynajmniej mam jakieś zajęcie. Już nie piszę. Nie pod swoim nazwiskiem. To zbyt ryzykowne. Ale pomagam znajomym. Szukam materiałów. Adiustuję teksty. I takie tam. – Przesunął papiery, wygrzebał telefon i podniósł słuchawkę.

– To działa? – spytała Smith.

– Myślisz, że będę udawał, że z nim rozmawiam? Oczywiście, że działa. Tu wszystko działa. Gdybyś spędziła tyle czasu w tylu krajach co ja, też byłabyś dobra w pożyczaniu różnych rzeczy. Stąd trochę wody i prądu, stamtąd trochę telefonii. Pozostałe przyczepy też są podłączone.

Nie odkładając strzelby, wetknął słuchawkę między ramię i policzek i wybrał numer z pamięci. Reacher usłyszał powolny, leniwy sygnał. A potem głęboki, dudniący głos. Nie rozumiał słów.

– Przepraszam, stary – zaczął Flemming. – Tak, wiem, która jest godzina. Ale to pilne. Są tu dwaj faceci i kobieta, którzy mówią, że ich do mnie przysłałeś. – Opisał Reachera, Smith i Neilsena, potem słuchał przez chwilę i w końcu rzucił: – Dzięki, dam ci znać.

Odłożył słuchawkę na widełki i uniósł strzelbę. Przyłożył kolbę do ramienia i wycelował w Reachera.

– Sarbotski was nie zna.

– Zadzwoń jeszcze raz. Przypomnij mu o pożarze. Powiedziałem mu dokładnie, gdzie będzie, kiedy wybuchnie ogień.

Flemming opuścił broń i przez jego twarz przemknął cień uśmiechu.

– Powiedział, że jeśli tak odpowiesz, jesteście w porządku. Co chcecie wiedzieć?

Reacher podszedł do niego.

– Czy to prawda, że istniał program równoległy do Sto Dziewięćdziesiąt Dwa? Nastawiony na stworzenie ofensywnej broni biologicznej? Projekt Tyfon?

– Tak. Jak najbardziej. Ale tę nazwę wymyśliło KGB. Oficjalnie nigdy jej nie używano.

– Skąd o nim wiesz?

– Z badań. Kiedyś byłem w tym dobry. Włożyłem w to od groma pracy. Tutaj i w Indiach. Z badań i faktów, które udało mi się ze sobą skojarzyć.

Chemikalia i sprzęt, który tam wysyłano. Kombinezony ochronne. Środki bezpieczeństwa, jakie stosowano. Skrawki informacji od techników i sprzątaczy. To wszystko bardzo mi pomogło. Ale przełomem były zwłoki.

– Ktoś tam zginął?

Flemming kiwnął głową.

– Niestety.

– Eksperymentowano na nich?

– Nie. Doszło do wypadku. Do wycieku. Pewnej nocy w grudniu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego.

– Do wypadku? Na pewno? Bo kiedy słyszę o wypadku i wiem, że kręcili się tam ludzie z CIA, strzałka mojego miernika bredni od razu wychodzi poza skalę. Bez urazy, Neilsen.

– Nie ma sprawy – powiedział agent. – Pomyślałem o tym samym.

Flemming zmarszczył czoło.

– Poprawka. Źle to tłumaczę. Wypadek był wynikiem sabotażu. Na sto procent. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Sabotażu wymierzonego w Mason Chemical Industries. Cywilną korporację, przykrywkę dla tajnej operacji naszego rządu. Sabotażystą okazał się niezadowolony pracownik. Niejaki Morgan Sanson. Nie miał pojęcia, że Projekt Sto Dziewięćdziesiąt Dwa w ogóle istnieje. Nie mówiąc już o projekcie równoległym, tym od ofensywnej broni biologicznej. To był zupełny przypadek.

– Dobrze, więc jak do tego doszło?

– To naprawdę smutna historia. Sanson miał na co narzekać. Marna pensja. Kiepskie warunki pracy. Zbyt krótki urlop. Brak możliwości awansu. Nikt z kierownictwa nie chciał z nim gadać. Nie było związków zawodowych i nie miał żadnego wsparcia. Więc wpadł na genialny pomysł, żeby zepsuć jakiś sprzęt. Żeby firma musiała zabulić. I dostrzec problemy pracowników. Pewnej nocy zamknął dopływ wody do systemu

chłodzącego. Myślał, że to nic takiego. Tymczasem system chłodzący był krytyczny dla Projektu Sto Dziewięćdziesiąt Dwa i Tyfona, ale oczywiście nie wywieszono tablic, które by o tym informowały. Ani nie zamieszczono żadnej wzmianki w instrukcji obsługi. Wzrost temperatury doprowadził do wzrostu ciśnienia w zbiorniku magazynowym, tak że wybuchł, uwalniając zgromadzony tam gaz. Zginęło mnóstwo ludzi. Cywili. Okolicznych mieszkańców. Potwornie to wyglądało. Byłem tam. Zrobiłem zdjęcia.

– O ilu ofiarach mówimy?

Flemming podniósł palec.

– I tu robi się ciekawie.

Podszedł do półki i patrzył przez chwilę na leżące tam papiery. Potem zdjął z niej segregator, zdmuchnął kurz, przerzucił kilka kartek, znalazł to, czego szukał, i podał segregator Reacherowi.

Smith i Neilsen podeszli bliżej i we troje przeczytali wycięty z gazety artykuł opublikowany w „New York Timesie” trzynastego stycznia 1970 roku. W plastikowej koszulce papier wydawał się cienki, żółty i kruchy. Na górze strony widniało zdjęcie kobiety w fartuchu laboratoryjnym. Miała związane z tyłu włosy. Była w okularach. Wyglądała młodo, poważnie i ładnie. Tekst wokół zdjęcia mówił mniej więcej to samo co Flemming. Roszczeniowy pracownik. Wandalizm. Wyciek gazu. Eksperymentalnego środka dezynfekującego, który po oficjalnym zatwierdzeniu przez stosowne władze miał pomóc ludziom żyjącym w złych warunkach. Autor wspomniał o siedmiu ofiarach i nadmienił, że byłoby ich znacznie więcej, gdyby nie natychmiastowa reakcja ekip ratowniczych. Drugie zdjęcie przedstawiało ciała ofiar. Leżały na łące, w wysokiej trawie, wśród kwiatów. W czystych pastelowych ubraniach. Miały spokojne twarze. Niemal błogie. Jakby ludzie ci wrócili do domu po przechadzce wśród zielonych drzew i postanowili się zdrzemnąć w popołudniowym słońcu.

Reacher spojrzał na Smith i Neilsena. Nie tego się spodziewał. Po ich minach poznał, że oni też są zaskoczeni. I to wcale nie pozytywnie. Poczuł, że ziemia poruszyła mu się pod stopami. Artykuł opowiadał o tragedii, owszem. Ale w skali wartości szokowej o tragedii stosunkowo niewielkiej. Takiej, która nie mogła być raczej motywem do wielokrotnego zabójstwa. Ich teoria zaczynała się chwiać.

Flemming zamknął segregator.

– To ukazało się w „Timesie”. Ja napisałem co innego. – Zdjął z półki drugi segregator i podał go Reacherowi. – To jest mój artykuł. Tylko pamiętajcie, że oficjalnie go nie mam. Przysiągłem, że oddałem im wszystko. Nie możecie nikomu powiedzieć, że go widzieliście.

W tym segregatorze nie było wycinka z gazety. Był tekst napisany na maszynie, z podwójną interlinią. Pod pewnym względem opowiadał podobną historię. Sabotażysta. Wyciek gazu. Śmiertelne ofiary wśród cywili. Ale pod innymi względami bardzo się różnił. Opowiadał o tajnych badaniach rządowych. O CIA. O gazach paraliżujących. O ogarniętym paniką szefostwie Mason Chemical, której groziła katastrofa wizerunkowa. I o tuszowaniu faktów. Najbardziej dramatyczna rozbieżność dotyczyła jednak liczby ofiar. Ta wersja wydarzeń nie mówiła o siedmiu. Mówiła, że ofiar było o cały tysiąc więcej.

– Przewróćcie kartkę – powiedział Fleming, poznając po ich minach, że skończyli czytać. – Chyba że macie słabe żołądki.

W następnej plastikowej koszulce tkwiło zdjęcie. Dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów. Kolorowe, dużo ostrzejsze niż to w gazecie. I nie pokazywało łąki, tylko nagą ziemię. Bez kwiatów. Bez roślin. Bez niczego żywego. Leżały na niej tylko kamienie i trupy. Zdjęcie zrobiono w szerokim ujęciu, żeby pokazać skalę tragedii: olbrzymi plac wypełniony

groteskowo powykęcany, zniekształconymi ciałami, jakby ofiary umierały w konwulsjach, w niewyobrażalnej agonii.

– Dalej – rzucił Flemming.

Kolejna koszulka i kolejne zdjęcie. Zbliżenie twarzy jednej z ofiar. Kobiety. Miała mocno zamknięte oczy. Napiętą skórę na policzkach. Usta rozwarte w wiecznym krzyku. Czerwonawe plamy na ciele.

– Dalej.

Zdjęć było w sumie trzydzieści sześć. Wszystkie przedstawiały zwłoki. Jedne leżały oddzielnie. Inne były ze sobą splątane. Nie ulegało wątpliwości, że ci ludzie zginęli w straszliwych męczarniach.

– Koszmar – odezwała się Smith. – Po prostu koszmar. Nic dziwnego, że rząd tak bardzo nie chce, żeby ta historia wyszła na jaw. Co nie usprawiedliwia tego, co ci zrobili.

– Dziękuję. – Flemming zamknął segregator i odłożył go na półkę.

– Chciałbym dowiedzieć się czegoś o tym sabotażyście – powiedział Reacher. – O Sansonie.

– Wiem niewiele więcej. Był naukowcem. Sfrustrowanym pracą, ale z tego, co ludzie mówią, zadowolonym z życia. Był żonaty. Żona miała na imię... chyba Alisha. Dorobili się czterech synów. Robbiego, Ronniego, Ritchiego i... Jak miał na imię czwarty? Ryan? Nie pamiętam.

– Co się z nim stało po wypadku?

– Prasa go ukrzyżowała. O roli, jaką odegrał, dowiedziano się dopiero po paru dniach i rozpętało się piekło. Chociaż myślano wtedy, że odpowiadał za śmierć tylko siedmiu osób. Nie wiem, może dlatego, że tak go oczerniano, a może dlatego, że znał prawdziwą liczbę ofiar i nie mógł tego znieść, w każdym razie dwa tygodnie później, już w Stanach, tuż przed Bożym Narodzeniem, popełnił samobójstwo.

– Kiedy słyszę o samobójstwie i CIA...

– Wiem, wiem. Ale nie, CIA nie miała z tym nic wspólnego. Sprawdziłem to dokładnie, szukając materiałów do artykułu. Poza tym to nie miałyby sensu. Wykoleiliby swój własny projekt. Być może Sanson znał prawdziwą liczbę ofiar, ale ja też ją znałem. I moja wydawczyni. A mnie nie zabili. Jej też nie.

– Czy to mogła być robota KGB?

– Wykluczone – odparła Smith. – KGB jest lojalne wobec swoich agentów. Gdyby któryś udaremnił ważny amerykański projekt zbrojeniowy, wywieźliby go do Moskwy i zrobili z niego bohatera. Daliby mu medal. Może nieco większe mieszkanie z nieco mniej przygnębiającym widokiem. Tak, Sanson wciąż mógłby się zabić, ale nie w Stanach i nie z tego powodu.

– A te ofiary? – spytał Reacher. – Znamy ich tożsamość?

Flemming pokręcił głową.

– I nigdy nie poznamy. Minęło za dużo czasu. Indie są za daleko stąd. Prowadzenie dokładnej ewidencji nie leżało w interesie Mason Chemical. A już na pewno nie w interesie CIA. Ani wojska. Poza tym rodzinom ofiar zapłacono za milczenie, więc nic by z tego nie wyszło.

– A świadkowie? Tysiąc ciał trudno jest ukryć.

– Ukryć? Myślisz jak typowy Amerykanin czy Europejczyk. Mówimy o kraju, gdzie głód regularnie zabija miliony ludzi. Gdzie duża część mieszkańców wierzy w przeznaczenie. A gdyby ktoś zaczął węszyć czy rozrabiać, zawsze są stare, dobre łapówki.

– Nie daje mi spokoju coś jeszcze – powiedział Reacher. – Ta kobieta ze zdjęcia w „Timesie”. Nie zauważyłem nazwiska. Dlaczego wydaje mi się znajoma?

– To jest młodziutka Susan Kasluga. Dostała tam pracę zaraz po college’u.

– Susan Kasluga, żona Charlesa Stomorana? Sekretarza obrony?

– Tak jest. – Flemming kiwnął głową. – Po tym wypadku wróciła do Stanów, rzuciła pracę w Mason Chemical i założyła AmeriChem Incorporated. Rozkręciła ją do jednej z największych firm na świecie. Wciąż tam pracuje. Jest dyrektorem generalnym.

– Czy ktoś jeszcze uważa, że to dziwne?

– Dlaczego?

– Stamoran powołał specjalny zespół operacyjny, żeby prawda o Projekcie Sto Dziewięćdziesiąt Dwa nie wyszła na jaw, a teraz okazuje się, że brała w nim udział jego żona? To działanie w interesie własnym. Co najmniej.

– Ale Kasługa nie uczestniczyła w Projekcie Sto Dziewięćdziesiąt Dwa – odparł Flemming. – Ani w Tyfonie. Pracowała w Mason Chemical, w czysto cywilnej firmie. Badania nad bronią biologiczną i badania cywilne nieuchronnie się ze sobą zazębiały i rząd wykorzystywał to do ukrycia tych tajnych. Nie wiedział o nich żaden pracownik Mason Chemical. Spójrz tylko na Sansona.

– Jej zdjęcie było w gazecie. Musiała brać udział w tuszowaniu sprawy.

– Nie wierz wszystkiemu, co piszą w gazetach. Sprawdziłem to, zbierając materiały do artykułu. Wszyscy mówili to samo. Były lata sześćdziesiąte. A ona była młodą kobietą zaraz po studiach. Nikt nie wpuściłby jej do tajnego laboratorium, chyba że miałyby tam posprzątać. Gdyby nie potrzebowali ładnej twarzy do zdjęć w prasie, nikt by o niej nawet nie wspomniał. Pierwotnie chciano ją przedstawić jako aktywną uczestniczkę akcji ratunkowej. Ale zanim ta wersja trafiła do druku, Kasługa była już tylko gadającą głową. Z Projektem Sto Dziewięćdziesiąt Dwa czy z Tyfonem miała tyle samo wspólnego co ofiary, których zdjęcia zamieszczono w „Timesie”, z tymi prawdziwymi. Zaczekajcie. Coś wam pokażę.

Flemming znów podszedł do półek i poszperał w stercie dużych kopert. Wyjął leżącą prawie na samym dole, wyrzucił na biurko jej zawartość i wybrał kartkę z jakimś schematem blokowym.

– To jest schemat organizacyjny, który zrobiłem, pisząc artykuł o fabryce chemicznej na Sri Lance. Układ był taki sam jak w Indiach. Cywilna fasada i tajne laboratorium rządowe. Laboratorium miało dwa zadania. Stworzyć antidotum na sowiecką broń biologiczną. I opracować własną. Miejscowy kontroler koordynował prace i meldował o wszystkim swojemu kontrolerowi w Stanach. Ponieważ w tym przypadku nie doszło do wycieku i nie było tysiąca ofiar, artykuł poszedł w ką, bo ciekawszy okazał się Program Sto Dziewięćdziesiąt Dwa i Tyfon.

Reacher przyjrzał się schematowi. Nazwiska naukowców były inne, co go nie zaskoczyło. Ale okienko przeznaczone dla szefa programu było puste. Nieopatrzone nazwiskiem. Ani rangą. Ani stanowiskiem.

Długo takie nie pozostanie, pomyślał.

17

Jego trzeci dzień w Waszyngtonie zaczął się prawie tak samo jak dwa poprzednie. Wziął prysznic, ubrał się, zjadł szybko śniadanie, wziął kawę na wynos i udał się do biura. Tego dnia postanowił pójść piechotą. Kiepsko spał i liczył na to, że trochę ruchu, kofeina i coś, co uchodziło w stolicy za świeże powietrze, postawią go na nogi. Przez całą noc myślał o tym, co usłyszał od Flemminga, i prześladował go stworzony przez wyobraźnię obraz mężczyzny skradającego się płochliwie w cieniu skomplikowanej maszyny. Mężczyzna zamyka zawór albo zakręca kran. Chce zwrócić na coś uwagę. Nie chce zrobić nikomu krzywdy. A rano budzi go wiadomość, że zabił tysiąc niewinnych osób. A teraz, dziesiątki lat później, na drugim końcu świata ginie pięciu naukowców. To musiała być część tego samego obrazu, tylko czegoś w niej brakowało. Reacher był tego pewny. Czuł, że ma przed sobą wszystkie elementy układanki, lecz niektórych nie dostrzega. Jakby patrzył na odległą panoramę przez całun wystrzępionej mgły. Wiedział, że mgła opadnie i wszystko nabierze ostrości. Ale nie mógł tego przyspieszyć. Tak mówiło doświadczenie. Co jednak nie znaczyło, że był z tego zadowolony.

• • •

Christopher Baglin zaczął odprawę od ogłoszenia.

– Posłuchajcie. Agenci, którzy brali udział w nieudanej akcji w domu Neville’a Pritcharda, wyszli w końcu ze szpitala i złożyli zeznania. Mamy nowe ważne informacje. Zabójczyni nie działa sama. Ma partnerkę albo współpracowniczkę. Kobieta. Ta druga prowadziła skradzioną furgonetkę UPS, którą podrzuciła zabójczynię przed garaż Pritcharda. Potem zablokowała obserwatorom widok, a wtedy zabójczyni wdarła się do domu. Przypuszczamy, że pomogła jej też w ucieczce. Na razie nie jest jasne, czy brała również udział w innych morderstwach, ale zdziwiłbym się, gdyby tak nie było. Wyraźnie widać, że dobrze się rozumieją. Nie wiemy dokładnie, co je łączy, ale ponieważ informacja jest ważna, będziecie musieli znowu zmodyfikować parametry poszukiwań. Pomoże nam to znacznie zawęzić pole działania.

– Niestety, nie w przypadku wojska – powiedział Reacher. – W tym czasie z koszar nie oddaliła się samowolnie ani jedna żołnierka, więc to bez różnicy, czy będziemy szukali jednej, czy dwóch. Poza tym nie znalazłem ani jednej z odpowiednim doświadczeniem czy wyszkoleniem, która byłaby jednocześnie krewną czy żoną kogoś, kto w latach sześćdziesiątych pracował przy Projekcie Sto Dziewięćdziesiąt Dwa.

– U mnie tak samo – odezwał się Neilsen. – Z punktu widzenia Agencji jesteśmy w ślepym zaułku.

Nikt więcej się nie odezwał.

– Smith? – rzucił Baglin.

– Mamy kilka osób na radarze, ale jak na razie nic się nie dzieje – odparła agentka. – Jest możliwe, że obudził się jakiś śpioch albo para śpiochów, o których wcześniej nie wiedzieliśmy. Możliwe też, że Sowieci zwerbowali kogoś nowego, zupełnie czystego. Ale według mnie obydwa scenariusze są mało prawdopodobne.

Baglin kiwnął głową.

– Walsh, jest sens pana pytać?

Walsh oderwał wzrok od okna.

– Żadnego – odparł. Potem odwrócił się i znów zapatrzył w dal.

– Dobrze – zakończył Baglin. – Wiecie, co robić. Idźcie i szukajcie. Byle z ikrą.

• • •

Veronica Sanson spędziła przy telefonie sporo czasu, ale nie był to czas stracony. Wyszła z założenia, że Neville Pritchard chciałby jak najszybciej zjechać z drogi i gdzieś się ukryć. To podstawowa zasada każdej ucieczki. Zminimalizować ekspozycję. Założyła też, że biorąc pod uwagę jego stan gotowości do natychmiastowego wyjazdu, zorganizowałby kryjówkę dużo wcześniej. Dlatego obdzwoniła wszystkie pola kempingowe z miejscami dla kamperów w promieniu osiemdziesięciu kilometrów od jego domu. Zadanie ułatwiło jej to, że Pritchard mieszkał tak blisko wybrzeża, bo niemal połowę tego terenu zajmował ocean. Wszystkim, z którymi rozmawiała, wytłumaczyła, że niedawno przeprowadziła się z mężem z Annapolis i szuka miejsca na regularne wyjazdy weekendowe. Nie mają dzieci ani psów, dlatego woleliby, gdyby nie było tam zbyt wielu młodych rodzin. Im miejsce bardziej odosobnione, tym lepiej. Są doświadczonymi turystami, dużo jeżdżą kamperem i nie potrzebują specjalnych udogodnień. Poza tym nie lubią zmian, więc jeśli kemping im się spodoba, chcieliby zarezerwować miejsce na dłuższy czas, żeby zawsze na nich czekało. Dwa pola spełniały wszystkie warunki. Postanowiły zacząć od tego bliższego.

• • •

Niecałe dziesięć minut po porannej odprawie ktoś zapukał do drzwi Reachera. Otworzyły się, zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, i do biura

weszła Smith. Była blada i miała podkrążone oczy.

– Możemy porozmawiać? – spytała.

– O czym?

– Myślę, że powinniśmy powiedzieć Baglinowi. O tym, czego dowiedzieliśmy się wczoraj od Flemminga.

– Serio? Dlaczego?

– Moim zdaniem cel naszej misji się nie zmienił. Mamy powstrzymać zabójcę. Ocalić Pritcharda. I utrzymać w tajemnicy istnienie Projektu Sto Dziewięćdziesiąt Dwa. Nie ma też powodu zakładać, że zmienił się motyw sprawcy. To wciąż zemsta, chęć ujawnienia prawdy, a może jedno i drugie. Ale zmieniła się pula podejrzanych. Niewyobrażalnie. Nie mówimy już o garstce byłych agentów KGB. Ani o kilku żołnierzach czy szpiegach z krewnymi, którzy doznali krzywdy, pracując przy projekcie. Nie. Mówimy o krewnych ponad tysiąca ofiar. Ilu ich może być? Pięć tysięcy osób? Dziesięć tysięcy?

– Możliwe.

– To o wiele za dużo. Pomyśl o logistyce. Musielibyśmy współpracować z Mason Chemical, jeśli ta firma jeszcze istnieje i przechowuje tak stare akta. Musielibyśmy nawiązać współpracę z rządem Indii. I z indyjskim wojskiem, jeśli te dwie kobiety rzeczywiście przeszły tam szkolenie. A pewnie przeszły.

– To kolejny problem. Indyjskie wojsko przyjmuje kobiety od bardzo niedawna. Nie zdążyłoby ich wyszkolić.

– Więc musielibyśmy szukać rodzin albo pojedynczych osób, które wyemigrowały gdzieś, gdzie wojsko przyjmuje kobiety... co najmniej od ilu? Od pięciu lat? Kolejna komplikacja. No i musielibyśmy zwrócić się o pomoc do Wydziału Imigracji i Naturalizacji, żeby potwierdzić, że któraś z nich była w tym czasie w Stanach. We troje nie damy rady. To po prostu

niemożliwe. Zwłaszcza na odległość, z tysięcy kilometrów. I kiedy nie możemy normalnie pracować. Rodzinom ofiar zapłacono, tak? Więc nie możemy pójść tropem pieniędzy, bo zapłaciła CIA, za granicą, pewnie za pośrednictwem podstawionych spółek i anonimowych filii. Prędzej znaleźlibyśmy Wielką Stopę.

– Moglibyśmy sprawdzić, jaki skutek odniosły te pieniądze. Rodziny, które kupiły nagle ładne domy. Założyły jakiś interes, dużo zainwestowały. Wyjechały ze wsi do miasta. Albo za granicę.

– Bardzo dobry pomysł, ale tego też nie sprawdzimy samodzielnie. Dlatego powinniśmy przekazać to Baglinowi. Przedstawić mu fakty, a wtedy będziemy mogli obrać jakąś taktykę i zorganizować środki.

– Brzmi sensownie. Ale jest jeszcze inny problem. Nie możemy tego zrobić, nie ujawniając tego, co wiemy o Tyfonie. O tysiącu ofiar. Flemmingowi nie wyszło to na dobre.

– Fakt. Nie chciałabym mieszkać w ciemnej celi ani w ruinach, jak szczur. Ale jest coś takiego jak obowiązek moralny. Na szali leży życie człowieka. I reputacja kraju... prawdopodobnie.

Znów rozległo się pukanie do drzwi. Wszedł Neilsen i na widok Smith lekko zmrużył oczy.

– O czym gadacie?

– O wczorajszym wieczorze – odparł Reacher. – O tym, czego się dowiedzieliśmy. I co powinniśmy z tym zrobić.

– Co zrobić? To oczywiste. Zwalić wszystko na Baglina. Niech zarobi na chleb. Posłuchajcie. Jeśli czegoś nie zmienimy, będziemy ciągle odbijać się od ściany i niczego nie zdziałamy. Prędzej czy później znajdą trupa Pritcharda albo dojdzie do przecieku o Projekcie Sto Dziewięćdziesiąt Dwa. Albo wydarzy się jedno i drugie, a wtedy zostawią nas tu z napisem *To*

nasza wina wytatuowanym na czole. Nie wiem, jak wy, ale ja wolę tego unikać.

– Dobra, ale nie wciągniemy w to Baglina, nie wrabiając Flemminga. Chcecie tego? Facet miał dość pecha jak na jedno życie.

Neilsen wzruszył ramionami.

– Nie, nie chcę go wrabiać. Ale hej. Drwa, wióry i tak dalej. Dobra, mogą go zamknąć. Ale nie powiecie chyba, że teraz żyje jak król. Poza tym nie przypuszczam, żeby to zrobili, zanim ta historia wyjdzie na jaw.

– My też możemy oberwać za to, że wiemy, co wiemy.

– Nie sądzę. Jesteśmy profesjonalistami. A nie reporterami polującymi na skandale. Umiemy dochować tajemnicy. Robimy to cały czas.

– Więc jak myślisz, Reacher? – spytała Smith. – Powiedzieć Baglinowi? Czy nie?

– Myślę, że przed podjęciem decyzji powinniśmy uwzględnić coś jeszcze. Zginęło ponad tysiąc osób. Niewinnych ludzi. Ich śmierć zamieciono pod dywan. Uważam, że ciąży na nas pewien obowiązek moralny. Wiemy, co tam się stało. Widzieliśmy zdjęcia. I co? Mamy przymknąć na to oko? Tak byłoby w porządku?

– Lepiej nie wywołujmy wilka z lasu – rzucił Neilsen. – Nie popełniono żadnego przestępstwa. Nikt na niczym nie skorzystał. Nikt nie oszukał wymiaru sprawiedliwości. Zmarłych nie ożywimy. To próba sabotażu doprowadziła do wypadku. A sabotażysta nie żyje. Rodziny ofiar dostały rekompensatę. Dlatego powinniśmy się skupić na tym, co teraz. A nie szperać w przeszłości. Zwłaszcza zagrzebanej na polu minowym.

– Nie jestem tego pewna. Zgadzam się z Reacherem. Musimy to przemyśleć. Bo jeśli to nie był sabotaż?

– Tylko co? – odparł Neilsen. – CIA nie psuje swoich własnych planów. Możesz być tego pewna. I nie było to KGB. Twoje słowa.

– To mogło być zwykłe zaniedbanie – powiedział Reacher. – Chodzenie na skróty. Albo coś niebezpiecznego z natury. Spójrzcie na miejsce, które wybrali. Amerykanom nic nie groziło. Jeśli ten program był bezpieczny, to dlaczego nie eksperymentowali w Nowym Jorku czy Kalifornii?

Smith kiwnęła głową.

– Przed podjęciem decyzji musimy zdobyć więcej danych. I zacząć od rodziny Morgana Sansona. Miał żonę. Czworko dzieci. Jakim był człowiekiem? Szczęśliwym? Przygnębionym? Prowadził dziennik? Czy to prawda, że zadarł z szefostwem firmy?

– Dobra – zdecydował Reacher. – Zaczniecie ich szukać? A tymczasem powinniśmy porozmawiać z Pritchardem. Jeśli schemat organizacyjny Mason Chemical był taki sam jak fabryki na Sri Lance, tej Flemminga, Pritchard mógł kontrolować na miejscu i Tyfona, i Program Sto Dziewięćdziesiąt Dwa. Powie nam, kto kontrolował jego. Tu, w Stanach.

– Chyba o czymś zapomniałeś – powiedział Neilsen. – Pritchard zniknął.

– To go znajdziemy.

– Jak?

– Muszę zobaczyć jego dom. Pomyśleć, dokąd mógł pojechać.

– Nie zobaczysz. Roi się tam od agentów.

– Nie muszę oglądać go osobiście. Wystarczy zdjęcie satelitarne. CIA takie ma, prawda?

– Może.

– Zdobądź najnowsze, domu i okolicy.

Neilsen wzruszył ramionami.

– Mogę spróbować.

– I przydałaby się mapa. Marylandu i sąsiednich stanów.

- Mam w samochodzie – rzuciła Smith.
- Tracimy tylko czas – mruknął Neilsen. – Nawet jeśli znajdziemy Pritcharda, nie zechce z nami gadać.
- Zechce. Jeśli ładnie poprosimy – powiedział Reacher.

• • •

Roberta i Veronica Sanson uznali, że dwudziestoletni ford explorer spełnia wszystkie wymagania. Pojazd, którego ludzie lubiący przebywać na świeżym powietrzu używają do holowania przyczep kempingowych czy do przewożenia rowerów, dzieci i psów. Wszechstronny, lecz nierzucający się w oczy. Ukradły więc taki z parkingu przed Walmartem osiem kilometrów za miastem. Pojechały na północ, skręciły na zachód i niecałe pięćdziesiąt kilometrów dalej znalazły wjazd na teren leśnego pola kempingowego Whispering Pines.

Miało ponad czterdzieści hektarów powierzchni. Prawie całe porastał las, ale były tam również dwa stawy dla wędkarzy, skały do wspinaczki i mnóstwo ścieżek do spacerowania i jeżdżenia. Na środku stało kilka budynków, tak zwana Oaza. Mieściło się tam biuro. Sklep z jedzeniem i podstawowymi częściami zapasowymi do kamperów. Toalety. I prysznice. Na wschód od Oazy ciągnął się rząd miejsc parkingowych z przyłączami do pobierania prądu i wody oraz do opróżniania zbiorników z nieczystościami. Roberta i Veronica go zignorowały. Kampery stały tam za blisko siebie. Za blisko budynków, które przyciągały ludzi. Może ludzi hałaśliwych. Albo obdarzonych dobrą pamięcią. Dlatego pojechały poszukać miejsc bardziej oddalonych. Im bardziej odosobnione i niedostępne, tym lepiej. Ilekroć miały wybór, zawsze skręcały w drogę węższą i mniej widoczną.

Po dwudziestu minutach krążenia i jeżdżenia tam i z powrotem Veronica zauważyła coś białego w odległej kępie drzew. Przejechały

jeszcze kilkaset metrów, zatrzymały się, wysiadły i dalej poszły piechotą. Dochodząc do przerwy między drzewami, przez którą Veronica zobaczyła rozbłysk bieli, zwolniły i ostrożnie podeszły bliżej. Uważnie się przyjrzały. Tak, to był obiecujący kandydat. Kamper. Biały w zielone i brązowe pasy. Stary i kanciasty. Z małymi oknami i miejscem do spania niezgrabnie wybrzuszonym nad szoferką. Osiadł nisko na resorach, a więc był mocno obciążony. Miał zbiorniki pełne wody. Pritchard na pewno by o to zadbał.

Obeszły go dookoła, przedzierając się przez krzaki, by obejrzeć przód. Założyły, że Pritchard – albo ktoś inny, jeśli kamper do niego nie należał – będzie z tyłu, w kabinie mieszkalnej, a nie w szoferce. Roberta skradała się powoli przodem. Veronica za nią. Szły nisko pochylone, ostrożnie stawiając nogi, omijając martwe gałęzie i suche gałązki. Dziesięć metrów od kampera rozdzieliły się: Veronica skrzyła w prawo, a jej siostra w lewo. Gdy pokonały pięć metrów, Roberta wyprostowała się i pobiegła przed siebie.

– Nie, nie, nie! – krzyknęła. – Ani się waż!

Zauważyła gumowy wąż, taki sam jak ten, który znalazły w garażu Pritcharda na działce sąsiadów. Tylko że ten nie był podłączony do źródła wody. Tylko do rury wydechowej. Zwisał z niej, pełznął po ziemi i wchodził do kampera przez równo wyciętą dziurę w dolnym rogu drzwi.

Veronica stanęła obok siostry. Silnik nie pracował. Roberta położyła rękę na masce i pokręciła głową.

– Zimna jak lód.

Zdjęła sweter i owinęła nim głowę. Położyła rękę na klamce i pociągnęła. Drzwi otworzyły się na oścież. Z wnętrza wypłynęła błękitnoszara mgła. Roberta zawahała się i weszła do środka. Minikuchnia z malutkim zlewem, kuchenka z jednym palnikiem i minilodówka. Lichy stolik i dwa siedzenia. Wąskie drzwi do prostej toalety. I kanapa na końcu kabiny. Zajmowała całą szerokość kampera. Na kanapie leżał Neville

Pritchard. Miał otwarte oczy, niewidzące i zupełnie nieruchome. Całe wnętrze było pokryte warstewką czegoś oleistego. Jego skóra też, co sprawiało, że wyglądał bardziej jak duch niż jak człowiek.

Roberta zeskoczyła na ziemię i przekazała nowinę siostrze.

Veronica głośno krzyknęła i tupnęła nogą.

– To niemożliwe! To wszystko psuje! – Po chwili uspokoiła się i spytała: – Myślisz, że się zabił?

– Wykluczone. Nikt nie ucieka, żeby się zabić. Ludzie zabijają się wtedy, kiedy nie mogą uciec. Nie. To robota tego ósmego. Żeby Pritchard go nie zdekonspirował. Nie ma innego wytłumaczenia.

Veronica osunęła się po ścianie kampera i usiadła na ziemi.

– Wszystko na nic. Pritchard nie żyje i nasza jedyna szansa umarła wraz z nim. Możesz mnie teraz zastrzelić.

Roberta kopnęła ją lekko w nogę.

– Nieprawda, wcale nie na nic. Przeciwnie. Siedmiu z tych sukinsynów nie żyje. Czyli wszyscy oprócz jednego. Przysięgłyśmy, że zapłacą za to, że milczeli i dopuścili do tego, żeby cała wina spadła na tatę. I zapłacili. Zrobiliśmy to w pięknym stylu. Nie licząc chorego na raka Owena Bucka, ich śmierć zalatuje samobójstwem. Aż cuchnie. Więc teraz to ich rodziny muszą z tym żyć. A jak wyglądałoby nasze życie, gdybyśmy nie musiały tego robić? Gdyby mama nie chciała uciekać z kraju? Richard by żył. Ryan nie trafiłby do więzienia. A my? Nie musiałybyśmy wstępować do wojska, żeby uciec przed tym obłędem. Mogłybyśmy robić, co byśmy chciały. Dlatego nie, nie daruję temu ósmemu. Nie zrezygnuję z pieniędzy, które ten łajdak zarobił na śmierci taty. Mam pomysł. Może jest jeszcze ktoś, kto mógłby nam pomóc.

– Kto?

– Porozmawiamy po drodze. Musimy poszukać telefonu. I zadzwonić pod dziewięćset jedenaście. Śmierć Pritcharda nie miałaby sensu, gdyby nikt o niej nie wiedział.

18

Zajęło to dwie godziny i kosztowało kilka przysług, ale Neilsenowi udało się w końcu zdobyć zdjęcie satelitarne. A raczej jego przefaksowaną kopię, w tych okolicznościach nie mogli jednak liczyć na nic lepszego. Zgarnął po drodze Smith, która przyniosła już mapę z samochodu, i razem poszli do Reachera.

Agent położył zdjęcie na biurku i oświadczył:

– Muszę na trochę zniknąć. Dostałem cynk od kumpla. Ma ważne informacje o Projekcie Sto Dziewięćdziesiąt Dwa. Coś, co sięga lat sześćdziesiątych. Nie chciał rozmawiać o tym przez telefon. Jeśli nie wrócę przed fajrantem, spotkamy się w barze.

Smith stanęła obok Reachera i postukała palcem w środek zdjęcia.

– To dom Pritcharda. No i co widzisz?

Reacher przyjrzał się fotografii.

– Jeśli chcesz kogoś znaleźć, musisz myśleć jak on. Wyobraź sobie, że tu mieszkasz. Masz lekką paranoję. Boisz się, że w nocy odwiedzi cię ktoś wrogo nastawiony. Co byś zrobiła? Wiesz, że dom jest podatny na atak z dwóch stron. Od frontu i od tyłu. Nic nie możesz na to poradzić. Napastnicy mogą uderzyć od frontu, obserwując tył. Albo od tyłu, obserwując front. Mogą też zaatakować jednocześnie. Dlatego musisz zapewnić sobie drogę ucieczki z boku. Bok wschodni odpada. Jest zbyt

odsłonięty i nigdzie byś tamtędy nie zaszła. Więc wybrałabyś zachodni. Zbudowałabyś ukryte wyjście z garażu.

– Jak?

– To nieistotne. Można to zrobić na wiele sposobów. Najważniejsze, żebyś mogła stamtąd uciec. – Reacher miał za grube palce, więc pokazywał czubkiem długopisu. – Byłabyś niewidoczna. Z tej i z tej strony osłonięta krzakami. A stąd miałabyś wygodny dostęp do płotu. Mogłabyś zrobić dyskretne przejście. I znalazłabyś się na sąsiedniej działce. Najtrudniejsze miałabyś za sobą. A to tutaj? Co to jest? – Postukał długopisem w prostokątny budynek.

– Szopa? Nie. Ma podjazd. To garaż.

– Wszyscy na tej ulicy mają garaże przylegające do domów. Co robi ten dodatkowy? I to tak daleko od domu. To niewygodne. Jeśli sąsiad potrzebował więcej miejsca, dlaczego nie dobudował przybudówki? Myślę, że Pritchard wynajął część działki i postawił tam garaż. Nie. Kupił całą działkę i odnajął część sąsiadowi. I trzyma w garażu samochód. Widzisz, jak podjazd zakręca? Oddala się łukiem od jego domu. Po co Pritchard miałby za to płacić? Po to, żeby prawie bez żadnego hałasu stoczyć się samochodem na ulicę. Nic dziwnego, że agenci go nie zauważyli.

– Zarejestrowałby go na fałszywe nazwisko. Na pewno. Ale jaki to może być samochód? Jak to sprawdzić?

– Zależy, co Pritchard zamierza. Jeżeli chce uciec z kraju, byłoby to coś wygodnego. Nierzucającego się w oczy. Niezawodnego. Z dużym bakiem, żeby mógł dojechać na lotnisko, do portu czy nawet do granicy. Jeśli tak, już dawno go nie ma w Stanach. Nigdy go nie znajdziemy. Zaszył się pewnie na plaży w kraju, z którym nie mamy umowy ekstradycyjnej.

– Niezbyt to obiecujące.

– Tylko że ucieczka przed wymiarem sprawiedliwości to zabawa dla młodych. Jest stresująca. Wyczerpująca fizycznie. Trzeba się szybko przemieszczać i przewozić dużo rzeczy, a każde lotnisko to naturalny potrzask. Ochrona. Policja. Ograniczona liczba wyjść. Ale Pritchard jest stary. Od dawna na emeryturze. Należy do tych, którzy chętniej korzystają z doświadczenia niż z mięśni. U nich to mózg odwala najcięższą robotę. Dlatego myślę, że raczej zaszyłby się nad jakimś ładnym jeziorem. Łowi ryby i czeka, aż kurz opadnie. Albo aż kumple pociągną za sznurki, żeby usunąć wiszące nad nim zagrożenie. Jeśli tak, wybrałby kampera. Ten garaż jest spory.

– Tak, ja też stawiam na kampera. Więc gdzie by pojechał? Może być wszędzie. W kraju, w Kanadzie. Albo w Meksyku. Kampery są bardzo mobilne. Bo takie mają być.

Reacher podrapał się w czoło. Nie znał się na kamperach, ale zasadniczo rzecz biorąc, musiały być trochę podobne do pojazdów opancerzonych piechoty. One też zapewniały osłonę i mobilność, więc może były jak M2 bradley, tylko wygodniejsze i mniej uzbrojone. Zdolne do przewożenia pewnej ilości zapasów. Wody. Paliwa. Oraz żywności, takiej dla cywili. Ale zapasy kiedyś się kończą. I Pritchard musiałby je uzupełnić. Istniały więc pewnie wyspecjalizowane obiekty, które zaspokajały tego rodzaju potrzeby. Reacher wziął mapę, rozłożył ją na biurku obok zdjęcia i spytał:

– Jaką prędkość rozwija kamper?

Smith wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Sto na godzinę?

– Pritchard nie chciałby jechać dłużej niż godzinę. Dlatego zrobimy tak. Poszukamy miejsc, gdzie mógłby zaopatrzyć się w świeżą wodę w promieniu sześćdziesięciu pięciu kilometrów od jego domu.

Skontaktujemy się z tamtejszą policją. Przefaksujemy im jego zdjęcie, najnowsze, jakie uda nam się znaleźć. Niech tam pojadą i popytają, czy ktoś go widział. I niech to zrobią dyskretnie. Jeśli go namierzą, mają nam zameldować. Nie mogą się do niego zbliżyć. To paranoik. I działa teraz w trybie ucieczkowym. Ale to może się szybko zmienić.

• • •

– Ta biznesmenka? – Veronica Sanson usadowiła się w fotelu pasażera.
– Dlaczego chcesz do niej uderzyć?

– Dlatego, że tam była. – Roberta przesunęła dźwignię zmiany biegów i zdjęła nogę z hamulca.

– W Indiach? Skąd wiesz?

Włączyły się do ruchu.

– Jesteś za młoda i pewnie nie pamiętasz konferencji prasowych w telewizji. I jej zdjęć we wszystkich gazetach. Była rzeczniczką prasową Mason Chemical.

– To ona? Nie wiedziałam. Nie skojarzyłam. Ale ona nie miała nic wspólnego z CIA. Ani z wojskiem. Jak może nam pomóc?

Roberta przyspieszyła.

– W domu Pritcharda dałam się skuć temu czwartemu agentowi. Znalazłam się w niekorzystnej sytuacji. Więc jak udało mi się wyprowadzić w pole pozostałych? Jak to się stało, że kiedy przyszaś, agent leżał nieprzytomny na podłodze? Bo mnie nie docenił. Mnie, kobiety. Mężczyźni nigdy nas nie doceniają. Jak teraz ty. Susan Kasługa jest inteligentna. Utalentowana. Pomysłowa. Prawdopodobnie też ciekawa i dociekliwa. Musi taka być, bo inaczej nie zdobyłaby tego, co ma. Kto wie, co tam widziała. Co słyszała. Co sobie wykoncypowała. Założę się, że nikt jej o nic nie pytał, bo jest kobietą. I była wtedy młoda. Nawet jeśli nie zdaje

sobie z tego sprawy, może przechowywać w głowie coś, co nas interesuje. Musimy to przynajmniej sprawdzić. Dopiero wtedy powiemy „dość”.

– Okej, jest w tym pewna logika. Ale jak ją spytamy? Jest dyrektorem generalnym gigantycznej korporacji. A jej mąż sekretarzem obrony. Nie możemy tak po prostu wejść do jej biura. Ani zapukać do drzwi jej domu.

– Zrobimy to co zawsze. Będziemy obserwować. Czekać. A kiedy dostrzeżemy okazję, wykorzystamy ją.

• • •

Telefon zadzwonił o czternastej dwadzieścia siedem czasu wschodnioamerykańskiego. A więc niezgodnie z grafikiem.

Mężczyzna, który go odebrał, wysłuchał rozmówcy, odłożył słuchawkę i wybrał domowy numer Charlesa Stamorana.

Ten siedział w fotelu w swoim gabinecie, zatopiony w myślach. Dźwięk dzwonka mu przeszkodził, więc chwilę trwało, zanim przeszedł przez pokój, by odebrać telefon. Odchrząknął i rzucił:

– Co znowu?

Mężczyzna wyrecytował z pamięci wiadomość, którą przed chwilą mu przekazano.

– Neville Pritchard nie żyje. Zatrął się tlenkiem węgla. W kamperze z gumowym węzłem podłączonym do rury wydechowej. Prawdopodobnie zrobił to sam, ale nie zostawił listu pożegnalnego. Ciało znaleziono po anonimowym telefonie pod dziewięćset jedenaście. Według wstępnej oceny lekarza sądowego nie żył od czterech dni.

Stamoran zastygł bez ruchu z opuszczoną słuchawką. To nie było samobójstwo. Jeśli Neville Pritchard miałby już kogoś zabić, to agentów, którzy włamali się do jego domu, albo kobiety, które na niego polowały. Ale nie siebie. Poza tym nie zgadzał się czas. Jeżeli nie żył od czterech dni,

musiał umrzeć tego samego dnia co Geoff Brown w Nowym Orleanie, a śmierć Browna była misternie przygotowanym przedstawieniem. Te mylące telefony i jad ropuchy. Takie przygotowania musiały trochę potrwać. No i odległość była zbyt duża. Szwankowała logistyka. Lekarz sądowy musiał się pomylić. O kilka godzin. Nie, Pritchard zginął zaraz po tym, jak uciekając, wybiegł z domu. Kobiety pobiegly za nim i to one go dopadły, a nie agenci, którzy mieli go zgarnąć. Ale to niewielki szkopał. Ważne było to, czy Pritchard coś im powiedział. Czy zdradził tajemnicę. Prawdopodobnie nie, bo morderczynie zabijały dalej. „Prawdopodobnie” to jednak nie to samo co „na pewno”. Poza tym najcenniejszą zdobycz powinny zachować na koniec. Z ich punktu widzenia tak byłoby sensowniej.

Podniósł słuchawkę.

– Trzy sprawy. Po autopsji dowiedzcie się, czy na ciele znaleziono ślady stosowania przymusu czy torturowania. Odwołajcie agentów pilnujących jego dom. Zespół Baglina ma pracować dalej. Każ im podwoić wysiłki. Niech zidentyfikują te kobiety.

Nie lubił marnować środków. Ale jeśli już czatowały na niego dwie zabójczynie, nie szkodziło sprawdzić, kim są.

• • •

Reacher i Smith skończyli spisywać miejsca, w których Pritchard mógłby się ukrywać ze swoim kamperem. Lista zajęła dwie kartki. Smith wetknęła je do złożonej mapy i ruszyła do drzwi, ale w tym momencie zapiszczał jej pager. Pager Reachera też. Jego pół tonu niżej i ułamek sekundy później.

• • •

Christopher Baglin stał, patrząc w okno. Plecami do stołu. Reacher i Smith zajęli swoje miejsca. Zaraz po nich do sali wszedł Walsh. Człowiek z Departamentu Obrony odwrócił się i spojrzał na drzwi ni to z gniewem, ni ze strachem.

– Neilsen przyjdzie?

– Sprawdza jakiś trop – odparł Reacher. – To może trochę potrwać.

– Więc zaczniemy bez niego. Nie zajmę wam dużo czasu. Neville Pritchard nie żyje. Znalaziono go w kamperze na polu kempingowym pięćdziesiąt sześć kilometrów od jego domu. Do rury wydechowej kampera był przymocowany gumowy wąż.

– A więc nasze zabójczynie zaliczyły sześć udanych prób, a przeciwnik wystrzelał się z amunicji – podsumowała Smith. – Czy to znaczy, że wracamy do normalnej pracy?

Baglin łypnął na nią spode łba.

– Cieszcie się, że w ogóle macie pracę. Jesteście tak skuteczni jak tupecik podczas huraganu. Nie. Nigdzie nie wracacie. Tam grasują dwie morderczynie. Nie udało nam się ich powstrzymać, ale możemy je złapać. Wiecie, co robić. Idźcie.

Walsh podniósł rękę.

– Mam coś – powiedział.

Zapadła niezręczna cisza. Baglin już wstawał, ale znowu usiadł. Reacher i Smith wymienili spojrzenia.

– Wiem, że wniosłem niewielki wkład w identyfikowanie podejrzanych, i źle się z tym czuję. Poza tym znudziło mi się patrzeć w okno, więc zrobiłem to, co robię na co dzień. Poszedłem tropem pieniędzy. Pogrzebałem w finansach wszystkich ofiar. U każdej z nich panował w tym bałagan. Niezbilansowany budżet. Niekonsekwentne podejście do aktywów

i długów. Czyli normalka. Ale nie u Pritcharda. Pritchard był, by użyć terminu technicznego, nadziany.

– Bardzo? – spytał Baglin.

– Bardzo. Mogę zdobyć dokładne kwoty.

– Tak, niech pan zdobędzie. Skąd miał pieniądze?

– To też jest bardzo ciekawe. Pobieźna odpowiedź brzmiałaby, że z odsetek i dywidend z kilku ostrożnych inwestycji. Ale to śmieszne kwoty w porównaniu z tym, jak wielki musiał być pierwotny kapitał. Jeszcze nie wiem, skąd go wziął.

– Okej. Dobrze. Niech pan pracuje dalej. Zobaczymy, gdzie nas to zaprowadzi. Reacher i Smith. Wy zidentyfikujcie te kobiety.

Reacher podniósł rękę.

– Jedno pytanie. Ciało Pritcharda. Są na nim jakieś rany? Ślady porażenia prądem? Czy w jego organizmie znaleziono narkotyki?

– Nie. Dlaczego pan pyta?

Reacher wzruszył ramionami.

– Cóż mogę powiedzieć? Dręczy mnie głód wiedzy.

• • •

Smith porwała listę kempingów, kiedy tylko weszli do jego pokoju.

– Oszczędzimy policji masy kłopotów. No więc Pritchard nie żyje. Co ty na to?

– Przypominają mi się czasy, kiedy byłem mały i tatę przeniesiono na Filipiny. Dostaliśmy dość obskurną kwaterę i mama postanowiła upiększyć ją roślinami w doniczkach. Żeby było bardziej przytulnie. Tylko że rośliny, które wybrała, ciągle usychały. Próbowwała wszystkiego, ale na próżno. Kurczyły się jedna po drugiej, więdły i kończyły w koszu na śmieci. Bardzo

chciała, żeby choć jedna przeżyła, dostała na tym punkcie obsesji. Wreszcie w wojskowej bibliotece natrafiła na książkę o ogrodnictwie. Zajrzała do rozdziału *Najczęstsze problemy*. I znalazła dokładnie ten, z którym nie mogła sobie poradzić. Było tam napisane, że powodem jest woda. Za dużo albo za mało wody.

– Więc nie sposób powiedzieć, co oznacza jego śmierć.

– Może wszystko odwrócić do góry nogami. Albo niczego nie zmienić.

– A to, że Walsh tak nagle ożył? Nie spodziewałam się tego.

– To dobrze, że ożył, cieszę się. Dzwonił do mnie brat, który pracuje w Departamencie Skarbu. Walsh działał pod przykrywką. Długo. Prowadził śledztwo w sprawie jakiegoś fałszerstwa... pełno ich teraz. Źle się to skończyło. Ma zespół stresu pourazowego.

– Nie wiedziałam. Biedak. Myślałam, że to leniwy dupek. Oby doszedł do siebie. Ale co z tymi pieniędzmi Pritcharda? Myślisz, że to ma jakieś znaczenie?

– Czy kiedykolwiek zdarzyło ci się, żeby podejrzany ukrywał pieniądze i żeby nie miało to znaczenia?

• • •

Przesiedzieli w biurze do dziesięć po piątej. Neilsen nie wrócił. W hotelu o szóstej też go nie było i nie czekał na nich w barze, kiedy poprosili o ten sam stół co zawsze.

Smith usiadła naprzeciwko Reachera, nachyliła się ku niemu, podparła łokciami i spytała:

– Nie jesteś żonaty, prawda?

Reacher uśmiechnął się.

– Ja? Nie. A ty masz męża?

Odwróciła wzrok i w tym samym momencie u jej boku wyrosła kelnerka.

– Dzisiaj tylko we dwoje?

– Chwilowo.

Przez twarz kelnerki przemknął cień zawodu, bo wiedziała, że bez Neilsena i jego drinków dostanie dużo skromniejszy napiwek.

– Podać coś do picia?

Zamówili piwo i jedzenie – jadłospis znali już na pamięć – i kiedy odeszła, Smith pokazała mu lewą dłoń.

– Nie mam obrączki.

Rzeczywiście nie miała, ale dostrzegł lekkie zagłębienie wokół jej palca, gdzie obrączka mogła kiedyś być.

Smith znów się nachyliła.

– Masz jakieś przemyślenia à propos jutra? Odezwał się do mnie kolega, który prześwietla rodzinę Sansonów. Po samobójstwie męża żona przeniosła się z rodziną do Izraela. Wygląda na to, że nie powodziło im się za dobrze. Jeden z synów, Richard, zmarł. Przedawkował narkotyki. Drugi, Ryan, siedzi w więzieniu. Za dealerkę. O Robercie i Ronaldzie jeszcze nic nie wiadomo. Kazałam mu kopać dalej.

Kelnerka przyniosła jedzenie, a kiedy zjedli, Reacher spytał:

– Co sądzisz o tej Kasłudze?

Smith wzruszyła ramionami.

– Niewiele o niej wiem. Tylko to, co piszą w gazetach.

Kelnerka przyszła zabrać talerze.

– Bo tak sobie myślałem... – ciągnął Reacher, kiedy oddaliła się poza zasięg słuchu. – Kasługa była w Indiach. Mogła znać Sansona. I może mieć

interesujące nas informacje. A potem przypomniało mi się, że jest żoną sekretarza obrony.

Smith zmarszczyła czoło.

– Co jedno ma wspólnego z drugim?

– Stamoran powołał do życia zespół mający rozpracować sprawę wiążącą się z przestępstwem, do którego doszło w fabryce chemicznej. A ona w tej fabryce pracowała. Nie lubię przypadków.

– Przypadek jest czasem tylko zwykłym przypadkiem. Poza tym Kasluga nie pracowała w tajnej części fabryki. Była pracownikiem cywilnym. Kiedyś czytałam jej życiorys. Poznała Stamorana dopiero w siedemdziesiątym drugim. Pobrali się w siedemdziesiątym piątym. Stamoran był wtedy wielką fiszą w CIA. Wyobraź sobie, jak dokładnie musiano ją przeświecić. Pewnie nie spotkasz nikogo uczciwszego.

– W takim razie dlaczego kłamała?

– Kiedy?

– W sześćdziesiątym dziewiątym. Powiedziała, że w wypadku zginęło siedem osób. Pominęła tysiąc.

Smith westchnęła.

– Kłamstwo jest kłamstwem tylko wtedy, kiedy wiesz, że mówisz nieprawdę. Skąd mogła znać prawdziwą liczbę ofiar? Wątpię, czy CIA oprowadzała kogoś po miejscu wypadku. Pewnie wypchnęli ją przed kamery, bo była młoda, ładna i na tyle naiwna, żeby odczytać na głos to, co jej każą.

– Może.

– Ale moglibyśmy spytać ją o Sansona. To dobry pomysł. Powinniśmy to zrobić.

– W takim razie...

Od strony wejścia dobiegł głośny odgłos, jakby coś rozdzierano, a potem łoskot. Przyszedł Neilsen. Zaplątał się w plastikową folię i upadł, próbując się uwolnić. Wstał, otrzepał wygniecioną marynarkę, podszedł do nich i usiadł obok Reachera.

– Gdzie kelnerka? Muszę się napić. I to natychmiast.

– Chyba dość już wypiełeś – zauważyła Smith.

Neilsen przechylił głowę.

– Właśnie. „Wypiełem”. Czas przeszedł. I teraz chcę wypić więcej.

– Twój informator był chyba bardzo spragniony.

– Nie informator. I Frank nie pije. Wszystko to... – Neilsen wskazał swój poluzowany krawat i plamę na koszuli – to było po jego wyjściu.

– Pileś przez całe popołudnie?

– Gdybyśmy się spotkali na śniadaniu, piłbym przez cały dzień. Więc spokojnie.

– Miał złe wiadomości? – zapytał Reacher.

– Złe? To takie nieadekwatne słówko. Chcecie wiedzieć, co mi powiedział? Powiedział, że Agencja nie ma nic na temat Tyfona. Według nich ten projekt w ogóle nie istniał. Zakopali go. Jak bombę z opóźnionym zapłonem. Ale Frank jest dokładny. Spytałem go, kto tym projektem kierował. Nie mógł tego sprawdzić, więc postanowił pójść opłotkami i dowiedział się, kto kierował projektami z dziewiętnastką na początku. Wszystkimi. Projektami i podprojektami. Łącznie ze Sto Dziewięćdziesiątym Drugim i Tyfonem. Chcecie zabawić się w zgadywanke?

Smith pokręciła głową.

Reacher milczał.

– Charles Stamon.

19

Neilsen dostał swoją whisky. Podwójną. Smith też zamówiła. Pojedynczą, z wodą. Reacher przeszedł na kawę. Poprosił o espresso ze szklanką gazowanej wody.

– Widzę w tym tylko jeden słoneczny promyczek – kontynuował agent.
– Czy rozgrzebujemy sprawę Tyfona? Odpowiedź jest prosta. To było oczko w głowie sekretarza obrony. Dlatego nie tracimy tego nawet najdłuższym kijem. – Dopił whisky. – I jeszcze coś. Mamy przerąbane, bo przestaliśmy panować nad swoim losem. Teraz wszystko zależy od tych dwóch kobiet. I od Pritcharda. Jeśli zniknie, nic nam nie zrobią. Jeśli go złapią i zabiją, też nic nam nie zrobią. Ale jeśli go złapią i zaczną gadać, będzie po nas. Stamoran nie weźmie na siebie winy za śmierć tych ludzi. Nigdy. Będzie się bronił, odbijał ciosy na lewo i prawo. Spróbuje zwalić winę na nas albo na jakiegoś biednego dupka z tamtych lat... Chwila... To dobry pomysł. Trzeba mu kogoś podsunąć. Jutro rano poszukamy. Dupka z lat sześćdziesiątych albo kogoś z KGB. Smith, masz jakiegoś w rękawie? Nie masz rękawów, ale wiesz, o co mi chodzi.

– Lepiej zamów drugą whisky – poradził mu Reacher.

– Jasne, że zamówię... Moment... Ale właściwie dlaczego?

– Pritchard nie żyje.

– Tak? Kiedy zginął?

– Dowiedzieliśmy się po południu.

– Coś wygadał?

– To się dopiero okaże.

Neilsen przywołał kelnerkę.

Smith upiła łyk whisky.

– No i wiemy coś jeszcze – rzuciła. – Możemy zapomnieć o rozmowie z Kasługą. Albo o tym wie, albo nie wie. Ale nawet jeśli wie, nie powie ani słowa. Nie narazi na szwank reputacji męża. Nigdy.

• • •

Neilsen wychodził z baru bardzo ostrożnie, a potem szedł dwa kroki przed nimi. Lekko się zataczał, ale dotarł do hotelu cały i w miarę zdrowy. Wjechali windą na pierwsze piętro. Weszli do korytarza – Neilsen znów przodem. Przed drzwiami do swojego pokoju wyjął klucz z kieszeni i go upuścił. Reacher już się pochylał, żeby go podnieść, ale agent odpędził go machnięciem ręki.

– Idźcie. To tylko drzwi. Panuję nad sytuacją.

Smith weszła do swojego pokoju, a Reacher do swojego. Gdy zdjął marynarkę i powiesił ją na wieszaku, ktoś zapukał. Cicho, lecz natarczywie. Reacher wyjrzał przez judasza i nacisnął klamkę. W progu stała Smith. Była na bosaka. Bez torebki. Z kluczem w jednej ręce. I pistoletem w drugiej.

– Ktoś przeszukał mój pokój. Twój też?

Reacher wpuścił ją i rozejrzał się. Worek leżał na podłodze, pod wieszakami. Może parę centymetrów bliżej drzwi niż wcześniej. Zapasowe ubranie leżało na drugim łóżku. Może nie tak równo poskładane, jak je zostawił. Szczoteczka do zębów stała w szklance, na umywalce w łazience. Była lekko przekrzywiona. Zawsze ustawiał ją pionowo.

– Chyba przesunięto kilka rzeczy. Ale czy przeszukano pokój? Nie wiem. Mogła to zrobić pokojówka.

Smith pokręciła głową.

– Nie u mnie. Ktoś grzebał w mojej walizce. Świadomie.

– Nie rozpakowałaś się?

– Pakuję się co rano. To dla mnie standardowa procedura operacyjna. Jeśli muszę szybko wyjść, biorę torbę i wychodzę. Nie tracę czasu.

Reacher wzruszył ramionami. W pokoju nie miał nic na tyle wartościowego, żeby po to wracać.

– Zaglądałaś do Neilsena?

– Nie, najpierw przyszedłam do ciebie.

Wypadli na korytarz i Reacher zapukał do drzwi agenta. Odpowiedziała cisza. Zapukał jeszcze raz, trochę głośniej. Znów cisza. Załomotał w drzwi tak mocno, że przeszło mu przez głowę, że na korytarz zaraz wylegną goście z awanturą, mimo to Neilsen nie odpowiedział.

– Co jest? – rzuciła Smith. – Film mu się urwał?

– Pewnie tak. Ale musimy to sprawdzić. Pójdę po klucz.

• • •

Zbiegł schodami na dół; parę minut później wrócił, również biegiem, i stał już przed drzwiami. W ręce trzymał klucz uniwersalny z wielkim mosiężnym brelokiem. Włożył go do zamka. Przekręcił. Pchnął drzwi. I zobaczył stopy Neilsena. Wciąż w butach. Wystawały zza drzwi do łazienki. Podszedł bliżej. Smith za nim. Agent leżał twarzą do podłogi. Bez ruchu. Z głową obok brodzika. Na białej ceramice był rozmazany czerwony ślad, a na płytkach rozlała się okrągła kałuża krwi. Wyglądało to tak, jakby Neilsen zasnął z policzkiem na szkarłatnym talerzu. Reacher pochylił się

i przytknął dwa palce do tętnicy szyjnej. Trzymał je tam pełną minutę. Potem spojrzął na Smith i pokręcił głową.

– Serio? – Agentka miała wściekłą minę. – Facet dowiaduje się, kto kierował supertajnym programem rządowym, potyka się i pada trupem? Tego samego dnia? Czy oni mają nas za idiotów? – Przykucnęła i odgarnęła kosmyk włosów z otwartych niewidzących oczu Neilsena. Jej głos złągodniał, prawie się załamał. – Tak, to jest dużo gorsze. Stalin miał rację. Śmierć tysiąca ludzi w Indiach to tylko statystyka w porównaniu ze śmiercią kogoś, kogo znasz.

Reacher myślał o czymś innym. O tym, że morderca musiał czekać w pokoju, kiedy mówili Neilsenowi „dobranoc”, podczas gdy tak naprawdę się z nim żegnali. Na zawsze. Myślał o tym, jak znaleźć tego, kto kazał go zabić. I o tym, że jak już go znajdzie, na pewno nie poprzestanie na delikatnym pacnięciu w głowę.

• • •

Wyszli z łazienki i zamknęli drzwi na korytarz. Nie chcieli, żeby zebrał się tam tłum gapiów.

– Masz zdolności aktorskie? – spytał Reacher.

– Raczej nie – odparła Smith. – A dlaczego pytasz?

– Pora je rozwinąć. Musimy udawać głupich. Robić wszystko zgodnie z planem. Zagrać tak, żeby ten, kto kazał go zabić, pomyślał, że wiedza Neilsena umarła wraz z nim.

– Ten, czyli Stamoran.

– Na to wygląda. Powiemy im tak: dzisiaj w ogóle go nie widzieliśmy. Nie przyszedł do baru. Zjedliśmy kolację, wróciliśmy, zobaczyliśmy, że ktoś szperał w naszych pokojach, zapukaliśmy i kiedy nie otworzył,

zaczęliśmy się niepokoić. Bo lubił wypić. Wzięliśmy z dołu klucz i znaleźliśmy go martwego. To wszystko. Zgoda?

– Chyba tak. Ale co z barem? Kelnerka nas widziała.

– Porozmawiam z nią. Przypomnę jej bajkę o złotej gęsi. Dopilnuję, żeby zrozumiała aluzję.

– Więc co? Dzwonimy na policję?

– Nie. Do Baglina. Niech on gada z policją, z CIA czy ze Stamoranem. Z kim zechce. Najpierw jednak musimy zdobyć billingi Neilsena.

– Jak?

– Mają je w recepcji. Inaczej nie wiedzieliby, za ile wydzwonił.

– Ale po co nam billingi?

– Po nic. Ale musimy znaleźć jego informatora, tego Franka, i go ostrzec. A potem sprawdzić, z kim jeszcze Neilsen się kontaktował. Mówił, że potrząsnął kilkoma drzewami. Może powiedział coś nie tak nie temu, co trzeba. I niechcący wszczął alarm. Ktoś zbyt ufny nie wdrapie się na szczyt. Stamoran na pewno uruchomi jakiś mechanizm obronny. Zastawi pułapki. Nie wiemy tylko ile. Ani gdzie.

• • •

Christopher Baglin przyjechał pół godziny po telefonie od Reachera. Oceniał sytuację i zawiadomił komendanta miejscowej policji. W ciągu dwudziestu minut w hotelu zjawili się dwóch detektywów. Zaraz po nich furgonetka techników kryminalistycznych. Korytarze przecięła żółto-czarna taśma rozciągnięta między drzwiami. Przed wejściem postawiono młodego policjanta z podkładką do pisania, żeby spisywał każdego, kto wchodzi i wychodzi. Wyznaczono specjalne trasy, którymi można było się przemieszczać. Zrobiono zdjęcia. Technicy w papierowych kombinezonach i plastikowych butach kręcili się po korytarzach z wszelkiego rodzaju

proszkami i sprejami. W pewnym momencie zjawilo się dwóch mężczyzn w ciemnych garniturach. Zagladali w kazdy kat, ale się nie przedstawili. Nie musieli. Wszyscy wiedzieli, jak wygladaja agenci CIA. W koncu dwóch sanitariuszy wywiozlo na wozku ciało Neilsena i detektywi zaczęli spisywac zeznania Reachera i Smith.

Umieszczono ich w osobnych pokojach, tymczasowych salach przesluchań. Nie bylo tam guzików alarmowych ani weneckich luster, ale starannie zadbano o pozostalą część policyjnego repertuaru. Detektywi próbowali wszystkich sztuczek. Mówili, że zarzuty są nieuniknione, że ten drugi – czy ta druga – właśnie pękł i pora się przyznać. Że są świadkowie. Że jest tylko jedno wyjście i że ten drugi – czy ta druga – zaraz zacznie mówić. Nic nie zadziało. A przez cały czas obserwowal ich agent CIA, który stal bez słowa w kacie, podpierajac ścianę.

Kiedy opadł kurz i większość personelu technicznego się rozeszła, Baglin wziął ich na bok i spytał:

– W porządku? To nie mogło być przyjemne, nie po tym, co przeszliście.

– Znam lepsze sposoby spędzania wieczoru – odparła Smith.

– Wasze pokoje przeszukał ten sam sprawca?

– Tak, pokoje przeszukano – potwierdził Reacher. – I tak, zakładamy, że zrobiła to ta sama osoba. Nie mamy dowodu, ale gdyby było inaczej, musiałby to być nieprawdopodobny zbieg okoliczności.

– Detektywi na pewno was o to pytali, ale czy przychodzi wam do głowy powód, dla którego ktoś mógłby chcieć zabić Neilsena? Może nawet was wszystkich?

– Nie – odparł Reacher. – Nie widzę żadnego związku między tym zabójstwem i naszym zespołem. Wiemy, że dwie kobiety popełniły serię morderstw, i domyślamy się mniej więcej dlaczego, ale to wszystko. Nie

zidentyfikowaliśmy ich. Nie mamy ich rysopisów. Ani żadnych namacalnych dowodów. Są dobrze wyszkolone i biegłe w swoim fachu, więc gdyby wiedziały, że pętla się zaciska, powinny wrócić do normalnego życia. Tak byłoby najmądrzej. Mogłyby co rano podawać nam kawę w kawiarni na rogu, a my byśmy się do nich uśmiechali. Nie muszą nas zabijać. Z taktycznego punktu widzenia byłby to krok wstecz. Zupełnie do nich niepasujący.

– Więc co się dzisiaj stało?

– Według mnie? To było nieudane włamanie. Włamania to w hotelach codzienność. Niech pan spojrzy na kolejność pokoi. Zaczął od mojego. Nie znalazł nic wartościowego. Poszedł do pokoju agentki Smith...

– U mnie też nic takiego nie ma – wtrąciła.

– Więc zajrzał do Neilsena. Zaczął szperać, szukać fantów i wtedy wszedł Neilsen. Po samym zapachu można było poznać, że pił. Jest całkiem możliwe, że włamywacz w ogóle nie próbował go zabić. Może go tylko odepchnął, próbując uciec.

Człowiek z Departamentu Obrony skrzyżował ramiona na piersi i Reacher wyczuł, że facet tego nie kupuje. Wszyscy zamilkli.

– Powiniennem was przeprosić – odezwał się po chwili Baglin. – To, że umieściliśmy was w tym samym hotelu, w dodatku w sąsiednich pokojach, było taktycznym błędem. Naraziło was na niepotrzebne ryzyko. Ale już to naprawiliśmy. Przenosimy was. Do oddzielnych hoteli w różnych częściach miasta. Natychmiast.

– Nie mam samochodu – zauważył Reacher.

– Już pan ma. Proszę sprawdzić w recepcji. Możliwe, że już go podstawiono.

– Dziękujemy – powiedziała Smith. – A jak będzie jutro? – Zerknęła na zegarek. – A raczej dzisiaj?

– Jak to jak? – odparł Baglin. – Normalnie. Rano macie być w biurze, o zwykłej porze. Musimy teraz schwycić troje morderców.

• • •

Na parkingu na Reachera czekał samochód. Z wypożyczalni. Ford, sedan. Małeństwo z małutkimi fotelami, mnóstwem przycisków na desce rozdzielczej i zbyt małą ilością miejsca za kierownicą. Ale Reacher nie przejmował się wadami konstrukcyjno-stylistycznymi. Nie zamierzał spędzać w nim dużo czasu.

Hotel, który mu przydzielono, okazał się całkowitym przeciwieństwem poprzedniego. O ile tamten zaprojektowano, mając na uwadze hordy rozwrzeszczanych bachorów, ten mierzył w polityczno-dyplomatyczną część klienteli. Pokój był ogromny. A właściwie dwa pokoje. W jednym mieściła się sypialnia z łazienką i garderobą. W drugim – salon i jadalnia. Na zlewie i umywalce stała bateria dużych butelek z płynami do mycia i zmywania, jakie widział pierwszy raz w życiu. Kosmetyków, o których nie śmiałyby nawet marzyć. Były tam również wielkie ręczniki. Puszyste szlafroki. I tyle poduszek, że gdyby wybuchł pożar i przyszło mu uciekać z hotelu, mógłby wyrzucić je przez okno i z powodzeniem złagodziłyby siłę upadku z dziewiątego piętra. Ale żadna z tych rzeczy go nie zainteresowała. Chciał tylko zakończyć ten dzień i rano zacząć wszystko od nowa. Gasił właśnie lampy i zaciągał zasłony, gdy zauważył małą szafkę z niedomkniętymi drzwiczkami. Berek. Pomyślał, że Neilsen by się ucieszył. Zajrzał do środka. Wyjął buteleczkę maker's mark, otworzył ją i wzniósł niemy toast za nieobecnych przyjaciół.

20

Następnego dnia wjechali na biurowy parking niemal jednocześnie, jedno minutę po drugim. On nadjechał z południa. Ona z północy. Weszli razem do recepcji i zobaczyli, że służbę pełni dwóch dodatkowych ochroniarzy. Ktoś zaczął się zabezpieczać, pomyślał Reacher, okazując dokumenty. Poszli korytarzem do sali odpraw. Smith usiadła, a on nalał sobie kawy.

– Myślisz, że przyślą kogoś za Neilsena?

– Wątpię – odparł. – Stamoran bardzo ryzykował, kierując do nas kogoś z Agencji. Teraz już widzi, że zrobił fałszywy krok. Neilsen dotarł do prawdy tylko dlatego, że zagadał do kumpla. Z nami gość nie chciałby rozmawiać. Ani z nami, ani z nareszcie przytomnym Walshem. Stamoran uznał pewnie, że pominięcie CIA wzbudziłoby podejrzenia. Że ktoś mógłby unieść brew. Liczył na to, że pijak nie będzie w stanie mu zaszkodzić.

– To smutne. Nic nie wiemy o Neilsenie, nie zdążyliśmy go poznać. Był dobrym agentem. To oczywiste. Nawet po pijanemu. Nie mógł pić od początku kariery. Wątroba by nie wytrzymała. A gdyby żył, wyrzuciliby go z pracy. Coś musiało mu się przydarzyć. Coś traumatycznego. Szkoda, że nie znałam go na tyle, żeby zechciał ze mną szczerze pogadać.

Reacher milczał.

Smith stłumiła ziewnięcie.

– Spałeś?

– Za krótko – odparł. Tak naprawdę zasnął zaraz po tym, jak dotknął głową poduszki i zamknął oczy, a poruszył się dopiero minutę przed pobudką, ale z doświadczenia wiedział, że na tego rodzaju pytania ludzie nie oczekują zwykle twierdzącej odpowiedzi.

– Ja nie zmrużyłam oka. Lecę z nóg. Jest kiepsko, Reacher. Śmierć Neilsena, Stamoran, Tyfon, ponad tysiąc ofiar... Ciągłe myślę, co z tym wszystkim zrobimy.

– To, co zrobilibyśmy, prowadząc śledztwo w sprawie każdej innej osoby czy przestępstwa. Pójdziemy tropem dowodów rzeczowych. Jeśli potwierdzą, że Stamoran jest winny, aresztujemy go, i tyle.

– Ale on jest sekretarzem obrony.

– Tak jak powiedziałem Sarbotskiemu. To jest Ameryka. Prawo dotyczy wszystkich bez wyjątku.

– Tylko że z nim będzie trudniej.

– Więc musimy działać mądrzej.

– Masz jakiś pomysł?

– Coś mi mówi, że wszystko zaczęło się od rozmowy z kimś z CIA. Że Neilsen zadzwonił do tego kogoś i wspomniał o Tyfonie. Spytał, czy był taki program. Czy jest na to jakiś dowód. Kto tym programem kierował. I coś trafiło w czuły punkt. A potem? Widzę trzy możliwości. Pierwsza: człowiek, z którym Neilsen się skontaktował, zabił go własnoręcznie. Druga: kogoś na niego nasłał. Trzecia: zameldował komuś o rozmowie i postanowili go usunąć.

– Stamoran pasuje do tej trzeciej.

– Tak.

– Jak to udowodnimy?

– Dowiemy się, z kim Neilsen rozmawiał. Skontaktuję się z tą osobą. Dam jej do zrozumienia, że wiem to, co on czy ona. A potem zaczekam, aż ktoś przyjdzie do hotelu, żeby u mnie pomyszkować. Tylko że ja nie skończę w łazience, a ten ktoś zdradzi nam konkretne nazwisko. W razie potrzeby będziemy to powtarzali, aż dojdziemy po nitce do kłębka. Już wiemy, do kogo Neilsen dzwonił z hotelu. Teraz musimy zdobyć listę numerów, pod które dzwonił stąd, z biura. Myślisz, że twoi mogą to załatwić?

Smith przysunęła bliżej telefon. Wybrała numer, wydała szybko kilka poleceń, w których roiło się od niezrozumiałych skrótów i żargonu, i zakończyła rozmowę. Odłożyła słuchawkę, odsunęła telefon i w tym momencie otworzyły się drzwi. Do sali wpadł Gary Walsh. Z zaczerwienioną twarzą. Ruszył w stronę swojego krzesła, zawrócił i skrzepowany, stał przez chwilę w miejscu, przestępując z nogi na nogę.

– Wiem. Słyszałem. Bardzo mi przykro. Naprawdę. Chyba zdążyliście się już zaprzyjaźnić. Czy mogę jakoś...

Drzwi znów się otworzyły i wszedł ochroniarz, ten, który był w tym budynku najdłużej.

– Wiadomość od pana Baglina. Nie może być na porannej odprawie. Powiedział, że wiecie, co robić.

Walsh czekał, aż drzwi się zamkną, i usiadł na miejscu Baglina.

– To, co się stało... To dlatego Neilsena nie było na wczorajszej odprawie?

Reacher i Smith wymienili spojrzenia.

– Wiem, że nie macie żadnych powodów, żeby mi ufać – dodał Walsh. – Byłem trochę nieobecny, bo miałem o czym myśleć, ale chcę to naprawić. Proszę, dopuście mnie do tego. Mogę pomóc.

Reacher milczał. Smith wbiła wzrok w stół.

– Reacher, znam twojego brata – oznajmił Walsh. – Tylko trochę, przelotnie. Ale zadzwoń do niego. Poręczy za mnie. Amber, dwa lata temu Phil prowadził pewną sprawę i mój zespół analizował dla niego dane liczbowe. Phil powiedział...

– Neilsen poszedł na spotkanie z informatorem – przerwała mu Smith. – Nie wrócił tutaj, a w hotelu okazało się, że ktoś przeszukał nasze pokoje. Poszliśmy do niego, ale już nie żył. Miało to wyglądać tak, jakby upadł, ale my tego nie kupujemy.

– Na spotkanie z informatorem... Chodziło o Projekt Sto Dziewięćdziesiąt Dwa?

Smith nie podchwyciła wątku. Patrzyła na ścianę.

– Na to wygląda – odparł Reacher.

– W takim razie policja będzie udawała, że coś robi, ale tego nie tknie. Próbujecie znaleźć zabójcę na własną rękę?

Reacher kiwnął głową.

– Macie już coś?

– Listę numerów, pod które dzwonił z hotelu. – Reacher zapoznał go ze swoją teorią, że Neilsen wywołał panikę w Langley, i dlatego chcą teraz sprawdzić, z kim rozmawiał.

– Mogę ją zobaczyć? – poprosił Walsh. – Liczby to moja specjalność. Nawet te bez znaku dolara.

Smith nie zareagowała. Reacher trącił ją w ramię.

– Przepraszam – rzuciła. – Co?

– Pokaż mu listę.

Agentka podała Walshowi kartkę, którą w nocy wydrukował dla niej recepcjonista, gdy machnęła mu przed nosem odznaką.

Walsh przyjrzał się numerom.

– Okej. Jeden ciągle się powtarza. Ten z czterema zerami na końcu. To chyba numer centrali. W Langley? A te, które różnią się tylko ostatnimi czterema cyframi... To numery wewnętrzne z bezpośrednim wybieraniem. Pewnie też w Langley. Jest też kilka z tym samym kierunkowym. Domowe numery pracowników? I parę z innym. Nie wiem. Jacyś znajomi? Z wyjątkiem tego. Dziewięć sześć trzy, dwa dziewięć trzy, sześć dziewięć sześć, dziewięć trzy sześć. Dzwonił tam parę razy. – Uśmiechnął się i pokręcił głową. – Nie mógł wytrzymać.

– Nie rozumiem – powiedziała Smith. – Gdzie dzwonił?

– To reklama. Alfanumeryczna.

Reacher rozszyfrował ją w głowie.

– WÓDA Z DOWOZEM. Serwis usługowy. Sklepy monopolowe na Wschodnim Wybrzeżu będą go oplakiwały. To na pewno.

– Boże, w jakim my świecie żyjemy! – Smith westchnęła. – Dobra. Skupmy się na numerach z Langley. Jak je poszeregować? Numer centrali nic nam nie da, jeśli nie będziemy wiedzieli, z kim chciał rozmawiać.

– Dobrze by było sprawdzić, czy z któregoś z nich ktoś dzwonił do niego – powiedział Walsh. – Sugerowałoby to pewną interakcję. Regularne kontakty, a nie krótkie telefony, kiedy ktoś odsyła z kwitkiem dzwoniącego, czy pogawędki z automatyczną sekretarką. W hotelu nie da się tego zrobić, bo z pokojami łączy centrala, ale tutaj powinno się dać.

Smith znów podniosła słuchawkę i zadzwoniła.

– Już kogoś nad tym posadziłam – powiedziała, gdy przerwała połączenie. – Ale to trochę potrwa. Możemy coś zrobić, zanim skończy? Powinniśmy wykorzystać panikę przeciwnika. Sprowokować go do działania. Żeby przysłali wieczorem następnego zabójcę. Oczywiście, gdybyś chciał.

– Im szybciej, tym lepiej – odparł Reacher. – Choćby zaraz.

– Tak, chyba możemy coś zrobić – odezwał się z wahaniem Walsh. – Nie wiem, czy się uda, ale warto spróbować. Czy Neilsen zawsze kasował wszystkie wiadomości?

• • •

Tym razem Veronica i Roberta Sanson postanowiły nie kraść samochodu. Wiedziały, że ścigają je wszelkiego rodzaju służby, dlatego doszły do wniosku, że wypożyczenie auta będzie rozsądną inwestycją. Najbardziej odpowiadał im chevrolet suburban. Dobrze wtapiał się w otoczenie, w jakim zamierzały działać, ale straciły sporo czasu, zanim znalazły wypożyczalnię, która przyjmowała gotówkę.

Wydatek zwrócił się już po dziesięciu minutach, bo dokładnie zobaczyły, jak Susan Kasługa wyjeżdża z domu, w którym mieszkała z mężem. Siedziała z tyłu długiej czarnej limuzyny wyjeżdżającej powoli z pancерnej bramy i włączającej się do ruchu. Czytała poranne wydanie „Wall Street Journal”. Prowadził szofer, a oprócz niego w samochodzie było jeszcze dwóch mężczyzn. Tanie garnitury, słuchawki ze spiralnymi kabelkami – ochroniarze. Sądząc po wyglądzie, z prywatnej agencji. Z punktu widzenia sióstr nie mogło być lepiej.

Roberta odbiła od krawężnika. Jechała cztery samochody za Kasługą. Zmieniała odstęp zależnie od tego, czy ruch przyspieszał, czy zwalniał. Czasem dzieliły ją od limuzyny trzy samochody. Czasem pięć. Parę razy, na dłuższym odcinku ulicy bez skrzyżowań, nawet ją wyprzedzała, a potem, kiedy dojeżdżały do rozjazdu, zostawała w tyle. Utrzymywała ten rytm przez dwadzieścia minut, a później limuzyna skręciła w prawo na rampę i wjechała do garażu pod dziewiętnastopiętrowym biurowcem. Budynek miał lustrzane ściany z błękitnego szkła, stalową konstrukcję i składał się z bezlitośnie symetrycznych prostokątnych segmentów. Siedziba

AmeriChem Incorporated, firmy, którą Kasluga założyła po powrocie z Indii.

Roberta pojechała dalej, po czym w krótkim odstępie czasu dwa razy skręciła w lewo. Nikt ich nie śledził. Tego się spodziewała, lecz ostrożności nigdy nie za wiele. Ulica była cicha i spokojna, więc zjechała do krawężnika i zwróciła się do siostry:

– I co myślisz?

– W świecie idealnym obserwowałybyśmy ją co najmniej przez tydzień. Ale oni już wiedzą, że jest nas dwie. Poza tym wszyscy naukowcy nie żyją. Dwa dodać dwa równa się cztery, to łatwe. Dlatego to, co dobre teraz, jest lepsze od tego, co mogłoby być później, choćby doskonałego. Sprawdźmy jej grafik. Jeśli jutro jest w biurze i zdążymy się przygotować, proponuję zrobić to rano.

Roberta przesunęła dźwignię zmiany biegów.

– Jestem za.

• • •

Pokój Neilsena był zamknięty na klucz. Smith wyjęła z torebki wąską skórzaną saszetkę, a z niej dwa cienkie metalowe wytrychy, płaski i szpiczasty. Włożyła płaski do zamka i przytrzymała go na dole. Drugi wetknęła wyżej, zaczęła poruszać nim tam i z powrotem i dziesięć sekund później zamek puścił. Walsh wszedł do środka pierwszy. Reacher za nim, z uczuciem skrępowania, które ogarniało go, ilekroć wchodził do pokoju kogoś, kto już nie żył. Smith zamknęła drzwi.

Walsh podszedł do biurka i nacisnął guzik na automatycznej sekretarce. Odskoczyła klapka z przydymionego plastiku. Kieszeń była pusta. Walsh spojrzął na faks. Na tacy też nic nie było.

– Cholera. Agencja już tu posprzątała. Ale...

Wystukał kilka cyfr na panelu. Faks zawarczał i parę sekund później wypluł kartkę. Walsh pokazał ją Reacherowi i Smith. Widniały na niej trzy kolumny dat, numerów, godzin i długości rozmów.

– Spis połączeń. Wszystkich faksów, które Neilsen wysłał i odebrał. – Popatrzył na Smith. – Mogę zerknąć na waszą listę? – Sprawdził coś i kiwnął głową. – Tak. Spójrzcie. Te same numery, tu i tu.

– To coś pomoże? – spytał Reacher. – Mordercy zwykle nie zdradzają swoich planów, a już na pewno nie faksem.

– Nie sądzę, żeby wysyłał faks. Zobacz. Czas trwania: jedna sekunda. Liczba odebranych stron: zero.

– Więc co zrobił?

– W moim pokoju numer telefonu i numer faksu różnią się tylko jedną cyfrą. A u was?

– W moim też – odparła Smith.

Reacher kiwnął głową.

– Więc można bezpiecznie założyć, że u Neilsena jest tak samo – powiedział Walsh. – Myślę więc, że ktoś połączył się z jego faksem przez pomyłkę. I od razu przerwał połączenie.

– Ale po co?

– Jeśli Neilsen zostawił komuś wiadomość, mógł podać mu zły numer. Albo dzwoniący się pomylił.

Smith porównała obie listy.

– Czasy się zgadzają – rzuciła. – Neilsen zadzwonił pod ten numer zaraz po spotkaniu z Sarbotskim. Wypił wtedy morze wódki, pamiętasz? – Spojrzała na Reachera. – Kiedy zostawia się wiadomość, ledwo stojąc, łatwo o pomyłkę. A odpowiedź przyszła, kiedy byliśmy w barze.

– Dobrze, więc Neilsen zostawia prowokacyjną wiadomość. Odbiorca próbuje się z nim skontaktować, ale nie może. Więc co robi? Nakręca się? A jego szef wysyła kogoś, żeby rozwiązał problem?

Szef, czyli Stamoran, pomyślała Smith, lecz nie powiedziała tego na głos.

– To prawdopodobne – przyznał Reacher. – Warte sprawdzenia. Ale dlaczego ten ktoś od razu przerwał połączenie?

– Nigdy się nie pomyliłeś, wysyłając faks?

– Nie mam pojęcia.

Walsh wskazał telefon Neilsena.

– Spróbuj. Wybierz swój numer.

Reacher spróbował. Jego uszy momentalnie zalała elektroniczna kakofonia tak zgrzytliwych dźwięków, że od razu trzasnął słuchawką.

– Cholera, co to było?

Walsh uśmiechnął się z wyższością.

– Przepraszam. To fakсы. Właśnie tak się ze sobą komunikują. Teraz już rozumiesz, dlaczego tamten przerwał połączenie.

Smith podniosła słuchawkę. Wybrała numer, znowu wyrzuciła z siebie serię skrótów i zażądała listy wszystkich innych numerów, pod które dzwonił ktoś, kto próbował skontaktować się z Neilsenem. Potem poprosiła, żeby ją przełączono, i podała komuś numer do sprawdzenia. Milczała kilka sekund, pokręciła głową i odłożyła słuchawkę.

– Przefaksują mi listę. Numer należy do niejakiego Johna Smitha. Ale to nikt z mojej rodziny.

21

Recepcja w siedzibie AmeriChem mieściła się w eleganckim holu udekorowanym najdroższymi materiałami i muzealnymi dziełami sztuki, ale wszystko to sprowadzało się do jednego: wystrój miał odstraszać ludzi. Chyba że byli posiadaczami przepustki do otwierania bramek obrotowych. Jak na przykład zatrudniony tam personel. Mogli ją również dostać umówieni czy zaproszeni goście. Veronica Sanson nie należała do żadnej z tych grup. Dlatego żeby dostać się do budynku, poszła najpierw do pobliskiego Starbucksa. Stała w kolejce i czekając, wyjęła z kieszeni żółtą smycz ozdobioną komiksowymi wizerunkami małpek. Kupiła ją przed laty w sklepie turystycznym w Tel Awiwie. Teraz zawiesiła ją na szyję, a klips wetknęła pod kurtkę, jakby miała przepustkę, lecz nie chciała jej nikomu pokazywać w drodze do pracy. Doszedłszy do lady, zamówiła cztery venti latte. Ich największy napój. Poprosiła o kartonową tacę, włożyła wielkie kubki do narożnych otworów, a środek tacy zasypała saszetkami cukru i mieszadełkami.

Wyszła na ulicę i po chwili pchnęła ramieniem obrotowe drzwi w głównym wejściu do AmeriChem. Tacę trzymała przed sobą i szła bardzo ostrożnie, jakby w każdej chwili mogła ją upuścić i się poparzyć. Doszła do najbliższej bramki. I utknęła. Jedną ręką nie utrzymałaby tacy. A nie mając wolnych rąk, nie mogła wyjąć smyczy. Z tyłu napierało na nią coraz więcej

ludzi i coraz bardziej się denerwowała. Spróbowała przechylić tacę do siebie i omal jej nie upuściła. Trzymając ją w poziomie, spróbowała się pochylić i zbliżyć smycz do bramki, by czujnik otworzył ją bez konieczności wyjmowania klipsa spod kurtki. Trzy saszetki cukru wylądowały na podłodze. Spróbowała uwolnić przedramię i jeden kubek omal nie wyslizgnął się z otworu. Poczzerwieniała na twarzy. W oczach miała łzy. Podszedł do niej siwowłosa mężczyzna z wąsami, w garniturze. Pochylił się i otworzył bramkę swoją przepustką. Veronica przeszła przez nią na palcach i skręciła w stronę wind.

– Bardzo dziękuję – powiedziała, kiedy się z nią zrównał. – Myślałam, że umrę ze wstydu. Pracuję tu dopiero drugi dzień. Już nigdy nie zapomnę przygotować przepustki. – Zniżyła głos. – Mógłby pan nacisnąć za mnie guzik, kiedy wsiądziemy? Nie chcę, żeby znowu doszło do katastrofy. Jadę na piętro pani Kaslugi.

• • •

Susan Kasluga urzędowała w największym narożnym gabinecie na dziewiętnastym piętrze biurowca. Nie ma to jak być ważną szefową, pomyślała Veronica. Same korzyści, w tym pewnie najbardziej wykwalifikowana sekretarka. Weszła do damskiej toalety mieszczącej się w holu z windami, zostawiła tam tacę, wybiegła na korytarz i wpadła do sekretariatu. Spojrzała na nią zaniepokojona kobieta w czarnym kostiumie ze spodniami, siedząca przy szerokim antycznym biurku. Bardzo szczupła, miała ściągnięte do tyłu siwe włosy i surowe niebieskie oczy.

– To pani miałam to zgłosić, tak? Pani jest od RKO?

Kobieta natychmiast wstała.

– Ktoś ma zawał?

– Na dole. Piętro niżej. Przy windach. Ktoś wezwał już karetkę, ale Bóg wie, kiedy przyjedzie.

• • •

Veronica ruszyła za sekretarką, lecz zawróciła, kiedy tylko ta zniknęła za drzwiami. Obeszła biurko. Monitor komputerowy zajmował niemal pół blatu. Beżowy, zwalisty, lekko pochylony do tyłu, z gęstą plątaniną kabli wychodzących z obudowy. Telefon też był duży, skomplikowany, ze wszystkimi możliwymi lampkami i przyciskami. Skórzana podkładka. Trzy kilkucentymetrowe trolle ze świecącymi włosami, pewnie prezent od wnuka. Blok papieru i długopis. Wizytownik. Ciekawe, ile by mi dali za niektóre z tych nazwisk i liczb, przemknęło jej przez głowę. A z boku samotnie leżał oprawiony w skórę kalendarz. Otworzyła go i spojrzała na zapiski. Następnego dnia zaczęli o szóstej rano – *Serge, sala posiedzeń: przygotowania do konferencji prasowej* – i pracowali bez przerwy do szóstej wieczorem.

Przykro mi, Serge, pomyślała. Niepotrzebnie będziesz się tak wcześnie zrywał.

• • •

Reacher, Walsh i Smith wyszli z pokoju Neilsena. Agentka zamknęła wytrychami drzwi i poprowadziła ich do siebie. Tak było lepiej, bo przebywanie w pomieszczeniu należącym do kogoś, kto niedawno umarł, jest trochę makabryczne, a Smith czekała na faks.

Reacher i Walsh przynieśli krzesła ze swoich pokoi, siedli we troje i czekali. Faks skupiał całą ich uwagę, choć nic się z nim nie działo. Smith próbowała parę razy zainicjować rozmowę. Walsh rzucił kilka uwag na temat perspektyw finansowych kraju. Reacher milczał.

Po czterdziestu minutach na panelu zaczęło coś błyskać i urządzenie wyrzuciło na tacę kartkę. Smith wzięła ją, spojrzała i pokazała pozostałym.

– Połączenia z numeru, pod który dzwonił Neilsen. Po faksie do Neilsena ktoś wykonał tylko jeden telefon. Minutę po tym, jak się z nim rozłączył. Zobaczymy, do kogo zadzwonił.

Podniosła słuchawkę i znów zadzwoniła do kumpla, tego z odwrotną książką telefoniczną: dajesz numer, dostajesz nazwisko. Przez chwilę tylko słuchała. Potem poprosiła, żeby powtórzył wszystko jeszcze raz. W końcu podziękowała mu i odłożyła słuchawkę. Długo trwało, zanim spojrzała na Reachera i Walsh.

– Do kogo zadzwonił kontakt Neilsena? Do Charlesa Stamorana. Pod jego domowy numer. Na billingu jest jego nazwisko.

• • •

Roberta zjechała na pobocze i siostra wyskoczyła z samochodu. Weszła do budki telefonicznej, zadzwoniła na informację i poprosiła o numer komendy głównej straży pożarnej. Kiedy ją połączono, przedstawiła się jako studentka dziennikarstwa na Uniwersytecie Johnsa Hopkinsa. Powiedziała, że pisze artykuł na temat infrastruktury publicznej i kontrastujących ze sobą obszarów miejskich i chciałaby się dowiedzieć, pod które remizy podlegają pewne budynki. Podała ich listę. Katedra Narodowa. Muzeum Dumbarton Oaks. Biblioteka Kongresu. Kennedy Center. I siedziba AmeriChem Incorporated.

Remiza, która je interesowała, mieściła się na trójkątnej działce, w miejscu, gdzie dwie ulice zbiegały się ze sobą, tworząc na planie literę V. Było to bardzo dobre położenie, ponieważ wozy strażackie i karetki mogły wjeżdżać tam z jednej strony i wyjeżdżać z drugiej bez konieczności zawracania lub cofania. Kiedy siostry tam dotarły, wysokie i szerokie drzwi

stały otworem. Powiedziano im, że w Stanach Zjednoczonych tego rodzaju budynki są budynkami publicznymi i ludzie mogą do nich wchodzić, co uznały za dziwne.

Roberta zaparkowała z dala od szerokiego podjazdu i weszły do środka. W garażu stały cztery pojazdy. Trzy wozy strażackie i karetka. Wozy były różnej wielkości. Przez całą długość jednego biegła olbrzymia drabina. Drugi miał na dachu działko wodne. Trzeci wyglądał jak zwykły dostawczak pomalowany na czerwono. Parkowały dokładnie między wytyczonymi na podłodze liniami. Buty, hełmy oraz inne elementy wyposażenia strażaków starannie pogrupowano i ustawiono. Po lewej stronie było troje podwójnych drzwi. Prowadziły pewnie do biur, do kuchni i sypialni. I do poczekalni. Dochodził zza nich gwar głosów i słowa rozgorączkowanego komentatora telewizyjnego relacjonującego jakiś mecz.

Veronica stanęła tak, że natychmiast zobaczyłby ją każdy, kto by stamtąd wyszedł. Roberta obiegła maskę wozu z drabiną, stanęła na palcach, otworzyła drzwi od strony pasażera i wdrapała się do szoferki. Przesunęła ręką pod deską rozdzielczą, pod rzędami gałek i przełączników. Wymacała krawędź sztywnej wodoodpornej torebki przymocowanej od spodu na rzepy. Wyszarpnęła ją spod deski. Wyjęła z kieszeni nóż i przecięła opasujący ją zacisk. Dokładnie przejrzała znajdujące się w środku dokumenty i w końcu znalazła ten, którego szukała. Wzięła głęboki oddech. Skupiła się na zawartych tam informacjach i zapamiętała je. Potem schowała dokumenty do torebki i przytwierdziła ją rzepami do spodu deski rozdzielczej.

Zeskoczyła na podłogę i pobiegła do drzwi, podczas gdy Veronica przeszła na drugą stronę garażu, gdzie stała karetka. Idąc między nią a ścianą, usłyszała, że dochodzące zza podwójnych drzwi entuzjastyczne krzyki przybrały na sile. Tylko na sekundę. Z poczekalni wyszło dwoje

ludzi. Mężczyzna i kobieta. Oboje w czarno-zielonych mundurach. Zauważyli ją i skręcili w jej stronę.

– Możemy w czymś pomóc? – spytała kobieta z miną przyjazną, ale jednocześnie podejrzliwą.

• • •

Veronica zerknęła przez ramię. Mężczyzna i kobieta – kimkolwiek byli – jej nie widzieli, poszła więc dalej i przystanęła dopiero przed dużą tablicą ogłoszeń.

• • •

– Jesteście sanitariuszami? – spytała Roberta.

Mężczyzna i kobieta skinęli głowami.

– Fantastycznie. Po to tu przyszłam. Chcę się zapisać. Rozpocząć szkolenie. I nie wiem, jak się do tego zabrać. Na pewno muszę wypełnić jakieś formularze. Jakie wymagania edukacyjne trzeba spełniać? Jak wysoko jest postawiona poprzeczka?

– Proszę tu poczekać – powiedział mężczyzna. – Dam pani pakiet informacyjny. Wszystko w nim jest. Może pani zabrać go do domu i przeczytać. I jeśli stwierdzi pani, że to jest to, proszę do nas przyjść i zobaczymy.

• • •

Veronica przebiegła wzrokiem kartki przypięte do tablicy. Większość informacji była mało ważna lub zupełnie nieprzydatna. Ale na środku tablicy znalazła tę, której szukała. Listę adresów z największą liczbą wezwań do incydentów z bronią palną. Było ich czternaście, każdy opatrzony kilkoma ptaszkami. Miały ostrzegać jadące tam załogi, żeby

zachowały szczególną ostrożność. I żeby w razie pierwszych oznak kłopotów wezwały policję. Przyjrzała się adresom i zapamiętała trzy z największą liczbą ptaszków.

• • •

Mężczyzna wrócił i podał Robercie plik skserowanych kartek.

– Powodzenia – rzucił i nie został, żeby porozmawiać.

Kobieta też nie. Ruszyli w stronę karetki. Dokładnie tam, gdzie pobięła Veronica. I wciąż tam była.

– Zaczekajcie! – Roberta ruszyła za nimi. – To niesamowite! Dziękuję. Jeszcze jedno. Czy są jakieś wymagania kondycyjne? Trzeba przebiec dwa kilometry w konkretnym czasie? Przenieść coś ciężkiego?

• • •

Veronica padła na podłogę i przetoczyła się pod karetką.

• • •

– Wszystko jest w pakiecie. – Mężczyzna szedł dalej.

Kobieta prawie nie zwolniła kroku.

• • •

Veronica wstała. Upewniła się, że nikt jej nie widział, zaczęła na siostrę i poszły spacerkiem do samochodu.

• • •

– To pomyłka – powiedział Walsh. – Na pewno. Charles Stamonan?

Smith pokręciła głową.

– Żadna pomyłka. Kolega sprawdzał trzy razy. To jest numer telefonu Stomorana. Na sto procent. Sprawdził nawet, czy na pewno nie innego Stamorana.

– Niewiarygodne.

– Nie. Po prostu nie chcesz w to uwierzyć – poprawił go Reacher. – To różnica.

– Sekretarz obrony zlecił komuś zabójstwo? Absurd!

– Absurd? Dlaczego? Zabójcami są tylko ludzie na określonych stanowiskach? Poluję na nich od lat, z tego żyję. Wierz mi, są wszelkiej maści i pokroju.

– Naprawdę w to wierzysz?

– Wierzę, że to możliwe. Widać wyraźny ciąg wydarzeń. Neilsen zadzwonił do „Johna Smitha”, żeby „potrząsnąć drzewem”, jak to ujął. John Smith próbował oddzwonić, ale przez pomyłkę wybrał numer faksu. Potem zadzwonił do Stamorana. I Neilsen zginął. Smith znalazł się w ślepym zaułku, więc przekazał sprawę wyżej, a Stamoran nie chciał ryzykować. To nawet do niego pasuje. Nie zostaniesz sekretarzem obrony, jeśli nie umiesz podejmować brutalnych decyzji.

– Chcesz...

Zadzwonił telefon. Smith odebrała, słuchała przez chwilę, a potem warknęła:

– Dlaczego? Bzdura! Ktoś musi umieć! No dobra. Dzięki, że próbowałaś.

– Czuję, że jest niedobrze – wymamrotał Walsh.

– To był kolega z pracy. Ten od billingów. Mówi, że nie da się sprawdzić połączeń przychodzących do biura i wychodzących z niego. Nie są rejestrowane. Na polecenie Departamentu Obrony.

– Więc mamy tylko jeden trop?

– Jeden wystarczy – powiedział Reacher. – Pod warunkiem że jest dobry.

– Wszystko pasuje – dodała Smith. – Czas, ruchy Neilsena, nawet to, że pił.

– Jest tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić. – Reacher przysunął bliżej telefon i zaczął wybierać numer. – Teraz moja kolej, żeby potrząsnąć drzewem.

• • •

Siostry pojechały pod pierwszy z trzech adresów, które Veronica wypatrzyła na tablicy ogłoszeń w remizie. Roberta zaparkowała przy krawężniku, ale nie wyłączyła silnika. Ceglany dom był piętrowy i miał zielone jednoskrzydłowe drzwi w nagiej bocznej ścianie. Nie było widać ani śladu jakiegokolwiek aktywności. Nie o tej porze dnia.

– To jakaś szulernia? – spytała Roberta.

– Możliwe – odparła Veronica. – Nie podoba mi się. Jedno wejście. Nie widać, co jest w środku. Proponuję jechać dalej.

– Zgoda.

Roberta płynnie ruszyła, pojechały pod drugi adres na liście i od razu stało się jasne, dlaczego tak często wzywano tu karetki do przypadków ran postrzałowych. Szyby domów były zamalowane od środka na czarno. Przed drzwiami wejściowymi leżał stos plastikowych butelek. Toreb po żwirku dla kotów. Obok stało kilka wiader, pogiętych i wgniecionych. I nawet w samochodzie czuły zapach amoniaku. Laboratorium amfetaminy. To było oczywiste. W domach naprzeciwko musiały działać podobne, zanim się spaliły.

Siostry siedziały w samochodzie niecałą minutę, gdy na chodniku pojawił się mężczyzna. Nadchodził powoli z drugiego końca ulicy. Wysoki

i przeraźliwie chudy, był w czapce Metsów. W baseballowej kurtce. Porwanych džinsach. I w sportowych butach, kiedyś chyba białych. Veronica uchyliła drzwi i wyslizgnęła się z samochodu. Mężczyzna tego nie zauważył. Patrzył na Robertę i po chwili zatrzymał się przy drzwiach od jej strony. Opuściła szybę, tylko na kilka centymetrów.

Uśmiechnął się szyderczo.

– Zgubiłaś się, dziewczynko?

– W sensie duchowym? Czy geograficznym?

– Co?

– Nie zgubiłam się. Przyjechałam w interesach.

– A niby jakie prowadzimy tu interesy?

Roberta ruchem głowy wskazała na dom.

– Coś... pichcicie?

– Jesteś z policji?

– Jestem kompletnym przeciwieństwem policji.

– I tak mi się nie podobasz. Czas odjechać.

– Dopiero co przyjechałam. A to taka czarująca okolica.

– Zjeżdżaj.

– A jeśli nie zechcę?

Mężczyzna wyprostował się i rozchylił kurtkę. Miał dwa pistolety za paskiem džinsów, z prawej strony i z lewej. Ze skierowanymi na zewnątrz rękojeściami, więc żeby je wyciągnąć, musiałby skrzyżować ręce.

– Aż dwa? – Roberta podniosła głos. – Widzę, że okolica nie jest jednak aż tak czarująca.

– Czy ty...

Veronica wyszła z samochodu. Ruszyła w stronę mężczyzny, biorąc zamach lewą ręką, w której trzymała łyżkę do opon. Stała pewnie i żeby

mocniej uderzyć, skrzyła się w talii. Rozszerzony koniec łyżki trafił mężczyznę w skroń. Jego głowa odskoczyła w bok. Oczy przewróciły się w oczodołach. Kolana zmiękły jak namoczona bułka. I głupek upadł na chodnik u jej stóp. Pochyliła się i zabrała mu pistolety. Poszperała w kieszeniach i znalazła dwa zapasowe magazynki. Je też zabrała, obeszła samochód i wsiadła.

– Dobry uczynek na rzecz lokalnej społeczności – powiedziała Roberta.
– Na dziś wystarczy. Czas na zakupy. Będą nam potrzebne ubrania i radionadajniki. I kilka innych rzeczy, na wypadek gdyby nie chciała się z nami bawić.

• • •

Reacher i Walsh wciąż byli w pokoju Smith, kiedy zapiszczały wszystkie trzy pagery. Wyszli razem na korytarz i jedno za drugim weszli do sali odpraw. Christopher Baglin siedział już u szczytu stołu. Reacher i Smith zajęli swoje miejsca. Walsh ruszył w stronę okna. Wszyscy robili, co mogli, by nie patrzeć na puste krzesło Neilsena.

– Przepraszam, że zostawiłem was rano, ale na pewno rozumiecie, że musiałem przedsięwziąć pewne kroki. Jestem przekonany, że mimo to był to dla was produktywny dzień. Słucham, co dla mnie macie?

Reacher nie miał nic. Smith też pokręciła głową. Ale Walsh podniósł rękę.

– Mam więcej informacji o Neville’u Pritchardzie. O tym, jak zgromadził swój kapitał. Musiałem głęboko kopać, ale się dokopałem. Znalazłem liczne dowody na to, że sprzedawał, a potem odkupował duże ilości mało popularnych walut.

– Może pan szerzej? – poprosił Baglin. – Jakie to ma znaczenie? Tylko bez finansowego żargonu proszę.

– Mechanizm pożyczkowo-kredytowy w walutach obcych, tak to się nazywa. Niezbyt zgrabnie, ale mechanizm jest bardzo efektywny. Najprościej mówiąc, Pritchard spekulował na kredytach i pożyczkach w obcych walutach. Potajemnie transferował fundusze, legalizując jednocześnie źródło ich pochodzenia.

– Szmugłował pieniądze, jednocześnie je piorąc? – spytał Reacher.

– Coś w tym rodzaju. Tylko że to zupełnie legalne. Wymaga jednak pewnych umiejętności. Trzeba dokładnie przewidzieć, która waluta straci dużo na wartości. Działa to mniej więcej tak: wyobraźmy sobie, że kupiłem wenezuelskie boliwary za milion dolarów, po czym pożyczyłem je Reacherowi. Reacher mógłby je natychmiast sprzedać i miałby równy milion. Tak?

Nikt nie zgłosił sprzeciwu.

– A teraz wyobraźmy sobie, że wartość boliwarów spada o dwadzieścia procent. Reacher mógłby kupić tyle samo, co sprzedał, ale zapłaciłby tylko osiemset tysięcy. A potem mógłby mi je zwrócić, całkowicie spłacając dług. A przy okazji wpadłoby mu do kieszeni dwieście tysięcy dolarów. Prawda?

– Chyba tak – zgodziła się z nim Smith.

– Pomysłowe – mruknął Baglin.

Reacher milczał.

– Mało tego – kontynuował Walsh. – Byłyby to zupełnie czyste pieniądze. Zarobiły je, spekulując walutami, co jest u nas legalne. Miałyby dokumenty poświadczające wszystkie transakcje. To sposób o wiele lepszy niż pranie brudnych pieniędzy z handlu narkotykami czy bronią.

– I Pritchard to robił? – spytał Baglin. – Na pewno?

– Tak, na pewno. Na początku lat siedemdziesiątych.

– A pozostali naukowcy?

– Nie znalazłem na to dowodów.

– Niech pan szuka dalej. Dobra robota, Walsh. Reacher i Smith, w porządku, zrobiliście sobie luźny dzień. Ale jutro luzu nie będzie. Macie tu być rano z głowami pełnymi pomysłów. Zrozumiano?

• • •

Walsh zaczekał, aż zamkną się drzwi.

– Słuchajcie – zaczął z wahaniem. – O czymś nie wspomniałem Baglinowi. Nie wiedziałem, czy przy nim to bezpieczne. Albo rozsądne.

– O czym nie wspomniałeś? – spytał Reacher.

– Chodzi o pożyczki, na których zarabiał Pritchard. Wszystkie brał w tej samej firmie. W AmeriChem. Dlatego się jej przyjrzałem. Zanim powstała, Susan Kasluga założyła inną. Na Wielkim Kajmanie, ze współnikiem z Wysp Dziewiczych. Ich oficjalnym celem było zdobycie kontraktu na budowę fabryki chemicznej w Pakistanie. Kontrakt nie wypalił i spółkę rozwiązano. Kasluga wycofała swoje udziały i podała do sądu współnika. Podpisali ugodę i dostała olbrzymie odszkodowanie.

– Więc miała szczęście? Czy pecha?

– Wykorzystała po prostu inny sposób na ściągnięcie pieniędzy do kraju i ich zalegalizowanie. To było tuż przed Pritchardem i jego walutowymi pożyczkami. Zgadnijcie, kto zasiadał wtedy w zarządzie firmy. Dyrektor Charles Stamon. Co nie było niezgodne z prawem. Zrezygnował ze stanowiska w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym roku, kiedy jego aspiracje polityczne zaczęły przynosić owoce. AmeriChem nigdy nie realizowała mętnych kontraktów rządowych. Ale zważywszy na nasze podejrzenia...

– Dobrze zrobiłeś, zachowując dyskrecję. To był mądry ruch. No i znowu wyskakuje to nazwisko. Susan Kasluga.

– „Znowu”?

– Pojawilo się już kilka razy... ostatnio. Może po prostu jestem na nie wyczulony w związku ze Stamoraniem. Wiesz coś o niej? W Departamencie Skarbu powinni mieć jej teczkę.

– O tezcze nic nie wiem. Ale czytałem kilka wywiadów. Jej życiorys. Kilka artykułów na jej temat. Jest ważną postacią w świecie przemysłu chemicznego. Swego rodzaju prekursorką. Cieszy się niemal nieposzlakowaną opinią.

– Niemal?

– Startowała od małej firmy, rozbudowała ją do olbrzymiej korporacji i wkrótce wszystko, czego po drodze dotknęła, zaczęło zmieniać się w złoto. Potknęła się tylko raz, na samym początku. Pozwano jej firmę. Chodziło o wadę produktu, który wytwarzała. W sumie to nic niezwykłego. Nie pamiętam szczegółów. Ale mogę sprawdzić.

– Sprawdź. Koniecznie.

– Dajcie mi dwadzieścia cztery godziny.

– Świetnie. Czy ktoś jest głodny?

– Ja tak – oparła Smith. – Ale chodźmy gdzieś indziej. Moja noga już nigdy nie postanie w tamtej porąbanej knajpie.

22

Reacher lubił symetrię. Ktoś zostawił ciało Neilsena na podłodze w łazience, więc oczywiście chciał zostawić tam ciało zabójcy. Problem polegał na tym, że podłoga była w hotelu. A on nie dość, że zmienił hotel, łamiąc potencjalny schemat, to jeszcze musiał liczyć się z tym, że w hotelach mieszkają ludzie. A ludzie słyszą różne rzeczy – jak choćby odgłosy, które mógłby wydawać zabójca Neilsena, gdyby odmówił współpracy – i czasem dzwonią na policję. Dlatego podczas rozmowy telefonicznej z „Johnem Smithem” powiedział mu, że wie wszystko, co wiedział agent CIA, i że o dziesiątej wieczorem będzie czekał w opuszczonym kościele trzy kilometry za miastem.

Przyjechał tam o ósmej. Jeśli chodziło o zasadzki, niezmiennie kierował się złotą dla niego zasadą: zawsze bądź na miejscu pierwszy. Dawało to możliwość zapoznania się z terenem. Stary kościół był w opłakanym stanie. Brakowało dachu. Rozpadały się ściany. Nad czymś, co musiało być kiedyś ołtarzem, zachował się witraż. Przetrwały też dwa równoległe rzędy kolumn ciągnące się wzdłuż porośniętej chwastami nawy. I kilka kikutów w miejscach, gdzie wsporniki podtrzymywały kiedyś ściany od zewnątrz. Natknął się na stertę tynku i kamieni, które odpadły od ścian; rzucała dobry, głęboki cień, postanowił więc zaczekać tam.

Zabójca Neilsena przyszedł o dziewiątej. Też wcześniej. Tyle że później niż on.

Reacher uważał się za uczciwego człowieka. Starał się nie wyciągać pochopnych wniosków. Zawsze dawał przeciwnikowi szansę poddania się... prawie zawsze. Tym razem nie zamierzał tego robić. Bo ten przeciwnik od samego początku nie ukrywał swoich intencji. Były jasne jak słońce. Przyszedł przygotowany. Z latarką na głowie, jak górnik. Przyniósł drabinę. I sznur. Zawiązał na nim pętlę i rozejrzał się wokoło. Wybrał ocalały łuk między dwiema kolumnami w miejscu, gdzie wyłowiłyby go z mroku reflektory nadjeżdżającego samochodu. Porażający widok, bez dwóch zdań. I pewnie o to mu chodziło. Chciał wygrać bitwę, zanim rozpocznie się walka.

Owinął sznurem ramię i ustawił drabinę. Wspiął się na trzy czwarte jej wysokości i rozhuśtał sznur, żeby przerzucić go przez łuk. Patrzył w górę, gdy Reacher wyszedł z cienia. Szedł powoli i ostrożnie, omijając gruz i kawałki kamiennych płyt. Przystanął niecały metr przed drabiną. Pochylił się, chwycił za jej dół i szarpnął do góry. Facet pofrunął do przodu jak motocyklista, który przeleciał nad kierownicą podczas wypadku. Grzmotnął w ziemię. Z głowy spadła mu latarka, wylądowała pionowo i rzucała dziwne cienie. Przetoczył się, z trudem łapiąc oddech. Reacher podszedł bliżej i przydeptał mu nogą szyję.

– Nie zmiażdżyłem ci krtani tylko z jednego powodu. Poprawka: jeszcze nie zmiażdżyłem. Wiesz, z jakiego?

Tamten chciał się odczołgać, więc Reacher zwiększył nacisk buta.

– Bo musisz być w stanie mówić. Odpowiedzieć na moje pytania. Gotowy? Pytanie pierwsze: czy zabiłeś wczoraj Kenta Neilsena?

Morderca znieruchomiał, lecz wciąż milczał.

– Nie muszę miażdżyć ci krtani od razu – powiedział Reacher. – Masz mnóstwo innych części ciała. – Podniósł nogę i nastąpił na jego lewą rękę.

Mężczyzna zawył z bólu.

Reacher przestawił nogę z powrotem na szyję.

– A teraz opowiedz mi o Neilsenie.

– Miałem go zabić, tak. O czym tu gadać?

– Kto cię nasłał?

– Ten sam gość, który zapłacił mi za tego walniętego naukowca. Nie wiem, jak się nazywa. Za krótko dla niego pracuję.

– Jak przekazuje ci instrukcje?

– Przez telefon.

– Jak ci płaci?

– Zostawia kasę w skrzynce kontaktowej.

– Jak się poznaliście?

– W ogóle się nie poznaliśmy. Dowiedziałem się od kumpla, że ktoś ma zlecenie. A szukałem roboty. Wszystko robi się zdalnie.

– Ten „walnięty naukowiec” to Neville Pritchard?

– Chyba tak. Nie mam pamięci do nazwisk.

– Zabiłeś dwóch jednego dnia?

– Nie. Pritcharda pięć dni temu.

– Na pewno?

– Akurat do dat to pamięć mam.

– Jak go znalazłeś?

– Powiedziano mi, gdzie będzie.

– W domu?

– Na polu kempingowym. W kamperze. Dlatego wziąłem wąż.

Kształty i wzory w głowie Reachera zmieniały się i przesuwały jak kawałki szkła w kalejdoskopie. Wszystko wskazywało na to, że za śmiercią Neilsena stoi Charles Stamoran, ale śmierć Neville'a Pritcharda przypisano dwóm kobietom. A tu proszę: gość twierdzi, że zabił ich obu. Wykonując zlecenie tego samego człowieka. Co znaczyło, że Stamoran ma na koncie dwa zabójstwa. Nie jedno. I że Pritchard zginął wcześniej, niż myśleli. Stamoran wykorzystał więc naukowców nie tylko jako przynętę. Wykorzystał ich również jako przykrywkę. Był jeszcze bardziej okrutny, niż się wydawało.

– Dam ci wybór. Możesz powtórzyć to wszystko na policji. Albo umrzeć tu i teraz.

Facet patrzył na zmiażdżoną lewą rękę i machał nią, jakby chciał odpędzić ból. Ale jego prawa ręka też się poruszała. Sunęła ukradkiem w stronę pasa. Do kieszeni. W cieniu, który rzucało światło latarki. Dlatego Reacher za późno ją zauważył. Za późno podniósł nogę. Gdy ręka wychynęła na zewnątrz, facet coś w niej miał. Kawałek metalu. Okrągły, najeżony sterczącymi na wszystkie strony kolcami. Zgiął ją w nadgarstku, jakby chciał tym czymś rzucić. Miał do wyboru dużo celów. Udo. Krocze. Brzuch. A nawet twarz czy szyję. Dużo ważnych arterii. Dużo newralgicznych organów wewnętrznych. Rana zadana tego rodzaju bronią mogłaby być bardzo groźna. Nawet śmiertelna. Dlatego Reacher nastąpił na jego rękę, tę uzbrojoną – mocniej, niż zamierzał – i wbił mu ją w brzuch. Razem z ostrym jak brzytwa dyskiem. Nie widział rany, bo cień był za głęboki. Ale w tyle gardła od razu poczuł ten charakterystyczny gorzki, metaliczny smak.

Mężczyzna podniósł wzrok i jęknął z bólu.

– Wiesz, co możesz teraz zrobić z tą swoją policją?

• • •

Do hotelu wrócił tuż przed północą. Smith i Walsh czekali na niego w barze. Nie miał ochoty siedzieć wśród obcych, więc zaproponował, żeby spotkali się u niego w pokoju. Zabrał ze sobą filiżankę kawy. Smith wzięła whisky, chyba nie pierwszą. Walsh został przy wodzie.

Usiedli w salonie i opowiedział im, co się stało w opuszczonym kościele. Nie ukrywał frustracji. Liczył na to, że uda mu się zmienić podejrzenia w fakty, tymczasem wrócił z kolejną teorią. W dodatku z teorią, która stawiała Stamorana nie w lepszym, tylko w jeszcze gorszym świetle. Bo o ile zabójstwo Neilsena można by interpretować jako paniczną reakcję na bezpośrednie zagrożenie, o tyle zważywszy na daty, zlikwidowanie Pritcharda wyglądało na ruch zimny i wyrachowany.

– Dobrze, że nic ci się nie stało. – Smith zadrżała. – Pętla? Chciał cię powiesić? Boże...

– Nie dałby rady – powiedział Reacher.

– Zagazował Pritcharda – przypomniał mu Walsh.

– Nie jestem Pritchardem.

– Przynajmniej nikogo już nie zabije. – Smith westchnęła.

– To był tylko szeregowy żołnierz. Ja chcę generała. I zaczynam tracić cierpliwość. Czas trochę tym potrząsnąć.

– To znaczy?

– Porozmawiam ze Stamoranem. Pokażę mu billingi. Spojrzę mu w oczy i zobaczę, jak zareaguje.

– Chyba żartujesz. – Smith wytrzeszczyła oczy. – On jest sekretarzem obrony.

– I to stawia go ponad prawem?

– Nie, za murem ochroniarzy. Nie możesz tak po prostu do niego podejść i go oskarżyć. Poza tym jak byś go znalazł? W „Post” nie drukują jego planu dnia.

– Zaczekam przed jego domem. Wtedy nie będzie miało znaczenia, dokąd się wybiera. I chyba już wiem, jak pozbyć się ochroniarzy.

– Nie możesz...

– Pozbyć się w nieszkodliwy sposób – zapewnił Reacher. – I spokojnie, pójdę sam. Jeśli będzie wtopa, żadne z was nie oberwie rykoszetem.

• • •

Porozmawiali jeszcze z dziesięć minut, a potem Walsh dopił wodę i ruszył do drzwi. Po drodze przystanął, wyjął kopertę z torby i położył ją obok minibarku.

– Informacje, o które prosiłeś. O Kasłudze. Daj mi znać, jeśli będziesz potrzebował czegoś więcej.

Smith poszła do toalety. Nie wracała tak długo, że Reacher zaczął się martwić, że za dużo wypila. W końcu wróciła i unikając jego wzroku, usiadła na kanapie. Przez chwilę kołysała się do przodu i do tyłu, a potem pochyliła się tak mocno, że prawie dotknęła twarzą kolan. Objęła się za głowę, zadrżała i usłyszał jej szloch, głęboki, gwałtowny i nieskrywany.

Nie wiedział, co powiedzieć.

– Amber? Dobrze się czujesz? – Nic innego nie przyszło mu do głowy.

Smith długo milczała. Wreszcie usiadła prosto i wytarła policzki.

– Pytałeś mnie w barze, czy jestem mężatką. Powiedziałam, że nie. To prawda. Dopóki śmierć nas nie rozłączy i tak dalej...

– Mąż nie żyje?

– Miał na imię Philip. Zginął. Zabił go agent KGB. Danił Litwinow. Jest teraz w Moskwie. Gdzie nie mogę go dorwać.

– Dlatego podsunęłaś Baglinowi nazwiska tych Rosjan?

Kiwnęła głową i po jej policzku spłynęła kolejna łza.

– To było rok temu. Wszyscy mówią, że to wystarczy. Że powinnam żyć dalej. Mama. Siostra. Znajomi. Pomyślałam, że może mają rację. I powiedziałam sobie, że pierwszy facet, który mi się spodoba... Ale myślę tylko o Philipie. Utknęłam. Nie wiem, co robić. Może moje życie osobiste umarło. Moja kariera zawodowa to katastrofa... Przepraszam. Nie wiem, dlaczego ci to mówię.

Reacher usiadł na kanapie i objął ją.

– Nie masz za co przepraszać. Nie można niczego przyspieszyć. To trwa tyle, ile trwa. I nikomu nic do tego. Może pewnego dnia poczujesz, że jesteś gotowa do dalszej drogi. A może nie. Tak czy inaczej, nie robisz nic złego. Źle zrobił skurwysyn, który zabił twój męża.

Oparła się o jego pierś i znów się rozszlochała, tym razem bezgłośnie. Płakała z dziesięć minut, a potem zwiotczała mu w ramionach. Wziął ją na rękę, zaniósł do łóżka i przykrył złożoną na pół kołdrą. Potem przeszedł do drugiej części apartamentu i podniósł słuchawkę telefonu. Zadzwoił do swojej bazy i kazał sierżantowi dyżurnemu przywieźć do hotelu przed szóstą rano mundur wyjściowy.

Położył się na kanapie i zamknął oczy. Zastanawiał się, czy jakaś maszyna pracująca w trzewiach budynku zarejestruje jego telefon. I czy nagranie to zostanie wykorzystane jako dowód rzeczowy, jeśli znajdą go wykrwawionego na podłodze w łazience.

23

Cztery godziny później, o piątej rano, Roberta i Veronica Sanson jechały rampą prowadzącą do podziemnego garażu AmeriChem. Roberta zatrzymała się przed szlabanem i wprowadziła kod, który znalazła w wodoodpornej torebce pod deską rozdzielczą strażackiego wozu bojowego w remizie. Przez długą chwilę nic się nie działo. Przyspieszył jej puls. Nie było gwarancji, że straż regularnie aktualizuje kody. Gdyby nie udało im się wjechać do garażu, cały plan wzięłby w łeb. Ale niepotrzebnie się martwiła. Szlaban podniósł się i ruszyła dalej. Zaparkowała jak najdalej od wind. A potem usiadły wygodnie, żeby poczekać.

• • •

Tego ranka Susan Kasługa nie czytała w samochodzie w drodze do pracy. Zmarnować dwadzieścia minut – zgoda, o tej porze dziesięć – które mogłaby wykorzystać na coś produktywnego? To było zupełnie do niej niepodobne, ale zestresowana, leciała z nóg. W nocy nie spała, bo czekała na telefon, który jednak nie zadzwonił, a poza tym miała przed sobą męczącą sesję z Serge’em, trenerem medialnym. Za kilka dni chciała ogłosić przełomową fuzję i musiała być dobrze przygotowana. Musiała. Ale wiedziała, że nie jest. A ponieważ straciła okazję, żeby się wyspać, pragnęła tylko jednego: zamknąć oczy.

Roberta i Veronica obserwowały wjeżdżającą do garażu limuzynę. Samochód zatrzymał się u stóp rampy i wysiadło z niego dwóch ochroniarzy. Rozejrzeli się teatralnie na wszystkie strony, a gdy po chwili dołączyła do nich Kasługa, we troje ruszyli do windy. Kiedy zamknęły się za nimi błyszczące drzwi, siostry odczekały dziesięć minut – na wszelki wypadek – po czym Veronica wylała trochę chloroformu na ściereczkę. Roberta uruchomiła silnik, pojechała w kierunku rampy i zatrzymała się obok limuzyny. Veronica wysiadła i dała znak szoferowi, żeby opuścił szybę. Kiedy to zrobił, wetknęła głowę do kabiny i zatkała mu ściereczką usta i nos. Mężczyzna szybko przestał się szarpać i wtedy siostra pomogła jej wywlec go z samochodu i wepchnąć do bagażnika. Zakneblowały go, związały mu ręce i nogi i Veronica zajęła jego miejsce za kierownicą. Wjechała na rampę. Roberta za nią chevroletem. Wróciły dziesięć minut później, razem. Limuzyna Kasługi została na najwyższym piętrze garażu publicznego trzy ulice dalej.

Veronica ściągnęła windę przepustką szofera i nacisnęła guzik dziewiętnastego piętra. Wjechały na górę, wyszły na pusty korytarz i skręciły w stronę narożnego gabinetu Kasługi. Roberta otworzyła drzwi do sekretariatu, a jej siostra stanęła z boku, na wypadek gdyby sekretarka pracowała w tych samych godzinach co szefowa. Nie pracowała. W środku byli tylko ochroniarze. Jeden siedział przy biurku, bawiąc się trollami. Drugi póллеżał na dwuosobowej sofie.

Roberta zrobiła krok do przodu.

– Dzięki Bogu, że was znalazłyśmy. Jest problem. Dwóch facetów z plecakami. Bez zarostu, na oko Arabowie. Przed chwilą weszli do toalety przy windach. Chodźcie.

Wypadła na korytarz, a ochroniarze za nią. Dobiegła do toalety i przystanęła obok drzwi.

– Dziękujemy paniom – rzucił ten, który przed chwilą leżał na sofie. – Już sobie poradzimy.

Ochroniarze pchnęli drzwi i szybko weszli do środka. Siostry za nimi. Ten od trolli odwrócił się i warknął:

– Nie słyszałyście? Poradzimy sobie.

– Na pewno? – Roberta wskazała przeciwległy kąt toalety. – Z nim też?

Gdy mężczyzna odwrócił się, by spojrzeć w tamtą stronę, uderzyła go w skroń. Jeden cios wystarczył. Ochroniarz zwałił się na podłogę, jakby wyłączyła mu prąd w głowie. Veronica ruszyła na drugiego. Najpierw kopnęła go w krocze, a kiedy zgiął się wpół, grzmotnęła go łokciem w kark. Dwa razy więcej ciosów, ale ten sam rezultat końcowy.

• • •

Roberta stanęła przed drzwiami do gabinetu i podniosła trzy palce. Potem dwa. Później jeden. Nacisnęła klamkę i wpadła do środka. Susan Kasluga siedziała przy designerskim biurku z chromu i szkła. Na jego blacie leżały tylko dwie kupki fiszek. Fotel – chrom i zielona skóra – wyglądał jak egzozskielet.

– Musimy panią stąd wyprowadzić – powiedziała Roberta. – Natychmiast. Dostałyśmy rozkaz taktycznej ewakuacji.

Kasluga, która trzymała w ręce fiszkę, rzuciła ją na kupkę po lewej stronie.

– Jaki rozkaz? Odpada. Mam dużo pracy. I kim wy właściwie jesteście?

– Pani dyrektor, to nie podlega dyskusji – odparła Roberta. – Musi pani z nami pojechać. Zawieziemy panią do domu. Pan Stamorán został już powiadomiony i czeka na panią.

– Pytałam, kim jesteście. I gdzie są moi ochroniarze?

– Nazywam się Erica Halliday. A to jest moja koleżanka, Caroline Burton. W razie zagrożenia skład naszych zespołów ulega rotacji. To standardowa procedura. Wyklucza możliwość ewentualnej zmowy z napastnikami.

– Z jakimi napastnikami?

– We wczesnych godzinach porannych doszło do incydentu, w tej okolicy. Jest jedna ofiara śmiertelna. Osobnik, którego schwytano, wymienił pani nazwisko. Nie znamy jeszcze wszystkich szczegółów, ale uznałyśmy, że trzeba zastosować niezbędne środki ostrożności. Dlatego... – Roberta wskazała drzwi – bardzo proszę.

Kasluga przyjrzała się im uważnie, najpierw jej, potem Veronice. Obie były w szarych kostiumach. Niezbyt twarzowych i średniej jakości, ale jak najbardziej stosownych. Obie były uzbrojone. Obie miały słuchawki w uszach, ze spiralnymi kabelkami, jak jej ochroniarze. Oraz przypięte do żakietów identyfikatory z małymi niewyraźnymi zdjęciami. Też jak ochroniarze Kaslugi. Głos w tyle jej głowy zaczął spekulować, jak mogłaby wykorzystać to na swoją korzyść. „Próba zamachu na właścicielkę giganta przemysłowego. Zagraniczni rywale uciekają w popłochu, przerażeni skutkami nowego, śmiałego przejęcia”. Zawahała się, a potem zgarnęła z biurka fiszki i wrzuciła je do torebki.

– Dobrze. Chodźmy. Ale przywiezicie mnie z powrotem, kiedy tylko minie panika. Dobrze?

• • •

Smith wyszła kilka minut po wpół do szóstej rano. Reacher już nie spał. Zaraz po jej wyjściu wstał i wziął prysznic. Ogolił się i zrobił, co mógł, żeby doprowadzić do porządku włosy. Ubrał się i zszedł do recepcji. Przesyłki jeszcze nie było. Zjadł śniadanie – bekon, pięć pankejków i dwa

kubki kawy – i znów zajrzał do recepcji. Przed chwilą przyniesiono mundur w płóciennym pokrowcu. Pokwitował odbiór i wrócił do pokoju, żeby się przebrać.

Tego ranka ruch był niewielki, więc dojechał na miejsce przed czasem. Rezydencja Charlesa Stamorana. Z wyłożoną pancernymi płytami, wysoką na dwa i pół metra bramą strzegącą podjazdu po prawej stronie domu. Minął ją, zbadał najbliższe ulice, żeby sprawdzić, czy z tyłu nie ma innych wyjść, wrócił i zaparkował przy krawężniku. Po lewej stronie miał rzekę. Otworzył okno i usiadł najwygodniej, jak mógł. Pozostało mu jedynie czekać.

• • •

Susan Kasluga nie zaprotestowała, kiedy Roberta i Veronica wskazały jej miejsce z tyłu w chevrolecie. Nie zliczyłaby, ile razy jeździła takimi samochodami. Roberta prowadziła płynnie i ostrożnie. Fotele były miękkie i wygodne. I było bardzo ciepło, więc z trudem oparła się pokusie, by zamknąć oczy. Oparła głowę o zagłówek i patrzyła na przesuwane się za oknem znajome widoki. Swojskie drzewa, swojska, choć niewidoczna rzeka. Czuła, że są coraz bliżej domu. Podniosło ją to na duchu. I wtedy Roberta skręciła nagle w prawo, na niskie, lecz strome wzgórze.

Kasluga nigdy dotąd nie jechała tą trasą. Po obu stronach ulicy stały ceglane domy, na fundamentach dostosowanych do stopnia nachylenia terenu. Roberta ponownie skręciła w prawo, w drogę dojazdową prowadzącą do ślepego zaułka, z trzech stron otoczonego monotonnymi szarymi ścianami. Zahamowała, przesunęła dźwignię zmiany biegów na parkowanie, zgasiła silnik i odwróciła się.

Veronica wyskoczyła z samochodu i usiadła z tyłu. Kasluga chciała otworzyć drzwi, ale Roberta ją uprzedziła. Nacisnęła przycisk na desce

rozdzielczej i je zablokowała.

Kasluga zamrugła.

– Co się, do diabła, dzieje? To porwanie? Tak, prędzej czy później musiało do tego dojść. Ale coś wam powiem: robicie duży błąd. Dostaniecie pieniądze, owszem. Ale nie zdążycie się nimi nacieszyć.

– To nie porwanie – odparła Roberta. – Chcemy tylko porozmawiać.

– Nie przyszło wam do głowy, żeby umówić się ze mną na spotkanie?

– A zgodziłaby się pani nas przyjąć? Wątpię. Zwłaszcza kiedy powiedziałybyśmy, o czym chcemy rozmawiać.

– To znaczy?

– O Indiach. O tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym roku.

Kasluga długo milczała.

– Indie... – Przełknęła ślinę. – Tak, byłam tam, oczywiście. Ale jako mało ważna pracownica. Niewiele wam powiem.

– Może pani wiedzieć więcej, niż się pani wydaje. Chcemy, żeby spisała pani nazwiska wszystkich, których pamięta pani z tego okresu. Wszystkich. Bez względu na to, czym się tam zajmowali. Bardzo prosimy. To ważne.

– Dlaczego?

– Ponieważ jeden z tych ludzi zamordował naszego ojca.

Kasluga chwilę milczała.

– Przepraszam – rzuciła w końcu. – Nie wiem, jak na to zareagować.

– Wziąć kartkę i długopis.

– Dobrze. Oczywiście, że spróbuję wam pomóc. Ale muszę o coś spytać. Nie byłam w Indiach od ponad dwudziestu lat. Skoro waszego ojca zamordowano tak dawno temu, dlaczego szukacie tego człowieka dopiero teraz?

– Ponieważ wcześniej nie wiedzieliśmy, że ojca zamordowano.

– I myślicie, że jego zabójca pracował w fabryce Mason Chemical?

– Tak. Albo miał z nią coś wspólnego.

– Pracowało tam mnóstwo ludzi. Personel zmieniał się jak w kalejdoskopie. Teraz są pewnie rozsiani po całym świecie. Niektórzy chorują, inni mieszkają w domach starców. Nie da się tego jakoś zawęzić? Żeby zwiększyć szanse trafienia?

– Nie. Bo działał tam pewien wyjątkowy zespół badawczy. Na pewno ich pani widziała. Pracowali jak wszyscy inni, ale to, co robili, było tajne. Jego członkowie się znali, ale był wśród nich ktoś jeszcze, ktoś pozornie stojący z boku. Może jakiś inspektor, technik czy ktoś z personelu pomocniczego. A ze względu na paranoidalną zimnowojenną obsesję na punkcie tajności tylko jeden z zespołu znał jego nazwisko.

– I nie wiecie kto?

– Nie mamy pojęcia.

– Nie możecie go spytać?

– Byłoby trudno, bo nie żyje.

– Dlaczego nie spróbujecie z innymi członkami tego zespołu? Może warto?

– Oni też już nie żyją.

– W takim razie skąd o tym wszystkim wiecie?

– Od jednego z nich. Owena Bucka. Powiedział nam przed śmiercią. Znała go pani?

– Nigdy o nim nie słyszałam.

– Buck wiedział, że ten stojący z boku zabił naszego ojca, ale nic z tym nie zrobił. Kiedy zdiagnozowano u niego raka, nagle ruszyło go sumienie.

– Fatalnie. Szkoda, że nie zareagował wcześniej. Natychmiast. Dobrze, spiszę te nazwiska. Wciąż mam kontakt z kilkoma osobami. Mogę popytać,

jeśli chcecie. Rozumiem, że dyskretnie, tak? Wolałabym uniknąć pozorowanych porwań i fałszywych ochroniarzy.

Roberta pokręciła głową.

– Dziękujemy, ale będziemy musiały zacząć od tego, co pani wie już teraz. A potem iść dalej.

– Zgoda, niech będzie. Muszę jednak spytać o coś jeszcze. Przepraszam, jeśli zabrzmiało to brutalnie. Rozumiem, że wasz ojciec też pracował w tej fabryce.

– Tak.

– Mogę spytać o jego nazwisko? Może go znałam.

– Na pewno pani o nim słyszała. Nazywał się Morgan Sanson.

Kasługa umilkła. Siedziała i po prostu patrzyła.

– Ja jestem Roberta. A to jest Veronica.

Zabrakło jej tchu. Ścisnęło ją w piersi. Próbowwała wmówić sobie, że to tylko stres. Brak snu.

– Robbie i Ronnie? Słyszałam te imiona. Zawsze myślałam, że jesteście chłopcami.

– Większość ludzi tak myślała.

– Pamiętam, co wygadywano o waszym ojcu... – Kręciło jej się w głowie. Może gdyby w nocy doczekała się telefonu, teraz bardziej by nad sobą panowała. – Rozumiem już, dlaczego chcecie to wyjaśnić. Dlaczego to dla was takie ważne.

– Wszystko zostało wyjaśnione. – Veronica otworzyła torbę i wyjęła papierową teczkę z pozaginanymi uszami. – To są akta personalne naszego ojca. Potwierdzają, jakim był człowiekiem. Chodziło mu tylko o bezpieczeństwo. Odkrył, że ktoś kradnie pieniądze, przez co pogarszały się standardy obsługi technicznej. I właśnie te pogarszające się standardy

doprowadziły do wycieku, który zabił tych wszystkich ludzi. Złe standardy, a nie sabotaż. Tata chciał zawiadomić o tym władze, więc ktoś go uciszył.

Kasluga wzięła teczkę i przycisnęła ją do kolan.

– Skąd to macie?

– Prezent od Owena Bucka. Zabrał te dokumenty, gdy odchodził z pracy. Jako dowód, że zawsze chciał pomóc.

– Ja też wam pomogę. Nie „chcę” pomóc, tylko pomogę. – Serce waliło jej tak mocno, jakby miało zaraz wyłamać parę żeber. Było jej gorąco. Bała się, że zemdleje. – Ale posłuchajcie: nie róbcie sobie wielkich nadziei. Minęło dużo czasu. To dawne dzieje. Znalezienie tego ósmego będzie bardzo trudne. Może nawet niemożliwe. Powinnyście się na to przygotować. A teraz czy możemy już jechać? Naprawdę muszę wrócić do biura.

24

Ponad godzinę później wielka, ciężka brama drgnęła i zaczęła się powoli rozsuwać. Reacher uruchomił silnik, przejechał kilka metrów, zatrzymał się, wysiadł i stanął na początku podjazdu, przed swoim samochodem.

Był to krok ze wszech miar nieodpowiedzialny. Nieodpowiedzialny i głupi. Sekretarz obrony jest jednym z najlepiej strzeżonych ludzi na świecie. I każdy, kto wykona zagrażający mu ruch, zostanie najprawdopodobniej zastrzelony. A przynajmniej powalony i obezwładniony. Poza tym limuzyna mogła odtrącić na bok lekki samochód z wypożyczalni jak natrętą muchę. Ale tego ranka nic takiego się nie stało. Mundur wyjściowy zrobił swoje, tak jak się Reacher tego spodziewał.

Limuzyna zatrzymała się i zakołysała na resorach. Reacher podszedł do tylnych lewych drzwi. Przez chwilę nic nie widział przez przyciemnioną szybę, ale potem cicho zawarczał silniczek i w górnej części drzwi powstała dziesięciocentymetrowa szpara. W szparze zobaczył gniewną twarz Stamorana.

– Oby chodziło o jakieś poważne zagrożenie bezpieczeństwa narodowego, kapitanie.

– Myślę, że tak jest – potwierdził Reacher. – Sprawa dotyczy powołanego przez pana specjalnego zespołu operacyjnego. Mam tu

dokumenty, które pilnie wymagają pana uwagi.

Stamoran nie spodziewał się tego. A nie lubił niespodzianek. Miał zamiar odesłać żandarma z pisemną naganą do przekazania jego dowódcy. Ale kapitan był członkiem zespołu operacyjnego, co mogło oznaczać, że nareszcie zidentyfikowano te dwie kobiety. Albo że znaleziono dowody, że Pritchard wszystko wyśpiewał. Tak czy inaczej, kapitan musiał być absurdalnie nadgorliwy, skoro przyjechał tu osobiście. Nie zaszkodziłoby sprawdzić, co przywiózł.

Sekretarz otworzył drzwi.

– Proszę mi je dać.

Reacher wyjął z kieszeni kartkę papieru, rozłożył ją i mu podał. Na kartce widniała tylko jedna linijka tekstu. Jedna pozycja z billingu telefonicznego. Prywatny numer Stamorana, pod który „John Smith” dzwonił przed zabójstwem Neilsena. Reacher zrobił to z zupełnie obojętną twarzą.

Twarz Stamorana też niczego nie zdradzała.

• • •

Roberta wrzuciła wsteczny i zaczęła wycofywać między szarymi ścianami budynków. W połowie zaułka gwałtownie zahamowała. Odwróciła się i spojrzała na siostrę. Veronica też coś sobie uprzytomniła, dopiero teraz. Wyjęła pistolet. Roberta przesunęła do przodu dźwignię zmiany biegów i znów ruszyła w głąb zaułka.

– „Znalezienie tego ósmego”?

– Co? To nie moja wina, że może być trudno. Po prostu jestem realistką. Nie chciałabym, żebyście przeżyli zawód, nie po tym, co przeszłyście. Dwadzieścia trzy lata to szmat czasu. Nie wiem, czy w ogóle da się go znaleźć.

– Dlaczego powiedziała pani „tego ósmego”?

– Bo... umiem liczyć?

– Jeśli był ósmym, to w zespole musiało być siedmiu innych.

– Najwyraźniej.

– I było. Tylko że o tym nie wspomnieliśmy.

– Owszem, wspomnieliście.

– Nieprawda.

– Może tylko tak pomyślałam – broniła się Kasługa. – Zresztą nie musieliście mi tego mówić. Pamiętam tych ludzi. Wiedziałam, że było ich siedmiu.

– Bzdura! Nie pamiętała pani Owena Bucka. A Buck pracował w tym zespole.

– Nie pamiętam wszystkich nazwisk. Jak mogę pamiętać? Ale wiem, że było ich siedmiu.

– Nie. Wiedziała pani, że było ich ośmiu. I wie pani, kim był ten ósmy. Lepiej niech pani powie.

– Nie mam pojęcia. Skąd miałabym wiedzieć? Jesteście nielogiczne, zaprzeczacie same sobie. Powiedzieliście, że tylko jeden członek zespołu znał jego nazwisko. Ja w tym zespole nie pracowałam. Więc nie wiem.

– Veronica?

Veronica pokręciła głową.

– Coś tu śmierdzi – rzuciła. – Nie wierzę tym gorączkowym zaprzeczeniom. Trafiłaś w dziesiątkę. Ona wiedziała, że było ich ośmiu. I zna nazwisko ósmego.

– Nie znam – upierała się Kasługa. – Ile razy mam to powtarzać?

– Można spojrzeć na to inaczej – powiedziała Veronica. – Jeśli rzeczywiście nie wie, kim był ten ósmy, na nic nam się nie przyda. Nikt nie

wie, że ona tu jest. Nikt nie widział, jak wychodziłyśmy z jej biura. To zwykły śmieć. Wrzucmy ją do morza.

– Groźby to nie czarodziejska różdżka, nie wzbogacą mojej wiedzy.

– Albo nie, zaczekaj. Ona jest ważnym naukowcem, tak? Naukowcy lubią eksperymenty. Mogłybyśmy trochę na niej poeksperymentować. Zobaczyć, czy nie odzyska pamięci.

– Możecie mnie straszyć, ile chcecie, ale nic wam to nie da. Wiem, że cierpicie. Straciliście ojca. Myśleliście, że popełnił samobójstwo. Słyszałyście, jak ci durnie go oczerniali. To musiało zebrać swoje żniwo. I doprowadzić was do szaleństwa. Ale jeszcze nie przekroczyłyście granicy. Dlatego przestańmy zajmować się bzdurnymi spekulacjami na temat ósmego członka zespołu, a obiecuję, że wam pomogę. Więc jak będzie? Umowa stoi?

• • •

Charles Stamoran oddał kartkę Reacherowi.

– Kiedy słyszę, że mam do przejrzenia jakiś dokument, spodziewam się co najmniej stu stron. Często dostaję dwieście. I zawsze roi się tam od żargonowych określeń, modnych wyrażań i pustosłowia, co bardzo mnie denerwuje. Dlatego na swój sposób doceniam pana lakoniczność. Ale dam panu darmową radę. W następnym meldunku niech pan spróbuje użyć choć kilku słów. Zamieścić jakiś argument. Wniosek. Wezwanie do działania. Bo to? Co to jest? Jakiś żart? Dowcip? Mały akt buntu przeciwko pana ostatniej degradacji? – Wskazał samochód Reachera. – Niech pan usunie stąd ten złom, bo każę szoferowi go zmiażdżyć. A potem niech pan wraca do swojej jednostki. Wykreślam pana ze składu zespołu specjalnego. I może się pan pożegnać nie tylko z liśćmi dębu, ale też ze srebrnymi belkami kapitana. Już wkrótce odbędę długą i szczerą rozmowę z pana dowódcą.

• • •

Susan Kasluga wisiała do góry nogami.

W samochodzie Veronica Sanson wycelowała do niej z broni i kazała jej usiąść na rękach. Roberta wycofała z zaułka i pojechała do stacji pomp na wschodnim brzegu Potomacu. Budynek był wysokim na sześć metrów prostopadłościanem z lat trzydziestych. Z czasów, kiedy gmachy publiczne budowano z myślą o dziesiątkach lat użytkowania. Mocne rury. Grube ściany – fale dźwiękowe wytwarzane przez pracujące tam maszyny z trudem się przez nie przedzierały. Tak jak przeraźliwe krzyki ludzi.

Roberta wysiadła. Wyjęła z bagażnika nożyce do cięcia metalu oraz sznur i stanęła przed podwójnymi drzwiami. Przecięła skobel i weszła do środka. Veronica zaprowadziła Kaslugę na środek hali. Pod biegnącą pod sufitem sześciocalową rurę przymocowaną metalowymi klamrami. Roberta zawiązała na sznurze pętlę i położyła ją na podłodze. Jej siostra kazała uwięzionej kobiecie zrobić parę kroków do tyłu i kiedy ustawiła ją na środku pętli, Roberta mocno szarpnęła sznurem, ściskając jej kostki u nóg. Wtedy Veronica pchnęła Kaslugę w pierś i kobieta upadła na plecy w obłoku cementowego pyłu. Głośno krzyknęła. Częściowo z bólu. Częściowo z zaskoczenia. Częściowo z oburzenia. Chciała przewrócić się na brzuch i wstać, lecz nie zdążyła, bo Roberta już zarzuciła sznur na rurę. Siostra jej pomogła i razem podciągnęły Kaslugę do góry, aż czubki jej palców straciły kontakt z podłogą.

Roberta pchnęła ją lekko i kobieta zakołysała się jak wahadło wielkiego zegara.

– Tylko jedno nazwisko, Susan. Niczego więcej nie chcemy. Podaj nam je i już nigdy nas nie zobaczysz.

– Nie wiem, nie znam go.

Roberta wyjęła z kieszeni kartkę.

– Widzisz? To nasza lista. Siedem nazwisk. Możesz dopisać do niej ósme. Dopisać, rozumiesz? Wtedy będziesz mogła spokojnie twierdzić, że nam nie powiedziałaś.

– Nie znam tego nazwiska. Proszę. Musicie mi uwierzyć.

– Dlaczego musimy? Bo jesteś bogata? – Roberta schowała kartkę do kieszeni. – Bo przywykłaś do tego, że zawsze stawiasz na swoim? Że zawsze udaje ci się wykupić z kłopotów? Okej. Mam pomysł. Wyobraź sobie, że to ósme nazwisko to pieniądze. Ostatnia waluta na ziemi. Jedyna rzecz, która może cię uratować.

– Dobrze, powiem. Ernst. Richard Ernst. A teraz opuśćcie mnie na podłogę.

Roberta pokręciła głową.

– No nie, serio? Myślałam, że biznesmenki umieją lepiej kłamać. Uważasz, że nie czytamy gazet? Richard Ernst dostał w zeszłym roku Nobla z chemii. Zostawimy cię tu, żebyś się zastanowiła i ułożyła listę priorytetów. A my pójdziemy coś przygotować. Bo widzisz, założyliśmy, że możemy mieć do czynienia z kimś, kto potrzebuje odrobiny perswazji. Nie spodziewaliśmy się tylko, że będziemy musiały użyć jej tak szybko.

• • •

Wróciły po kwadransie. Kasługa wciąż kołysała się na sznurze. Szybciej niż wcześniej, ponieważ pewnie próbowała się uwolnić. Miała zaczerwienioną twarz. Brakowało jej tchu. Veronica niosła duże kuliste akwarium. Było wypełnione przezroczystym płynem, a po jego dnie przetaczał się jajowaty przedmiot oliwkowego koloru. Postawiła je na podłodze, w pobliżu głowy Kasługi, i cofnęła się na bezpieczną odległość.

– Susan, słyszałaś o mieczu Damoklesa? – spytała Roberta.

– Dawno temu.

– Świetnie, a więc wiesz, o co chodzi. Nazwałyśmy ten gadżet granatem Damoklesa. Jest to też chyba ukłon w stronę Mołotowa. Musimy pomyśleć nad stosowną nazwą, ale jestem przekonana, że jako naukowiec docenisz nasze starania. Widzisz ten płyn? To zwykła benzyna. A to zielonkawe jajo? To granat M sześćdziesiąt siedem. Zdjęłyśmy tylko łyżkę i zastąpiłyśmy ją elastyczną gumką, żeby iglica nie opadła. Co się stanie z gumą, kiedy zanurzymy ją w benzynie?

– Rozpuści się.

– Właśnie. I wtedy iglica opadnie, prawda? A jeśli opadnie?

– Granat wybuchnie.

– Otóż to. Nie jesteśmy tylko stuprocentowo pewne, jak długo wytrzyma guma. Szczerze mówiąc, nie jest zbyt gruba. Ani zbyt dobrej jakości. Dwadzieścia minut? Góra pół godziny. Ale możemy się mylić, dlatego przejdziemy do sąsiedniego pomieszczenia. Zmywanie z włosów części ludzkiego ciała jest bardzo nieprzyjemne. Możesz nam wierzyć. Już to przerabiałymy. Aha, jeszcze jedno. Promień skutecznego rażenia granatu M sześćdziesiąt siedem wynosi czternaście metrów, więc jeśli postanowisz zabrać to nazwisko do grobu, nie będziesz przynajmniej cierpieć. Nieważne, jak wysoko się rozhuśtasz.

• • •

Kasługa próbowała zgiąć się wpół i podciągnąć, lecz miała za słabe mięśnie brzucha. Próbowała jeszcze mocniej docisnąć do siebie kostki nóg i wysunąć z pętli jedną stopę, ale sznur za mocno trzymał. Skutek był tylko taki, że ból przybrał na sile. Więc znów się rozhuśtała i spróbowała chwycić się pęku pionowych rur. Były jednak za daleko. Wykręciła szyję, szukając

czegoś, czego mogłaby użyć jako broni. Niczego takiego nie wypatrzyła. Pomyślała o torebce, ale ta została w samochodzie. I nie mogła nawet do niej zajrzeć. Ogarniała ją coraz większa rozpacz. Rozpacz wprost przytłaczająca. Narastające za oczami ciśnienie stało się w końcu nie do zniesienia. Paliły ją kostki nóg. Wytrzymała jeszcze siedem minut i poddała się.

– Wygrałyście! – zawołała. – Powiem. Podam wam nazwisko tego ósmego. To Charles Stamoran. Mój mąż.

25

Reacher nie ruszył się z miejsca. Wciąż stał obok limuzyny.

– Rozumiem – powiedział. – Ale zanim odejdę, chciałbym się co do czegoś upewnić. Te numery... Twierdzi pan, że ich pan nie zna?

– Bo nie znam. Dlaczego miałbym je znać? Czy ja wyglądam na chodzącą książkę telefoniczną?

– Jeden należy do podejrzanego o zabójstwo. Drugi to pana domowy numer. Jak pan widzi, podejrzany do pana dzwonił.

Stamoran wyrwał mu kartkę i jeszcze raz przyjrzał się billingowi.

– Nigdy ich nie widziałem. Nigdy nie miałem takiego numeru, a z tego drugiego nikt do mnie nie telefonował. Pan bredzi. Dostał pan złe informacje. Dość tego, koniec rozmowy. Nie zamierzam marnować więcej czasu.

• • •

Roberta i Veronica Sanson opuściły Kasługę na podłogę, poluzowały sznur i dały jej chwilę, żeby odzyskała oddech i równowagę. Potem wzięły ją za łokcie i zaprowadziły do sąsiedniego pomieszczenia, małego i kwadratowego. Na jednej ścianie było pełno mierników, zaworów, dźwigni i wskaźników. Na drugiej wisiała czerwona mała szafka. Na jej boku widniały białe duże litery napisu: KORZYSTAĆ TYLKO

W NAGŁYCH WYPADKACH. Roberta otworzyła ją. W środku stał telefon.

– Dzwon do męża – rzuciła. – Powiedz mu, że jesteś naszą zakładniczką. I że cię zabijemy, jeśli nie zjawi się tu bez żadnej obstawy w ciągu pół godziny.

Kasluga skrzyżowała ramiona na piersi.

– Inaczej wpakuję ci kulę w łeb i zadzwonię sama – dodała Roberta.

– Wierzę, ale nie radziłabym. Ściągnąłby tu SWAT z całego Wschodniego Wybrzeża. Przyjedzie tylko wtedy, kiedy ja do niego zadzwonię. Osobiście. Braliśmy pod uwagę tego rodzaju sytuacje. Opracowaliśmy plan działania. I specjalny szyfr.

– No więc dzwoń.

– Zadzwonię. Pod trzema warunkami.

– Chcesz negocjować? Nie masz żadnej karty przetargowej.

– Ależ mam. Żelazny atut. Coś, czego szukacie. Bez czego nie osiągniecie swojego celu.

Siostry wymieniły spojrzenia.

– Jakie to warunki?

– Po pierwsze, nie możecie zrobić krzywdy Charlesowi. To dobry człowiek. Jestem przekonana, że nie zabił waszego ojca z rozmysłem. Musiało chodzić o coś większego. O coś związanego z jego pracą. Z obroną Stanów Zjednoczonych. Skoro już chcecie, żeby odpokutował za jego śmierć, musicie znaleźć na to jakiś bezkrwawy sposób.

– Zgoda.

– Po drugie, nie chcę już wisieć do góry nogami. Nie chcę mieć związanych rąk ani nóg. Jeśli mam być kozłem ofiarnym, pozwólcie mi chociaż zachować odrobinę godności.

– Załatwione.

– Po trzecie, muszę skorzystać z toalety. Co znaczy, że muszę też mieć swoją torebkę. Jest w samochodzie.

• • •

Stamoran zatrzasnął mu drzwi przed nosem, ale zanim szyba w samochodzie uniosła się do końca, zadzwonił telefon. Sekretarz podniósł słuchawkę i Reacher usłyszał pierwsze fragmenty rozmowy.

– Susie? Boże święty. Coś ci zrobili? Gdzie ty...

Reacher podbiegł do samochodu. Usiadł za kierownicą, uruchomił silnik i szybko wycofał. Limuzyna Stamorana gwałtownie ruszyła i skręciła w prawo na tyle ostro, na ile pozwalały jej długość i ciężar. Reacher wrzucił bieg i pojechał za nią. Chrzanić powrót do jednostki. Tłumaczenia mogły poczekać.

• • •

Kiedy zobaczył, że limuzyna prawdopodobnie dociera do celu, zamarło mu serce. Był to jakiś obiekt przemysłowy na brzegu rzeki na wschód od miasta. Pokażny parterowy budynek zaprojektowany pod kątem maszyn, a nie ludzi. Dobrze utrzymany, z solidnymi ścianami, bez okien i świetlików w dachu. Co gorsza, miał tylko jedno wejście. Podwójne drzwi z mocnego drewna. Zamknięte, więc nie wiadomo było, co jest w środku.

W pobliżu nie widać było ani jednego zespołu obserwacyjnego. Ani jednego pojazdu pancernego czy pojazdu wsparcia taktycznego z dodatkowymi żołnierzami, bronią czy z przenośnymi respiratorami. I ani jednego śmigłowca w powietrzu. Jak w scenariuszu z najczarniejszych snów. Który musiał się źle skończyć. Żaden kompetentny dowódca nie pozwoliłby swoim żołnierzom podejść na sto kilometrów do takiego

miejsca. Nie próbowałyby wtargnąć do środka, nie znając liczby przebywających tam osób, ich nastawienia i morale, nie wiedząc, jaką dysponują bronią. A nawet gdyby taką wiedzę miał, musiałby zaplanować atak z najwyższą starannością i przypuścić go w optymalnym czasie, z zastosowaniem odpowiednich środków dezorientujących i odwracających uwagę.

Jedynym światełkiem w tunelu było to, że Stamoran wciąż siedział w samochodzie. Chyba kłócił się z ochroniarzami. Ale już po chwili światełko zgasło. Bo Stamoran wysiadł. Sam. I ruszył do drzwi. Był równie lekkomyślny, jak bezwzględny. Po chwili zniknął w środku.

Dopiero wtedy z samochodu wyskoczyli ochroniarze i podbiegli do wejścia. Jeden otworzył drzwi. Drugi go osłaniał. Ten pierwszy wszedł do budynku. Drugi za nim. Drzwi się zamknęły.

Huknął wystrzał. Po chwili drugi. I zapadła cisza.

• • •

Reacher wcisnął pedał gazu i samochód wyrwał do przodu. Śmignął obok limuzyny Stamorana, minął chevroleta i wyhamował kilka kroków przed drzwiami. Reacher wyslizgnął się na zewnątrz. Wyjął pistolet i nisko pochylony, pokonał kilka metrów otwartej przestrzeni. Ostrożnie wsunął się do środka i zobaczył ochroniarzy. Leżeli zaraz za drzwiami. Nie musiał sprawdzać, czy żyją. Prawie nie mieli głów. Pociski wyrwały im z czaszek wielkie kawały kości i ściany oraz podłoga były pokryte błyszczącym szarym śluzem. Ktoś lubił załatwiać mokrą robotę z bliska i bardzo osobiście.

Ukrył się za czterema niebieskimi zbiornikami wodnymi przytwierdzonymi do podłogi. Mimo braku okien w pomieszczeniu było zaskakująco jasno. Pod sufitem biegł długi rząd świetlówek. Rzucaly

dziwne cienie na las niebieskich i czerwonych rur, które wyrastały zewsząd i rozgałęziały się na różnych wysokościach i pod różnymi kątami. W pobliżu musiała pracować jakaś maszyna, bo halę wypełniał niski pulsujący dźwięk. W ciężkim, stęchłym powietrzu unosił się lekki zapach oleju i chloru.

Reacher wyteżył słuch. Nie usłyszał niczego podejrzanego, więc opuścił kryjówkę, popędził do przodu i zajął bardziej wysuniętą pozycję za szarą szeroką szafą na sprzęt. Wtedy usłyszał kolejne wystrzały. Tym razem trzy. Głośne i rozbrzmiewające echem w zamkniętej przestrzeni, brzmiały tak, jakby ktoś trzy razy szybko pociągnął za spust. Na betonowej podłodze zagrzechotało coś metalicznego. Pistolet. Zaraz potem rozległ się ciężki, głuchy stukot. Coś upadło, czyjeś ciało. Chwilę później dwa kolejne stukoty, podobne, choć lżejsze. Drugie ciało. I trzecie.

– Charles! – krzyknęła przeraźliwie kobieta.

Echo krzyku przebrzmiało i powróciła cisza. Reacher zaryzykował i ostrożnie wyjrzał zza szafy. Na dwunastej zobaczył Susan Kasługę. Stała przywiązana sznurem do słupa. U jej stóp leżała torebka. Kasługa miała puste ręce. I szeroko otwarte zrozpaczone oczy.

Na drugiej zobaczył Charlesa Stamorana. W zakrwawionej na plecach koszuli, z podwiniętą prawą nogą. On też miał puste ręce, ale tuż przed nim leżał pistolet.

Na czwartej Reacher zobaczył kobietę. Około trzydziestki, szczupłą, ze ściągniętymi do tyłu ciemnymi włosami, trzymała w ręce sig sauera, lecz się nie poruszała. Kula trafiła ją w czoło, wyrywając wielką dziurę, która wyglądała jak trzecie oko.

Na piątej leżała nieruchomo na plecach druga kobieta, niemal identyczna. Miała martwe oczy, a jej białą bluzkę przecinała smuga krwi biegnąca od szyi do biodra. Dokładnie na środku piersi ziała wystrzępiona

dziura. Ta kobieta również ścisnęła w ręce pistolet. Takiego samego sig sauera.

Reacher wyprostował się i wyszedł zza szafy. Ze skierowanym w dół pistoletem, na wszelki wypadek omiatał lufą ciała. Odtrącił kopniakiem walającą się na podłodze broń, przykucnął i dotknął szyi Stomorana. Nie wyczuł pulsu. Dla pewności zaczekał jeszcze chwilę i wyprostował się.

– Stój! – krzyknęła Kasluga. – Dokąd?! Zostaw je! Pomóż Charlesowi. Musisz go uratować.

Nie zareagował. Podszedł do leżącej najbliżej kobiety i przytknął palce do jej szyi. Nie wyczuł ani śladu tętna. Ona też była martwa. Cóż, nic dziwnego. Wstał, by sprawdzić tę drugą. Wtedy usłyszał głośne metaliczne kliknięcie tuż za plecami.

– Uważaj! – ostrzegła go Kasluga.

W tym samym momencie tylną część jego ud przeszył palący ból, jakby wszystkie stawy i więzadła poraził prąd o napięciu tysiąca woltów. Nogi ugięły się pod nim, załamały i uderzył jednym kolanem w beton, a drugim w mostek martwej kobiety. Przez głowę przeszła mu nie do końca sformułowana myśl: dziwne, to chyba nie jest kość. Gwałtownie się odwrócił i wpadł w gniew. Nie powinien był do tego dopuścić, żeby ktoś zaszedł go od tyłu. Nie pamiętał, kiedy przytrafiło mu się to ostatni raz. Ale już się nie przytrafi, na sto procent.

Unosząc broń w poszukiwaniu celu, odepchnął się od podłogi lewą ręką. Już prawie stał, gdy kogoś zobaczył. Tę drugą kobietę. Żywą. Właśnie wstawała. Dostrzegł błysk metalu na tle czegoś czarnego i nierównego, co miała pod rozdartą bluzką: resztek pocisku, który zgrzybkował na kevlarowej kamizelce. Krew na jej ubraniu należała do kogoś innego. Najprawdopodobniej do jednego z martwych ochroniarzy. Musiała oberwać zaraz po tym, jak ich zastrzeliła, ale kula nie zrobiła jej większej krzywdy.

Dzięki kamizelce. Pewnie takiej samej jak ta, którą wyczuł pod kolanem na ciele jej sobowtóra. Kamizelki dobrze chronią tułów. Ale nie głowę.

Kobieta trzymała coś w prawej ręce. Coś cienkiego, metalowego i pokrytego matową powłoką. Miało sześćdziesiąt centymetrów długości i składało się z teleskopowo połączonych piętnastocentymetrowych rurek o coraz mniejszej średnicy. Pałka. Zakończona ponadcentymetrowym zaokrąglonym czubkiem skupiającym siłę uderzenia. Wygodna do noszenia i łatwa do ukrycia oraz rozłożenia. Wystarczył szybki ruch nadgarstka. Niezwykle skuteczna w walce ze szkłem, drewnem czy metalem. Zabójcza dla ciała i kości. Uderzenie w pierś złamałoby kilka żeber. Cios w szyję mógłby okazać się śmiertelny. Albo cios w skroń.

Celując w prawy nadgarstek Reachera, kobieta wzięła zamach. Chciała mu zgruchotać staw, żeby upuścił broń. Odchylił się szybko i cofnął rękę. Zdażył w ostatniej chwili. Pałka świsnęła tak blisko, że poczuł podmuch powietrza na skórze. Kiedy jej rozpędzony czubek pomknął dalej i uderzył w beton, wzniesając błękitną iskrę, Reacher chwycił kobietę za nadgarstek i ścisnął. Palce wbiły się w ciało, miażdżąc ścięgna i więzadła. Kobieta krzyknęła i rozluźniła uchwyt. Gdy pałka ze stukotem wylądowała na podłodze, odtrącił ją nogą. W tym samym momencie jej właścicielka dźgnęła go w twarz wolną ręką, dwoma rozczapierzonymi palcami. Próbowwała wyłupić mu oczy, jednocześnie podnosząc kolano i celując w krocze.

Opuścił ramię trzydzieści centymetrów niżej, runął do przodu i trafił przeciwniczkę w pierś. Mocno. Odrzuciło ją do tyłu jak po zderzeniu z wywrotką. Wylądowała na plecach i przesunęła się siłą rozpędu, wzniesając obłoczek kurzu.

– Na brzuch – rzucił. – Ręce za głowę.

Kobieta zakaszłała, lecz nie drgnęła.

Uniósł pistolet.

– Próbuję wymyślić jakiś powód, żeby cię nie zastrzelić, ale muszę przyznać, że nic nie przychodzi mi do głowy.

Przetoczyła się na brzuch.

– Kim ty jesteś? – spytał.

– Nazywam się Veronica Sanson. – Wskazała ciało tej drugiej. – A to...

– Podniosła prawą rękę, ukryła twarz w zgięciu łokcia i znieruchomiała. Przestała oddychać. Nie wydawała żadnych dźwięków. Po chwili opuściła ramię. Miała zaczerwienione oczy. Zamrugła, odpędzając łzy, i dokończyła: – To jest moja siostra, Roberta. Naszym ojcem był Morgan Sanson.

Roberta i Veronica, pomyślał. Robbie i Ronnie. Dwoje z czworga dzieci, które matka wywozła do Izraela po śmierci męża.

– Służyłaś w izraelskich siłach obronnych?

– W Korpusie Wywiadu Polowego.

– Twoja siostra też?

– Tak. Przyjechałyśmy do Stanów pomścić ojca. Ale wysłuchaj mnie, proszę. Byłam kapitanem, tak jak ty. Dlatego proszę cię jak brata oficera: pozwól mi wstać. Wyjaśnić sytuację. Moglibyśmy...

– O Boże! – Kasługa zbladła i wytrzeszczyła oczy. – Gdzie to jest? Gdzie to ukryłyście? Ile zostało nam czasu? Jest pan wojskowym, niech pan coś zrobi!

– O czym pani mówi?

– Te wariatki zrobiły prymitywną bombę. Owinięty gumą granat w benzynie. Zastraszyły mnie, zmusiły do wydania Charlesa. Ten granat może zaraz wybuchnąć i zginiemy!

Reacherowi to się nie podobało. Widział zdjęcia z Wietnamu. Partyzanci podkradali się do parkujących amerykańskich jeepów i wrzucali do baku granaty owinięte gumową taśmą, co zmieniało pojazdy w ruchome bomby zegarowe. Rezultat nie należał do zbyt pięknych. Był jeszcze paskudniejszy, jeśli w chwili wybuchu ktoś jeepem jechał albo znalazł się w skutecznym polu rażenia. Przeniósł wzrok na Veronicę.

– To prawda?

Kobieta dumnie podniosła głowę.

– Roberta to wymyśliła. Granat Damoklesa, tak...

– Gdzie to jest?

– Pokażę. Pod jednym warunkiem.

– Nie ma czasu na targi. Przynieś to.

– Jeśli granat wybuchnie, będzie po was. Nie uciekniecie. Ale tu, na podłodze? Kto wie, może bym przeżyła. Chętnie rzucę kostką. A ty?

– A jeśli strzelę ci w głowę? Też rzucisz?

– Zastrzełiłyś bezbronno więźnia na oczach świadka? Sąd wojskowy by ci się kłaniał. Zresztą i tak musiałbyś stąd uciec. Ciekawe, czybyś zdążył.

– Czego chcesz?

– Jeśli mam rozbroić bombę, musisz mnie wysłuchać. Poznać prawdę o moim ojcu. Chcę, żeby wszyscy ją poznali. Żebyś powiedział ludziom.

Reacher kiwnął głową.

– Idź.

Veronica wstała. Podeszła do miejsca, gdzie kołnierze wystających z podłogi trzech grubych rur, zgiętych pod kątem dziewięćdziesięciu stopni i naszpikowanych wielkimi śrubami, łączyły się z kołnierzami trzech innych. Reacher śledził jej ruchy, celując w nią z pistoletu. Veronica

pochyliła się nad zacienionym fragmentem podłogi, podniosła duże kuliste akwarium i ostrożnie, na palcach, ruszyła z powrotem. Trzymała akwarium w wyciągniętych rękach. W środku wciąż był granat. Z nietkniętą elastyczną opaską. Veronica podeszła bliżej do Reachera i z odległości trzech metrów rzuciła akwarium, mierząc w jego twarz.

Cofnął się, ale benzyna zalała mu przód kurtki. Veronica rzuciła się w bok. Upadła, przetoczyła się, chwyciła pistolet siostry i wstała. Reacher złapał akwarium i przycisnął je do piersi prawym przedramieniem. Włożył do środka lewą rękę. Otwór był mały, więc miał wrażenie, że próbuje wepchnąć rękawicę baseballową do słoika z ciasteczkami. Naparł mocniej. Rozczapierzył palce. Musnął czubkami granat. I zerwał gumową opaskę.

26

Pokręcił głową i postawił akwarium na podłodze.

Veronica skoczyła w prawo i zniknęła za płataniną rur.

– Co pan robi?! – wrzasnęła Kasługa. – Promień rażenia tego granatu to dobrych kilka metrów. Niech pan go wyniesie. Albo rzuci gdzieś daleko... Albo nie. Tam jest sterownia. Niech pan zanieś go do sterowni i...

Reacher stanął między nią i kryjówką Veroniki.

– Nie ma takiej potrzeby. Granat jest z plastiku. To zabawka. Oszukały panią.

– Co? Nie. – Kasługa rozplakała się. – Myślałam, że jest prawdziwy. Uwierzyłam im. Dlatego wydałam męża. Okłamały mnie. Obiecały, że nie zrobią mi krzywdy. A teraz...

– Niech się pani nie zadręcza. One nie żartowały. Gdyby je pani przejrzała, wymyśliłyby inny blef.

– Właśnie – odezwała się z ukrycia Veronica. – My nie żartujemy... Ja nie żartuję. Dlatego niech się pan odsunie, kapitanie. Nic do pana nie mam.

Reacher rozumiał, dlaczego musiała zabić Kasługę. To miało sens. Wykorzystała ją, żeby zwabić jej męża. Kasługa wiedziała, co się z nim stało. Pewnie nawet to widziała. Pozostawienie przy życiu świadka byłoby szaleństwem. Z tego samego powodu ani przez sekundę nie wierzył, że Veronica pozwoli odejść jemu.

– Chcesz opowiedzieć historię swojego ojca? – spytał. – Mogę ci pomóc. Dopilnować, żeby inni też jej wysłuchali. Ale zrobię to pod jednym warunkiem: odłożysz broń i się poddasz.

– Nic nie rozumiesz. Odsuń się.

Reacher się nie ruszył.

Spomiędzy dwóch zaworów wychynęła lufa i padł strzał. Kilka centymetrów od jego prawej stopy wytrysnął obłoczek kurzu. Kula rykoszetowała i świsnęła tuż obok głowy Kasługi. Z metalicznym brzękiem uderzyła w jakąś rurę i zapadła cisza.

Lufa zniknęła. Reacher nie widział Veroniki. I nie mógł odpowiedzieć ogniem. Natomiast ona mogła go zdjąć w każdej chwili. A potem już nic nie powstrzymałoby jej przed zabiciem Kasługi. Wiedział, ilu ludzi zamordowały, ona i jej siostra. Wiedział, że były bezlitosne. Nieustępliwe. Służył kiedyś z izraelskimi żołnierzami i darzył ich wielkim szacunkiem. Jeśli Veronica była dobrze wyszkolona, musiała być bardzo cierpliwa. Ale nawet największa cierpliwość kiedyś się wyczerpuje. Ta kobieta nie wiedziała, czy właśnie nie nadciągają posiłki. A każda sekunda opóźnienia zmniejszała szanse na powodzenie jej misji. Reacher nie mógł sobie pozwolić na długie czekanie.

Nagle coś zasyczało. Najpierw zasyczało, a potem głośno zaszumiło. Zerknął przez ramię. Pękła niebieska rura, w którą uderzyła rykoszetująca kula. I lała się z niej woda. Co podsunęło mu pomysł.

Odwrócił się. Wciąż ani śladu Veroniki. Brak widocznego celu. Choćby stopy, łokcia czy ucha. Dlatego wybrał cel innego rodzaju. Czerwoną rurę. Pociągnął za spust. Rura pękła i wszystko, co było w jej pobliżu, zasnuły obłoki gorącej pary wodnej.

Veronica przeraźliwie krzyknęła. Wskoczyła na otwartą przestrzeń, rzuciła się na podłogę, przetoczyła i znieruchomiła, na wpół siedząc, na

wpół klęcząc z pistoletem wymierzonym w pierś Kaslugi. Napięły jej się więzadła w nadgarstkach.

Reacher zrobił krok w jej stronę.

– Przestań – rzucił. – Nie rób tego. Zastrzelisz ją i świat nie pozna prawdy o waszym ojcu.

Po oczach Veroniki poznał, że to nie zadziała. Uniosła wyżej pistolet. Drgnęły jej więzadła.

Pociągnął za spust. Z tej odległości nie mógł chybić. Kula trafiła w jedną skroń i wyleciała drugą. Doszło do spięcia we wszystkich obwodach elektrycznych mózgu. Do nerwów przestały płynąć sygnały. Mięśnie się rozluźniły, więzadła puściły i Veronica Sanson upadła na podłogę, gdzie znieruchomiała jak lustrzane odbicie swojej siostry.

Reacher odtrącił nogą jej pistolet i sprawdził puls, choć tylko dla formalności, bo nie mogła tego przeżyć. Podszedł do Kaslugi i rozwiązał krępujący ją w talii sznur.

Kobieta precyzyjnie przesuwała się obok niego i podbiegła do męża. Uklękła przy nim i jej łzy mieszały się z krwią na jego koszuli.

• • •

Od strony wejścia dobiegł jakiś hałas. Kroki. Dwóch ludzi. Odwrócił się z uniesioną bronią.

– Swoi! Agenci federalni! Ochrona sekretarza obrony!

– Czysto – rzucił.

Agenci wyszli z cienia i rozejrzeli się, próbując ogarnąć sytuację.

– Stamonan? – spytał jeden z nich.

Reacher pokręcił głową.

– Będziecie musieli poszukać sobie kogoś innego do ochrony.

Kasluga wstała. Z jej oczu wciąż płynęły łzy i z trudem panowała nad głosem.

– Niebezpieczeństwo już minęło, prawda? Chciałabym zostać na chwilę sam na sam z mężem.

Do sali wwieziono w nocy stary telewizor na kółkach i na początku ostatniej odprawy Christopher Baglin wyświetlił im nagranie z konferencji prasowej w Białym Domu. Stosownie posępny rzecznik zaczął od komunikatu o śmierci sekretarza obrony. Potem zaserwował dziennikarzom serię pokrętnych frazesów i szybko skończył, nie przedstawivszy właściwie żadnych szczegółów.

– Nie uciekną od tego – powiedziała Smith. – Prędzej czy później pojawią się pytania.

– Pewnie liczą na to, że w Serbii zrobi się gorąco – spekulował Reacher.
– Nic tak nie przyciąga uwagi jak złe wiadomości.

Baglin wyłączył telewizor.

– Prawie całą noc przeglądałem zdjęcia, raporty z oględzin zwłok i wszystkie inne dowody rzeczowe, które wpadły mi w ręce. Co za chaos! Z jednej strony mamy historię odkupienia. Z drugiej pohańbienia. Z trzeciej... nie wiem. Niech ktoś inny to osądzi.

– Stamoran przyniósł hańbę sobie i nam wszystkim – powiedziała Smith. – Tajny program, który prowadził w Indiach i w innych krajach. Pieniądze, które ukradł z Pritchardem. Wyciek gazu, do którego to doprowadziło. Śmierć tysięcy ludzi. Niech zgnije w piekle.

– A Morgan Sanson i historia odkupienia? – spytał Reacher. – Ma jakąś wartość?

– Z jego akt personalnych wynika, że był porządnym człowiekiem. Nie chodziło mu o płace ani awans. Martwił się o bezpieczeństwo ludzi. Chciał ujawnić korupcję i zapłacił za to życiem. Nie był sabotażystą. I nie popełnił samobójstwa. Cieszę się, że świat się o tym dowiedział.

– A jego córki? Co z tego mają?

– Część winy na pewno spada na naukowców – odparła Smith. – Weźmy choćby Owena Bucka. Gdyby natychmiast zareagował, zamiast wahać się tyle lat, zanim w końcu przekazał Veronice i Robercie tylko część informacji i sprowokował je do tej obłąkanej zemsty, wszystko potoczyłoby się zupełnie inaczej.

– Owen Buck – odezwał się Baglin. – To chyba on sporządził listę nazwisk naukowców. Znalaziono ją w kieszeni Roberty. Dziwna rzecz. Sześć napisano tą samą ręką. A dwa inną. Domyślcie się może dlaczego?

– Ja nie – mruknął Walsh.

Smith pokręciła głową.

Reacher milczał.

– Nie szkodzi – rzucił Baglin. – To pewnie nieważne.

• • •

Po odprawie Smith zaproponowała wypad na drinka, ale Reacher uznał, że to bez sensu. Jediną niedokończoną sprawą, która trzymała go w mieście, było czuwanie przy zwłokach Neilsena, ale nie miał ochoty tam iść. Zawsze uważał, że ważne jest tylko to, jak traktuje się ludzi za ich życia. Bo kiedy umrą, to umrą i nie zmieni tego ani całonocne picie, ani wspominki. Dlatego wrócił do hotelu. Chciał wziąć swoje rzeczy, zostawić w recepcji kluczyki do samochodu i po cichu wymknąć się z miasta.

Pakował się dwa razy dłużej niż zwykle, ponieważ musiał jeszcze zająć się mundurem. Po wizycie w stacji pomp kurtka i spodnie cuchnęły benzyną i wymagały czyszczenia, a spodnie uwagi krawca. Zapiął pokrowiec i rzucił go na blat baru w hotelowym apartamencie, żeby spakować do worka pozostałe rzeczy, lecz zauważył, że coś na nim leży. Koperta. Raport, który Walsh przyniósł mu poprzedniego wieczoru. Na temat kariery zawodowej Susan Kaslugi. Reacher nie przeczytał go. W natłoku wydarzeń nie miał na to czasu. A teraz już nie musiał. Sprawa była zamknięta. Wziął kopertę i zrobił krok w stronę kosza.

Przystanął jednak, otworzył kopertę i zaczął przeglądać jej zawartość. Miał czas. Pomyślał, że dobrze by było poznać lepiej kogoś, komu uratował życie. Skończyło się na tym, że przeczytał każde słowo i uważnie obejrzał każde zdjęcie. A potem gruntownie zmienił plany.

• • •

Dwa dni później, minutę przed dziewiątą rano, wszedł do sekretariatu Susan Kaslugi.

Jej siwowłosa sekretarka spojrzała na niego zza komputera i powiedziała:

– Kapitan Reacher? – Wskazała drzwi do gabinetu. – Proszę. Szefowa już czeka. – Zniżyła głos. – Pani Kasluga jest głównym filarem AmeriChem. Życiem i duszą naszej firmy. Wszyscy jesteśmy panu bardzo wdzięczni, że ją pan ocalił.

– Proszę mi jeszcze nie dziękować. – Reacher zapukał i nacisnął klamkę.

Kasluga wyszła zza biurka, żeby go powitać. Ubrana cała na czarno, sprawiała wrażenie zmęczonej i miała podkrążone oczy. Objęła go i delikatnie uścisnęła.

– Cieszę się, że pan przyszedł. Witam w moim azylu.

Większość mebli była kombinacją chromu, skóry i jasnego skandynawskiego drewna. Dokładnie takiego wystroju spodziewał się po gabinecie właścicielki wielkiej firmy. Ale wzdłuż jednej ściany wystawiono zaskakującą kolekcję rzeczy osobistych. Niemal sentymentalnych. Stał tam stary stół laboratoryjny zawalony dziesiątkami probówek w drewnianych stojakach, szczypcami, palnikami Bunsena i okrągłymi kolbami różnej wielkości. Nad stołem wisiały grupkami oprawione w ramki zdjęcia zrobione podczas jakichś eksperymentów; przedstawiały ludzi w białych fartuchach i okularach ochronnych. Wisiało tam również pięć sporządzonych na płótnie kopii wzorów chemicznych wraz z przekreśleniami i odręcznymi notatkami, pewnie autorstwa Kasługi. Może były to kamienie milowe jej pracy?

Przeniósł na nią wzrok.

– Przykro mi z powodu pani straty.

Wzruszyła ramionami.

– Dziękuję. Jestem w skomplikowanej sytuacji. Kochałam Charlesa. Chyba wciąż go Kocham. Ale muszę stawić czoło faktom. Był zabójcą. Widział pan, co wypisują w gazetach? Jakby chcieli mnie zawstydzić. Odebrać mi prawo do żałoby. Nie rozumieją, że ja też jestem ofiarą. Ale dość o nich i ich mściwości. Napije się pan herbaty? Pomarańczowy hibiskus? Mięta? Cytrynowa lawenda? A może huang ju hua? To herbata z kwiatów żółtej chryzantemy, jest przepyszna. – Podeszła do półki, na której stał smukły elektryczny czajnik, komplet kubków w pastelowych kolorach i kilkanaście srebrzystych pudełek.

– Dziękuję, ale nie – odparł. – Nie zajmę pani dużo czasu. Chodzi o parę drobiazgów. Niestety, zawieruszyliśmy gdzieś kilka dokumentów. A właściwie nie my, tylko nasza administracja.

– Żaden kłopot, nie po tym, co pan dla mnie zrobił. Jak mogę pomóc?

Usiadła w fotelu przy niskim stoliku do kawy stojącym na środku gabinetu, a on naprzeciwko niej.

– Zaczniemy od nowinek – powiedział Reacher. – Mój dowódca jest swego rodzaju prekursorem. Rozpoczął badania nad zastosowaniem grafologii w naszej pracy. Nauki o odręcznym piśmie.

– Rozumiem.

– Zbiera próbki do analizy. Robi to zupełnie anonimowo i nieoficjalnie, ale gdybym mu jakąś przyniósł, bardzo zyskałbym w jego oczach.

– Chce pan, żebym coś napisała?

Reacher otworzył pożyczoną teczkę i wyjął notes i długopis.

– Gdyby była pani tak dobra. *Clears marathons*. Wiem, dziwnie to brzmi, ale podobno ważne jest, żeby wszystkie próbki były takie same, a on wymyślił akurat te dwa słowa.

Kasluga wzięła długopis i napisała je szybko na pierwszej stronie.

– Proszę.

– Dziękuję. Skoro już ma pani długopis, to czy mogłaby pani zapisać swój numer telefonu? Ale nie służbowy. Ten już mam. Prywatny. Na wypadek gdybym miał jeszcze jakieś pytania. Często pracuję do późna, zwłaszcza z nowymi materiałami.

– Oczywiście. – Kasluga zapisała numer na drugiej stronie i zwróciła mu notes.

Reacher zawahał się i spytał:

– Przepraszam, bo pewnie wybrałem zły moment, ale co mąż powiedział pani o swoim udziale w Projekcie Sto Dziewięćdziesiąt Dwa?

– Nie, nic nie szkodzi. – Chwilę trwało, zanim zapanowała nad emocjami. – Powiedział niewiele. Wspomniał tylko o swoich

podejrzeniach, że ktoś zabija naukowców z lat sześćdziesiątych, żeby zdradzili mu nazwisko ósmego członka ich zespołu, i że tym ósmym był właśnie on. Ale nie chciał zdradzać tajemnic państwowych. Po prostu martwił się, że zabójca zapoluje na mnie, żeby go dopaść. I tak się właśnie stało.

– Co powiedział pani o Projekcie Tyfon?

– Nic. Nie wiem, co to takiego.

– Hm... w takim razie to już chyba wszystko. – Reacher zaczął podnosić się z fotela, ale znowu usiadł. – Jeszcze jedno. Bardzo mnie to ciekawi. Znalazłem pierwszą wersję artykułu o roli, jaką odegrała pani w wypadku w Indiach. Przedstawia panią w dużo lepszym świetle niż ta, którą ostatecznie opublikowano. W świetle niemal heroicznym, prawda? Z tego, co widziałem, nie wyobrażam sobie pani jako biernej gadającej głowy.

Kasluga posłała mu uśmiech.

– Nie wiedziałam, że ta wersja jest jeszcze w obiegu. Ale ma pan rację. Była dużo bliższa prawdy. Kiedy doszło do wycieku... Boże, co to był za koszmar... nie mogliśmy znaleźć nikogo z kierownictwa, bo wszyscy pochowali głowy w piasek. Ktoś musiał coś zrobić, więc wzięłam sprawy w swoje ręce. Skrzyknęłam ludzi i zneutralizowaliśmy wyciekający gaz. Potem opatrzyliśmy ofiary, oczyściliśmy wodę i zrehabilitowaliśmy ziemię.

– A kiedy uporała się pani z najcięższą robotą, szefowie wyjęli głowy z piasku i przypisali sobie wszystkie zasługi, pomniejszając pani rolę.

– Tak, byłam wtedy bardzo wkurzona. Nie będę kłamała. Między innymi dlatego rzuciłam pracę i założyłam AmeriChem. Ale wie pan, co powiadają. Najlepszą zemstą jest wielki sukces. No i proszę.

– Powiadają też, że pycha kroczy przed upadkiem.

Kasluga przechyliła głowę.

– Nie bardzo rozumiem.

– Ten wyciekający gaz produkowano w ramach Projektu Tyfon. Więc jednak pani o nim wiedziała.

– Nieprawda. To był nowy środek odkażający wyprodukowany przez fabrykę należącą do Mason Chemical, w której wtedy pracowałam. Poza tym zginęło siedem osób, więc...

– Tysiąc siedem. – Reacher wyjął z teczki zdjęcie i położył je na stoliku. Poprzedniego dnia dostał je od Flemminga. Było to panoramiczne ujęcie ciał rozrzuconych na wielkim pustym placu. – Wiedziała pani, jakim środkiem trzeba go zneutralizować. Musiała więc pani wiedzieć, co to był za gaz. Taka jest prawda.

Kasluga milczała.

– A właściwie część prawdy – dorzucił Reacher. – Bo nie tylko znała pani jego skład i skutki działania. Wykrała też pani jego formułę. I kiedy założyła pani AmeriChem, gaz ten, w mniejszym stężeniu, stał się podstawowym składnikiem waszego nowego rewolucyjnego produktu. Waszego hitu kasowego, słynnego środka dezynfekującego. Założę się, że formuła ta jest zapisana na którymś z tych płócien.

Kasluga zerknęła na płótno wiszące po lewej stronie.

– To kłamstwo. Formuły naszych pierwszych pięciu produktów opracowałam sama, osobiście, i to dopiero po tym, jak założyłam firmę.

Reacher położył na stoliku drugie zdjęcie. Też z wypadku w Indiach. Zbliżenie twarzy jednej z ofiar. A potem trzecie. Również zbliżenie twarzy, ze skórą pokrytą takimi samymi dziwnymi purpurowymi plamami. Walsh wygrzebał je, szukając materiałów o Kasłudze. Było w kopercie, którą zostawił w hotelu.

– To zdjęcie było dowodem rzeczowym w procesie, który wytoczono wam po wypadku w AmeriChem.

Kasluga znów zerknęła na ścianę, lecz wciąż milczała.

– Te same objawy – dodał Reacher. – Ten sam gaz. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

Wzięła ze stolika to pierwsze.

– Skąd pan je ma?

Wzruszył ramionami.

– Jestem śledczym. Szukam i znajduję.

Kasluga spojrzała na drugą stronę zdjęcia. Był tam niebieski stempel. Słabo widoczny już przed laty, z czasem wyblakł jeszcze bardziej. Przysunęła zdjęcie bliżej twarzy i zmrużyła oczy.

– *Copyright Spencer Flemming*. I numer skrzynki pocztowej. Ciekawe.

– Niech pani nie próbuje go znaleźć. Tylko straciłaby pani czas. Jest gdzieś, gdzie nikt się go nie spodziewa.

Kobieta wstała, podeszła do biblioteczki i otworzyła szafkę mieszczącą się między trzema najniższymi półkami. W środku coś stało. Niszczarka do dokumentów. Kasluga wrzuciła do niej zdjęcie i zamknęła drzwiczki.

– Ups!

– To nic nie da. Flemming ma kopie.

– Więc co pan zamierza zrobić? Aresztować mnie? Założyć kajdanki pogrążonej w żałobie wdowie i wywlec ją stąd siłą? Powodzenia życzę.

Reacher wstał.

– Ja nie. To nie moja działka. Gdyby była pani wojskowym, siedziałaby już pani w celi. Jestem umówiony z FBI. Przekażę im wszystko, co mam. Jestem pewny, że wkrótce się do pani odezwą. Chciałem tylko spojrzeć pani w oczy.

28

Spencer Flemming siedział na podłodze otoczony książkami, dokumentami i papierowymi teczkami. Wziął prysznic, więc włosy opadały mu na plecy niżej niż zwykle. Miał na sobie wyprane ubranie – koszula była przez to jaśniejsza, a dżinsy straciły większość plam. Na biurku stał talerz, a na nim leżała wystająca poza brzegi wielka kanapka z pomidorami, papryką, czerwoną cebulą i szpinakiem. Jego ulubiona kompozycja. Zazwyczaj. Nie mógł jej dosięgnąć, lecz niespecjalnie chciał. Na razie nie miał ochoty na jedzenie. Był zbyt zajęty przewidywaniem przyszłości. Coś miało się wkrótce zmienić. Liczył na to, że na lepsze. Ale zanim zaświeci słońce, będzie burza. Reacher nie ukrywał tego, prosząc go o pomoc. Po prostu w towarzystwie Flemmingowi było dużo łatwiej zebrać się na odwagę.

• • •

Urzędnik był uparty. Zbywał wszystkie groźby, które Susan Kasluga kierowała przeciwko niemu i jego małej firmie. Nie interesowały go łapówki. Ugiął się dopiero wtedy, kiedy zauważyła oprawione w ramkę zdjęcie wiszące na ścianie za ladą. Przedstawiało uśmiechniętą kobietę obejmującą dwóch uśmiechniętych małych chłopców – obraz szczęścia i radości. Powiedziała, że towarzyszący jej mężczyźni mogliby ich

wyśledzić. I opisała, co by im wtedy zrobili. Urzędnik natychmiast zmienił ton i w mgnieniu oka podał jej adres Spencera Flemminga. Ostrzegł ją nawet, że to bardzo nietypowe miejsce. Nie chciał, by pomyślała, że próbuje ją oszukać. I nie chciał już nigdy więcej jej widzieć. Wyraźnie dał jej to do zrozumienia.

• • •

Szofer zatrzymał się na końcu podjazdu, w tym samym miejscu co Smith przed sześcioma dniami. Zgasił silnik i wysiadł. Wyjął pistolet. Dołączyło do niego trzech ochroniarzy, też z bronią w ręku. Kasługa wysiadła jako ostatnia. Ochroniarze otoczyli ją i przez chwilę wszyscy patrzyli na stojący za ogrodzeniem budynek. Niczym ostrzeżenie, nisko na niebie wisiała ciemna chmura, rzucając cień na całą okolicę. Kruszejące cegły i zardzewiała blacha w oknach zdawały się krzyczeć: „Uciekaj!”.

Kasługa trąciła stojącego przed nią mężczyznę.

– No, chodźmy. Na co czekacie?

Ochroniarz zrobił szparę w ogrodzeniu i ruszył w stronę portyku i wielkich drewnianych drzwi. Nożycami do metalu, które przywiózł, przeciął i zrzucił na ziemię zardzewiałą kłódkę. Potem we dwóch naporli na drzwi i otworzyli je na tyle, żeby można było przecisnąć się do środka. Do budynku wpadło światło dnia i zobaczyli zapuszczoną salę.

Kasługa wskazała odciski stóp na podłodze wyłożonej czarno-białymi płytkami.

– Tamtędy – rzuciła. – Chodźmy.

Trzymając się blisko siebie, przeszli śladami obok zniszczonego kontuaru, pod oblepionym brudem żyrandolem, i znaleźli się na kwadratowym patio.

Kobieta wyciągnęła rękę.

– Pewnie jest w którejś z tych przyczep.

Zasłony w oknach tej stojącej po lewej stronie były zaciągnięte, ale drzwi otwarte. Trąciła łokciem ochroniarza.

– Zaczynij od tej.

Mężczyzna postawił nogę na pierwszym stopniu schodków. Powoli wspiął się na drugi, przystanął w progu, ostrożnie wszedł do środka i zniknął jej z oczu. Minęła minuta. Minęła druga. I trzecia. Miał wyprowadzić Flemminga, ale nikt nie wychodził z przyczepy.

– Hej! – zawołała. – Co tam się dzieje? Dlaczego tak długo to trwa?

Ochroniarz nie odpowiadał.

Kasluga trąciła drugiego.

– Idź zobacz.

Ten wszedł na schodki w ślimaczym tempie, a potem z uniesionym pistoletem wpadł do przyczepy. Zniknął za drzwiami. I już nie wrócił.

Za jej plecami rozległ się czyjś głos. Męski. Stanowczy. Surowy.

– FBI. Rzućcie broń. I na glebę. Ale już!

Dwaj pozostali ochroniarze zrobili, co im kazano. Ci, którzy weszli do przyczepy, wyszli z niej, potykając się o własne nogi, rozbrojeni i ze skutymi na plecach rękami. Za nimi szło dwóch agentów FBI. Czterech innych stanęło przy tych leżących na patio. Założyli im kajdanki, postawili na nogi i wyprowadzili.

Susan Kasluga została sama. Nie położyła się na ziemi.

Reacher i Smith wyszli zza szklanych drzwi.

– Nie słyszałaś? – rzuciła agentka. – Gleba!

Kasluga skrzyżowała ramiona na piersi. Wciąż stała.

Reacher pochylił się nad nią jak wielka góra i zniżył głos do ledwo słyszalnego szeptu.

– Zabiłem przez ciebie kobietę. Kobietę. Wbrew sobie. Więc jeśli myślisz, że nie skorzystam z okazji, żeby rozszarpać cię na kawałki...

Kasluga oczyściła butem podłogę i uklękła. Odsunęła kilka kamyczków i położyła się na brzuchu.

Smith skuliła ją, postawiła na nogi i zaczęła ją obszukiwać. Była dokładna. Sprawdziła pod pachami. Obmacała pierś. Talię. Uda. Szwy ubrania. Rozgarnęła nawet włosy.

– I co to było? – spytała szyderczo Kasluga. – Goniłwa za własnym cieniem?

– Nie, za czynami, które mówią głośniej niż słowa – odparł Reacher. – To zdjęcie, które ci pokazałem... Każdy rozgarnięty adwokat mógłby je bez problemu wyłączyć z procesu. To przedstawiające ciała ofiar z sześćdziesiątego dziewiątego. Nie dałoby się udowodnić, kiedy je zrobiono. Ani gdzie. Czy ci ludzie naprawdę nie żyli, czy tylko udawali. I czy w ogóle o nich wiedziałaś. Tymczasem ty zadałaś sobie wiele trudu, żeby znaleźć jego autora. To równoznaczne z przyznaniem się do winy.

– Nie dla sądu.

– Nie mówimy o sądzie. Ani o prawie. Już nie. Po prostu poszłabyś siedzieć, a nie jestem pewny, czy przysłużyłoby się to najlepiej społeczeństwu. Nie, możesz zrehabilitować się w inny sposób.

– Słucham. Założę się, że chodzi o pieniądze. Ile chcecie?

– Dzięki AmeriChem stałaś się bardzo bogata. Mogłabyś zabezpieczyć rodziny ofiar z Indii. Żonę Morgana Sansona i jej syna. Córki Kenta Neilsena. Nasz znajomy z Departamentu Skarbu przygotował papiery. Dokumenty całkowicie zgodne z prawem. Powinnaś je podpisać.

– Oszalałaś? Nie jestem odpowiedzialna za śmierć tych ludzi. I nie zamierzam pomagać ich rodzinom.

– Ile lat spędziłaś wśród chemikaliów, Susan? Bo chyba wyżarły ci mózg. Zaczynaj od Indii. Ten gaz zabił ponad tysiąc osób. Dlaczego wyciekł?

– Przez brak odpowiedniej konserwacji sprzętu. – Kasługa przesunęła nogą kilka kamyków. – Nie miałam z tym nic wspólnego.

– Miałaś, i to dużo. Konserwacja szwankowała, bo kradłaś przeznaczone na nią pieniądze.

– To kłamstwo.

– Ukradłaś formułę chemiczną, żeby twoja nowa firma miała dobry start. Formułę i pieniądze.

– Nigdy nie...

– Kajmаны, Susan. Firma deweloperska. Przegrany kontrakt na budowę fabryki chemicznej. Fikcyjna skarga sądowa i odszkodowanie. Wszystko wiemy.

Kobieta milczała.

– Kradzież doprowadziła do wycieku, dlatego musiałaś uciszyć Morgana Sansona.

– Sanson był głupim nieudacznikiem, który w napadzie gniewu wyłączył system chłodzący, bo nie dostał podwyżki. Zginęli ludzie. Nie mógł z tym żyć i się zabił.

– Czytałem jego akta, Susan. Chodziło mu o bezpieczeństwo. A nie o podwyżkę.

– Mów sobie, co chcesz. Mogę cię słuchać cały dzień, a kiedy skończysz, powiem ci jedno: nie pójdę do więzienia za to, że trujący gaz zabił jakichś biedaków, tak jak nie pójdę do więzienia za zabójstwo Morgana Sansona.

– Może i nie. Ale pójdziesz za zabójstwo męża. To na pewno.

• • •

Spencer Flemming z trudem wstał. Początkowo stał przygarbiony, jak zwykle, lecz po chwili zmusił się do tego, żeby się wyprostować. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz zależało mu na dobrej postawie. Albo na tym, żeby się porządnie umyć. Czy żeby poczuć pod stopami miękką wykładzinę. Spojrzał w lustro. Nie spodobało mu się to, co zobaczył. Tak bardzo się różnił od ludzi, którzy mu pomagali, odkąd Reacher i Amber Smith przywieźli go do hotelu. Włosy. Ubranie. Zdał sobie sprawę, że utknął w przeszłości. Nie z własnej winy, zważywszy na to, że musiał żyć w cieniu. No i że nie miał wyboru. Ale teraz mógł się zmienić. Musiał, jeśli miał skorzystać z tego, co mu zaproponowano. Jeśli propozycja w ogóle wypali. Reacher zapewniał go, że kobieta odpowiedzialna za jego niedolę spędzi w więzieniu resztę życia. Flemming modlił się, żeby tak było. Ale w głębi duszy w to nie wierzył. Nie mógł. Miał złe przeczucia. Coś mu mówiło, że Kasługa wywinie się z tego, a on wróci do domu wariatów.

• • •

– Wrabiasz mnie! – zapiszczała. – Ty naprawdę próbujesz mnie wrobić! Niewiarygodne. Dobrze wiesz, że nie zabiłam Charlesa. Byłeś tu. Wiesz, że to Veronica Sanson go zabiła. Zabiłaby i mnie, gdybyś przyszedł chwilę później.

Reacher wzruszył ramionami.

– A ja zawsze myślałem, że punktualność jest cnotą.

Kasługa spojrzała na Amber Smith.

– Tylko spróbuj mnie aresztować i mój prawnik postawi go przed sądem. Udowodni mu krzywoprzysięstwo i to on skończy w więzieniu. Nie ja.

– Och, aresztuję cię bez dwóch zdań – zapewniła ją Smith.

– Chętnie stanę przed sądem – powiedział Reacher.

– Czysty obłąd. – Kasluga wzniosła oczy do nieba. – Widziałeś, co te kobiety zrobiły.

Smith chwyciła ją za prawe przedramię.

– Dość tego teatru. Idziemy.

Kasluga zrobiła krok do tyłu. Wyjęła zza pleców prawą rękę. Może miała wyjątkowo wąskie nadgarstki. Może Smith źle zapięła kajdanki. Tak czy inaczej, Kasluga zdołała się jakoś uwolnić. Wyjęła zza pleców lewą rękę, pochyliła się, podniosła coś z ziemi i wyprostowała się z dziesięciocentymetrowym gwoździem w dłoni, pogiętym i zardzewiałym. Skoczyła w bok. Prawą ręką owinęła głowę agentki, zasłaniając jej oczy. Lewą ścisnęła gwoździec i dźgnęła ją nim w szyję, tuż nad tętnicą. Po szyi Smith spłynęła kropla krwi i wsiąkła w bluzkę. Gwoździec był ostry mimo rdzy. Wystarczyłby lekki nacisk i agentka by zginęła.

Kasluga zaczęła się cofać. Ciągając ją za sobą, odchylając do tyłu jej głowę i wyginając w łuk plecy Smith.

– Rzuć to – warknęła.

Agentka rzuciła pistolet.

Kasluga przeniosła wzrok na Reachera.

– Ty też.

Reacher podniósł ręce na wysokość ramion, lecz nie upuścił pistoletu. Trzymał go bokiem do niej, z lufą skierowaną niegroźnie w niebo.

– Nie widziałem, żeby te kobiety zrobiły coś twojemu mężowi. Kiedy wszedłem, już nie żył.

– Bo go zastrzeliły. Zrobiła to ta młodsza.

– Naprawdę?

Kasluga cofnęła się jeszcze dalej.

– Powiedziałam: rzuć broń.

Reacher opuścił nieco uzbrojoną rękę i przesunął ją bardziej w bok, lecz nie rozluźnił palców.

– Zobaczyłem dwóch martwych ochroniarzy. Zaraz potem usłyszałem trzy wystrzały, jeden po drugim. Padły z tego samego miejsca.

Smith zaczęła się szarpać. Próbowwała obrócić głowę, odsunąć ją od gwoźdźcia, lecz nie dała rady i ostry czubek wbił się głębiej w ciało.

– Ochroniarzy zastrzeliła Veronica – powiedziała Kasluga. – Charles wystrzelił dwa razy. Zabił Robertę. Veronicę też trafił, ale tylko ją powalił, bo była w kamizelce. Upadła, wystrzeliła i go zabiła.

Reacher pokręcił głową.

– Słyszałem trzy wystrzały i klekot pistoletu na podłodze. Strzeliłaś do wszystkich trojga. Do męża, Veroniki i Roberty. Potem rzuciłaś pistolet pod stopy męża. Ale popełniłaś błąd. Nie sprawdziłaś, czy Veronica na pewno nie żyje. Przez co omal nie zginęłaś.

– Zajrzyj do policyjnego raportu. Zobacz, ile łusek brakowało w pistoletach.

– Zajrzałem. W twoim brakowało dwóch. W broni Roberty jednej. W Veroniki trzech.

– I dwóch w pistolecie Charlesa. Co dowodzi, że mówię prawdę.

– Dwóch w pistolecie znalezionym przy jego ciele. Co dowodzi, że jesteś niezła. Jak na szybko zaimprovizowany, plan był całkiem dobry. Zostałaś sam na sam z mężem. I podmieniłaś naboje. Wyjęłaś jeden z pistoletu Veroniki i włożyłaś go do swojego magazynka. Zauważyłaś nawet, że jest innej marki. Używałaś naboju Browninga. A ona amunicji Federal. Więc rozładowałaś swój i załadowałaś go ponownie, ale tak, żeby jej nabój znalazł się na dnie magazynka.

– Nieprawda. Nic takiego nie zrobiłam. Byłam zbyt zdenerwowana.

Gdy Smith poruszyła nogami, próbując się wyszarpnąć, Kasługa uderzyła ją łokciem w bok i agentka znieruchomiała.

– Podmieniłaś nabój – ciągnął Reacher. – Przesunęłaś łuski. W raporcie piszą, że leżały w dziwnych miejscach. A potem wzięłaś listę Roberty i dopisałaś do niej nazwisko męża.

– Bzdura! A teraz rzuć broń. Powtarzam ostatni raz.

Reacher opuścił pistolet trochę niżej. I wysunął go bardziej do przodu.

– Pamiętasz słowa, które dla mnie napisałaś? *Cleas marathons*. To anagram Charlesa Stomorana. Te same litery, inna kolejność. I wiesz co? Charakter pisma idealnie zgadza się z tym na liście.

– Rzuć ten cholerny...

– Pytanie tylko, po co w ogóle dopisałaś jego nazwisko. Dlaczego nie poprzestałaś na siedmiu? Dlaczego chciałaś, żeby koniecznie był tym ósmym?

– Bo nim był. Niczego nie chciałam.

– Właśnie. Był kontrolerem nadzorującym projekt z odległości dwunastu tysięcy kilometrów. I nie miał bezpośredniego wpływu na przebieg prac. W przeciwieństwie do dziewiątej osoby, która cały czas przebywała na miejscu. I brudziła sobie ręce, sprząając po wycieku. Płacąc za milczenie świadkom i rodzinom ofiar.

– Bzdura, zmyślasz!

– Nie. Było dziewięć osób. I tą dziewiątą byłaś ty, Susan.

Zobaczył, że zbiegły jej kłykcie palców, którymi ścisnęła gwóźdź. Że zwęziły się jej oczy. Napięły się ścięgna szyi. Wysunął więc pistolet jeszcze bardziej przed siebie. Świetnie strzelał, z pistoletu i karabinu. W tym przypadku odległość nie grała praktycznie żadnej roli. Cel się nie poruszał. Nie było wiatru. Reachera nic nie oślepiało. Oddychał równo i spokojnie. Miał do wyboru wiele miejsc, w które mógłby spokojnie trafić, nie

narażając Smith na ryzyko. Głowę Kasługi. Jej ramię. Kolana. Golenie. Stopy. Wybrał prawą kość śródstopia i pociągnął za spust. Kobieta przeraźliwie krzyknęła, upuściła gwóźdź i upadła na bok.

Smith cofnęła się i przyłożyła rękę do szyi.

Zwinięta w kłębek Kasługa zawyła przez zaciśnięte zęby.

– Pomóżcie mi – wychrypiała zduszonym głosem.

– Pomóc ci? – zapytał Reacher. – Jak? Tak jak ty pomogłaś dzieciom tych, których zabiliście? Albo pogrążonym w żałobie rodzinom w Indiach?

– Zgoda, popełniłam błąd. – Ledwie mogła mówić z bólu. – Proszę. Błagam...

– Najpierw dwa pytania.

– Zrobię wszystko, tylko zawieźcie mnie do szpitala.

– Do kogo zadzwoniłaś, planując zabójstwo Neilsena?

– Do nikogo nie...

– Chcesz stracić całą nogę?

Pokręciła głową.

– Więc przestań kłamać na dziesięć sekund. Wiemy, do kogo dzwonił Neilsen. Ten ktoś zadzwonił do ciebie. Pod numer, który zapisałaś w moim notesie.

– Dzwonił... do Charlesa – wysapała. – Przecież mieszkaliśmy razem. W tym samym domu. Pod tym samym numerem...

– Nieprawda. Twój mąż miał do dyspozycji kilka linii telefonicznych Departamentu Obrony. Powadzone na nich rozmowy nie są nigdzie rejestrowane. Po co miałyby odbierać obciążające telefony na otwartej linii?

– Dobrze – syknęła. – David Sullivan, wiceprezes Total Security Solutions, odpowiedzialny za satysfakcję klienta. AmeriChem z nimi

współpracuje. Kiedy mam jakiś problem, pozew sądowy czy inne kłopoty gdziekolwiek na świecie, dzwonię do niego i kłopoty znikają.

– Dobrze. Zadzwoń do niego i zobaczę, czy jemu też uda się zniknąć.
A teraz Neville Pritchard. Jaki to był układ?

Kasluga wydała głęboki, przeciągły jęk.

– Szpital... Obiecałeś.

– Najpierw odpowiedz. Pritchard był prawą ręką twojego męża. Tyle udało nam się ustalić. Zwerbował cię tam, na miejscu, w Indiach?

– Nie rozśmieszaj mnie. – Zaskomlała z wysiłku. – Pritchard był idiotą. Zwykłym urzędasem. Rozgryzłam go w jeden dzień. I zmusiłam do tego, żeby przyjął mnie do spółki.

– Kradliście pieniądze i dzieliliście się nimi.

– Nie. Chciałam...

– Po przekręcie z przegranym kontraktem na budowę fabryki chemicznej i z wyłudżonym odszkodowaniem zaczęłaś udzielać mu fikcyjnych pożyczek. Świetny sposób na przerzut wypranych pieniędzy.

Kasluga kiwnęła głową. Jej blada twarz błyszczała od potu.

– Kiedy Buck puścił farbę i skontaktował się z siostrami Sanson – ciągnął Reacher – zadzwoniłaś do swojego kumpla Sullivana. I kazałaś mu usunąć Pritcharda, bo tylko on mógł cię zidentyfikować.

Zdołała wykrzesać z siebie słaby uśmiech.

– A wiesz, co jest najzabawniejsze? To mąż powiedział mi, że ktoś zabija naukowców. Dlatego zadzwoniłam do Sullivana. Charles myślał, że mnie chroni. On też był idiotą.

Reacher odwrócił się i ruszył do drzwi. Smith dogoniła go i chwyciła za rękaw.

– Zaczekaj. A szpital? Obiecałeś.

– Ale nie obiecałem, że ją odwiozę. Niech się doczołga do samochodu.
Albo się tu wykrwawi. Mnie tam wszystko jedno.

– To okrutne.

Wzruszył ramionami.

– Powinna była się zgodzić i pomóc rodzinom ofiar.

29

Reacher nie wierzył w przeznaczenie, ale słyszał, że im ciężiej ktoś pracuje, tym ma większe szczęście. A można było uczciwie powiedzieć, że tego dnia pracował naprawdę ciężko. Rozkazy, które odebrał przez telefon, wkładając mundur wyjściowy – przygotowywał się właśnie do wyjścia na czuwanie – to potwierdzały. Wzywano go natychmiast z powrotem do Illinois. Odkryto jakieś nieprawidłowości w arsenale pod Joliet. I spodziewano się, że wykorzysta tam swoje cenne doświadczenia nabyte na Rock Island. Gdyby więc dobrze przyłożył się do pracy, mógłby włączyć do sprawy agentkę Ottoway. Chicago było blisko...

Ponieważ ostatni samolot na lotnisko Midway odlatywał dopiero za cztery godziny, uznał, że może bezpiecznie pójść na czuwanie. Zdąży oddać cześć Neilsenowi, a gdyby zrobiło się zbyt dramatycznie, nowy przydział będzie dobrym pretekstem do wyjścia. Miejsce znalazł bez trudu. Było to stare kino ozdobione esami-floresami i zawijasami w stylu art déco, które przerobiono niedawno na salę koncertową. Okazało się, że Neilsen był w młodości muzykiem. Grał na flugelhornie. Według kobiety, która znała go w tamtych czasach, należał raczej do pasjonatów niż do wirtuozów. Zagrała w orkiestrze, którą skrzyknięto na potrzeby wieczoru spośród jego dawnych kolegów. Na scenie ustawiono dla nich krzesła, półkolem, a na pustym położono coś, co wyglądało jak zwykła trąbka.

Reacher dotarł na tył sali i pierwszą osobą, którą tam zobaczył, był Spencer Flemming. Rozpoznał go dopiero po chwili. Dziennikarz wprawdzie wciąż miał siwe włosy, lecz nie zwisały mu już po obu stronach twarzy. Były krótsze i modnie ostrzyżone. Flemming miał na sobie dżinsy i koszulę, też jak najbardziej współczesne. Reacher uścisnął mu rękę i po kilku słowach zaczęli rozmawiać o najbliższych planach ich obu. Flemming słyszał o Joliet, przynajmniej w latach sześćdziesiątych. Napisał wtedy artykuł o serii wypadków na tamtejszym torze wyścigowym. Miał nadzieję, że już wkrótce znowu będzie pisał. Musiał tylko rozejrzeć się za mieszkaniem. W hotelu mu się nie podobało, więc wrócił do przyczepy, którą FBI zaholowało na kemping. Ten sam, na którym zamordowano Pritcharda, ale o tym nie wiedział.

Gdy po kilku minutach Flemming odszedł, pojawiła się Amber Smith. Na szyi miała plaster, pamiątkę po zardzewiałym gwoździu Kaslugi, i była w czarnej sukience i w szpilkach. Dotychczas widywał ją tylko w dżinsach i butach za kostkę. Kolejna osoba, której wygląd uległ zmianie. Wszyscy schodzą z jednej orbity i wchodzą na inną, pomyślał. Naturalna przemiana po ciężkiej sprawie.

– Wiesz coś o Kasłudze? – spytała.

Pokręcił głową.

– A co z tym Sullivanem, jej specem od mokrej roboty? Zrobiłaś coś z tym?

– Poinformowałam szefa. Dał mi zielone światło. Czuję, że będzie dobrze. Mam szansę, żeby wszystko naprawić, przynajmniej w pracy.

– A w życiu?

Wzruszyła ramionami.

– Też jest lepiej... chyba. To mój pierwszy pogrzeb od śmierci Philipa. Nie wiedziałam, jak będzie, ale na razie się trzymam. Może rzeczywiście

potrzeba mi tylko czasu.

Zaraz potem Reacher doszedł do wniosku, że ma dość, i ruszył do wyjścia. Po drodze wpadł na Christophera Baglina i Gary'ego Walsha. Usłyszał, że orkiestra znowu zaczyna grać.

Zobaczył mężczyznę i kobietę, którzy rozglądając się nerwowo, zmierzali na parking. A kiedy dotarł do holu, omal nie wpadł na dwóch mężczyzn w ciemnych garniturach, eskortujących jakiegoś ważniaka. Ten zerknął na niego i przystanął.

– Kapitan Reacher? Czułem, że pana tu znajdę. Jon Essley, pełniący obowiązki sekretarza obrony. Chcę panu podziękować za to, co zrobił pan dla mojego poprzednika. Charles Stamoran spełnił swój obowiązek wobec ojczyzny, choć zrobił to z wrażliwością typową dla minionych czasów. Dlatego to, że zamiast potępiać go jako bezwzględnego zabójcę, możemy go dzisiaj opłakiwać, jest wielkim pocieszeniem dla mnie osobiście i dla wszystkich Amerykanów. Jeżeli obejmę jego stanowisko na stałe, mogę śmiało obiecać, że srebrne belki na pana ramionach już wkrótce znowu ustąpią miejsca liściom dębu.

Reacher milczał. Z doświadczenia wiedział, że ustne obietnice polityków nie są warte papieru, na którym można by je spisać.